

GŁOS



NAUCZYCIELA

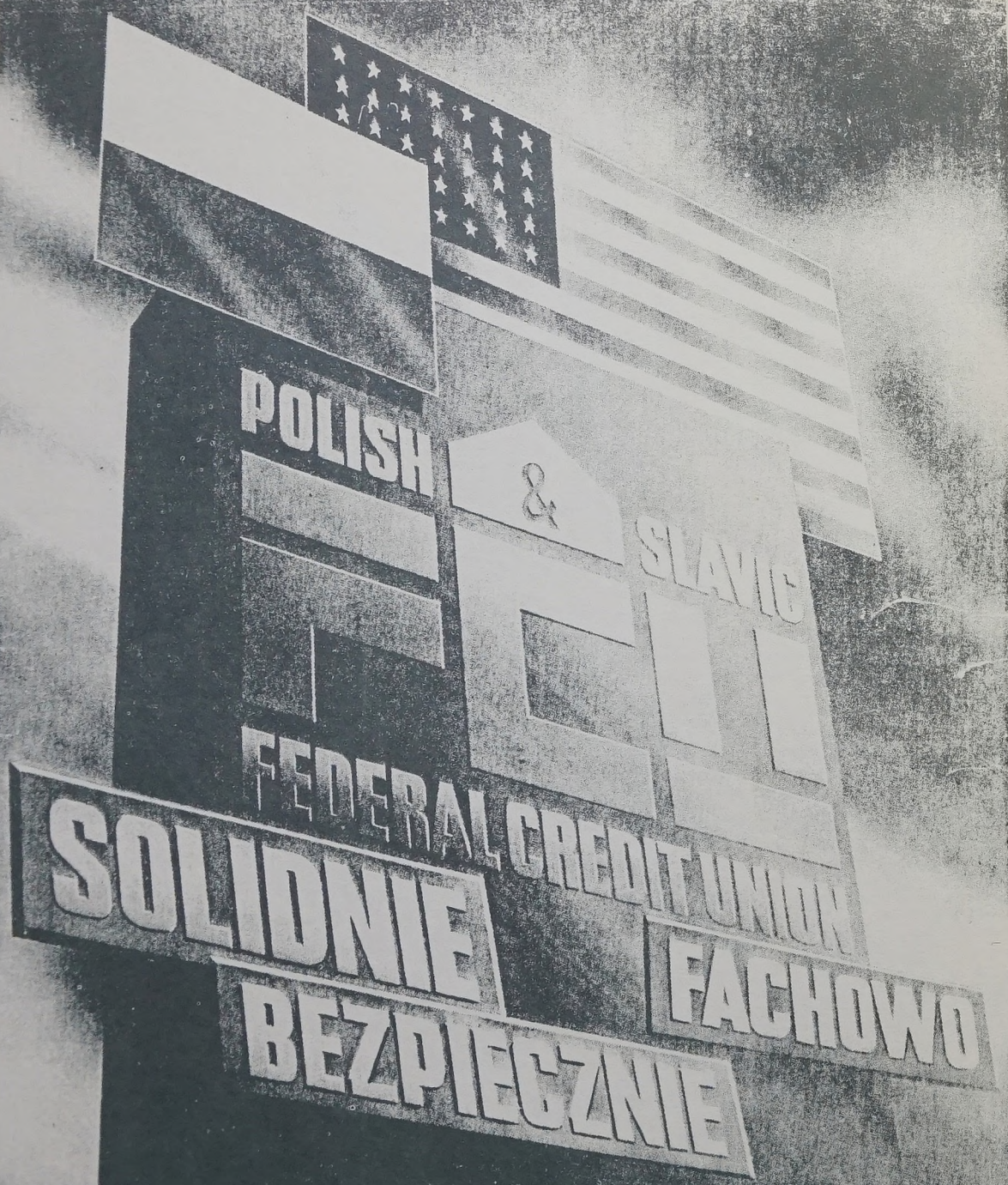
ROK IX/NR 4

ISSN 1042 3745

JESIEŃ 1994

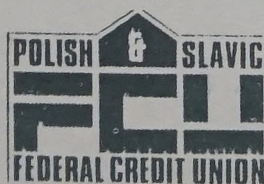


POWSTANIE WARSZAWSKIE
1.VIII.1944 — 3.X.1944



140 Greenpoint Ave, Brooklyn NY 11222
poniedziałek - piątek 9 -19, sobota 9 -15

Tel.: (718) 383-6268



Chestnut St. Union NJ 07083
poniedziałek - piątek 12 -19, sobota 9

Tel.: (201) 688-659



GŁOS NAUCZYCIELA KWARTALNIK

Wydawca:
KOMISJA OŚWIATOWA
Kongresu Polonii Amerykańskiej

ADRES REDAKCJI:
5631 W. Waveland Ave.
Chicago, IL 60634
Tel. (312) 545-6522

REDAKCJA:
HELENA ZIÓŁKOWSKA
JANINA IGIELSKA
DANUTA SCHNEIDER

PRENUMERATA:
\$15.00 — osoby indywidualne
\$20.00 — organizacje, instytucje, szkoły.
Czeki należy wystawiać na:
PAC Commission on Education
Cena za egzemplarz pojedynczy — \$4.00

UWAGA: Prenumeraty i materiały
ze stanów wschodnich prosimy wysłać na adres:
JANINA IGIELSKA
104 Passaic Ave., Passaic, NJ 07055

Redakcja zastrzega sobie prawo wykorzystania
nadesłanych materiałów według własnego uznania.

Wykonanie:
ARTEX PUBLISHING, INC.
1924 North 7th Street
Sheboygan, WI 53081
414-458-9987

W NUMERZE:

H. Ziółkowska — Redakcyjne refleksje	2
Listy do Redakcji.....	3
WIADOMOŚCI KULTURALNO-OŚWIATOWE	
Odnaczenia nauczycieli polonijnych	4
J. Igielska — Sylwetki odznaczonych nauczycieli.....	6
E. Osysko — Kapelan oświaty — pedagog Polonii.....	11
Konferencja metodyczna nauczycieli w Clark, NJ	13
D. Ciszewicz — Jasienka w polskiej szkole w Irvington.....	14
G. Bulka — Pasjonaci czyli o polskim harcerstwie w Brooklynie.....	15
Wspomnienie o prof. Zb. Gołabie.....	17
Szkołnictwo polonijne przed Nowym Rokiem Szkolnym.....	18
D. Schneider — Powstanie Warszawskie	20
Powstanie Warszawskie — fakty i liczby	24
Hymn Polski Podziemnej	24
A. Pomian — Czy warto było?	25
T. Żenczykowski — Drogowskaz Powstania Warszawskiego.....	27
M. Gordon — Rzec o żołnierzach.....	29
M. Gordon — Sierpniowe Aleje	32
M. Brandys — Chłopiec z pociągu	37
Młodzi i najmłodzi w Powstaniu Warszawskim	39
A. Kamiński — Zośka i Parasol	46
A. Kamiński — Harcerki w Powstaniu.....	54
A. Micewicz — Szkoła charakterów.....	55
D. Cichocka-Anielka — W hufcu Mokotów	55
J. Pierre-Skrzyńska — Z pamiętnika łączniczki	62
Z. Jeziorański — Powstanie w oczach kuriera	66
D. Tomczyk — Najmłodzi jeńcy w niewoli Wehrmachtu.....	70
Ks. pr. J. Jaworski — Udział łomików południowo-afrykańskich w Powstaniu Warszawskim.....	72
J. Mirski — Siedemnaście godzin w kanałach	77
M. Dąbrowska — Powrót do Warszawy	79
H. Czajkowska-Kilianek — Krzysztof Kamil Baczyński	82
H. Czajkowska-Kilianek — Analiza wiersza K. K. Baczyńskiego POKOLENIE.....	85
H. Czajkowska-Kilianek — Stylizacja poetycka Baczyńskiego.....	87
O pamiętniku z Powstania M. Białoszewskiego.....	89
K.K. Baczyński — Aleje Jerozolimskie.....	91
Mieczysław Ubysz — poeta walczącej Warszawy.....	92
POEZJA POWSTANIA.....	96
PIOSENKI POWSTANIA.....	110
Bibliografia.....	115

REDAKCYJNE REFLEKSJE

*"Każdego mieszkańca należy zabić,
nie wolno brać żadnych jeńców,
Warszawa ma być zrównana z ziemią
i w ten sposób ma być stworzony
zastraszający przykład dla całej
Europy"*

Wspólny rozkaz Hitlera i Himmlera z dnia 1 sierpnia 1944 roku.

Obecny numer GŁOSU NAUCZYCIELA, zamykający dziewięć lat pracy, kontynuuje historyczną serię monograficzną i jest poświęcony Powstaniu Warszawskiemu.

60-lecie Powstania było obchodzone uroczystie w Polsce i poza jej granicami. Były zjazdy, akademie, przemówienia, artykuły, wspomnienia, polemiki. Przez kilka miesięcy przypominano i oceniano tamten wstrząsający, niesamowity czas. Naszym celem nie jest ocena Powstania. Dokładamy swoją cegiełkę do rocznicowych obchodów Powstania udostępniając Czytelnikom — mamy na myśli głównie nauczycieli i uczniów polskich szkół na emigracji — bogate materiały o Powstaniu. Prezentujemy teksty pisane głównie przez uczestników Powstania w różnych okresach czasu: wrażenia rejestrowane na gorąco w formie codziennych zapisów, refleksje i wspomnienia po latach, prozę i poezję, piosenki, humor i satyrę. Umieszczamy również próby ocen Powstania wyrażone w artykułach drukowanych w prasie polskiej i polonijnej na przestrzeni lat.

Zdajemy sobie sprawę, że nawet po 50 latach i stopniowym odkrywaniu nowych źródeł archiwalnych, niemożliwe jest podanie dokładnej liczby ofiar wojskowych i cywilnych. Poszczególne opracowania podają różniące się między sobą informacje.

W BIBLIOGRAFII znajdują się najważniejsze dostępne nam publikacje, krajowe i zagraniczne. Warto do nich sięgnąć, aby sobie lepiej uzmysłwić ogrom wysiłku i poświęcenia, jakie w Powstanie włożyło

setki tysięcy Polaków.

Przekazanie prawdy o Powstaniu jest naszym obowiązkiem. Powstanie jest tylko fragmentem — trwało tylko i aż 63 dni — naszej męczeńskiej historii, ale fragmentem niezmiernie ważnym. Nie wolno potępiać, poniżać i sądzić tych, którzy swoje życie oddali w walce o wolność swojej ojczyzny. Świadomość patriotycznego obowiązku wypełnionego wobec ojczyzny pomogła przetrwać następnym pokoleniom Polaków i ostatecznie doprowadziła do upadku komunizmu.

Wśród materiałów poświęconych Powstaniu szczególnie przydatny dla nauczycieli jest DZIAŁ METODYCZNY, w którym Halina Czajkowska-Kilianek proponuje sposoby opracowania poezji i prozy Powstania.

Dział WIADOMOŚCI KULTURALNO-OŚWIATOWYCH opiera się wyłącznie na materiałach nadesłanych. Tym razem większość wiadomości pochodzi ze stanów wschodnich dzięki współpracy kol. Janiny Igielskiej i tamtejszego środowiska nauczycielskiego.

Prosimy szkoły działające w różnych stanach o przysyłanie korespondencji o swojej pracy. Zdjęcia mile widziane, ale tylko wyraźne, najlepsze są czarno-białe.

Dziękujemy wszystkim, którzy nadesłali materiały do tego numeru. Pozdrawiamy naszych miłych korespondentów. Przypominamy o płaceniu prenumeraty.

Życzymy wszystkim Czytelnikom wesołych Świąt Bożego Narodzenia i naprawdę dobrego, szczęśliwego Nowego Roku 1995.

Helena Ziolkowska

LISTY DO REDAKCJI

Redakcja GŁOSU NAUCZYCIELA
w Chicago

Serdeczne Bóg zapłać za pamięć i przesłanie GŁOSU NAUCZYCIELA. Brak mi słów w wyrażeniu uczuć: gdy otrzymam GŁOS NAUCZYCIELA, wracają różne miłe wspomnienia z zebrań i spotkań.

Gdy GŁOS NAUCZYCIELA przyjdzie, to wszystko idzie na bok. Do późnej godziny przeglądam, czytam i zachwycam się każdą stroną GŁOSU NAUCZYCIELA. Każdy numer jest wielce ciekawy i pouczający.

Kwartalnik o generale Władysławie Andersie szczególnie mnie zainteresował, bo byłam w Monte Cassino w roku 1968. Nawet mam zdjęcie, gdy klęczałam na tych świętych grobach naszych poległych bohaterów. Boże, Boże, jak wielką cenę polskie wojsko zapłaciło! Bóg sprawiedliwy odplacił, dając zwycięstwo. List Generała Andersa na stronie 54 bardzo mnie wzruszył.

Nie wiedziałam, że pan Franciszek Kokot już nie jest z nami. Cześć jego pamięci. Szlachetny człowiek. Szanowałam go. Daj mu Jezu rychłe niebo.

Panią Wandę Rozmarek dobrze znałam. Byłam jej studentką w Cambridge Springs na kursach języka polskiego. Lubiłam ją. Przyspiesz jej nieba, Jezu drogi.

Rozpisałam się, ale tylko dlatego, bo was tak bardzo kocham i doceniam i panią Helenę i pana Ziółkowskiego i panią Danutę Schneider i panią Janinę Igielską. Proszę udostępnić im ten list, bo czasu brak pisać osobno do każdego.

Tragedią mego życia jest brak czasu. Niby jestem na emeryturze, ale jestem zajęta w Towarzystwie Matki Teresy. Tam robota na 24 godzin dziennie. Moje pojęcie emerytury było nadrobić czytanie książek jak Sienkiewicza **Trylogia**. Rozpoczęłam **Ogniem i mieczem**, ale kiedy skończę, to nie wiem. Muszę kończyć, bo brak miejsca. Na pewno błędów bez końca. Pani wybaczy, bo przecież ja tu urodzona, jak na *American Pole* to chyba dosyć dobrze.

Uściski dla każdego

siostra Klarent Maria C.S.F.
24 kwietnia 1994

Od dwudziestu lat należę do grona uczących w Polskiej Szkole w Los Angeles i mam okazję czytać GŁOS NAUCZYCIELA i cenić go bardzo. Ostatni numer z podobizną Generała Andersa, świetnie opracowany i poświęcony 50-tej rocznicy wspaniałego zwycięstwa pod Monte Cassino, słusznie tam porównanego do Grunwaldu i Wiednia, zrobił na mnie wielkie wrażenie i pozwolił na częściowe wykorzystanie materiału, nie tylko w szkole, ale i w Grupie Modlitewnej "Barka" i wśród polskich seniorów, którym prezesuję od sześciu lat. Śpiewaliśmy ze wzruszeniem "Czerwone maki", z ostatnią nieznana, a piękną zwrotką Ref-Rena, zmieniając ćwierć wieku na pół wieku, którego on już niestety nie doczekał. Jako żołnierz Armii Krajowej pozwalałam sobie przesłać moje odczucia w wierszach i po prostu do przeczytania, a może do wykorzystania w całości lub częściowo.

Łączę wyrazy szacunku i uznania dla Państwa pracy

Jadwiga Narębska
Los Angeles, California
20 maja 1994

Szanowna Redakcjo:

Proszę przyjąć moje podziękowanie za opublikowanie artykułu pani Danuty Schneider poświęconego mojej zmarłej Matce - Wandzie Rozmarek.

Tylko kobieta, która ją znała, mogła tak subtelnie podkreślić niezwykle *pro bono publico* zaangażowanie śp. Wandy Rozmarek.

Z wyrazami poważania

Marylin Rozmarek Komosa
Chicago, 18 października 1994

WIADOMOŚCI KULTURALNO-OŚWIATOWE

WIADOMOŚCI Z NOWEGO JORKU

ODZNACZENIA NAUCZYCIELI POLONIJNYCH

W niedzielę 6 lutego 1994 roku w Polskim Instytucie Naukowym na Manhattanie odbyła się uroczystość wręczenia Medali Komisji Edukacji Narodowej grupie wybitnych i zasłużonych nauczycieli polonijnych ze stanów wschodnich. Wręczenia odznaczeń dokonał konsul generalny Rzeczypospolitej Polskiej, Jerzy Surdykowski.

Była to już druga tego rodzaju uroczystość, kiedy władze oświatowe w Warszawie wyróżniły nauczycieli polonijnych za ich wkład w podtrzymanie

polскоści w Stanach Zjednoczonych. Komisja Oświatowa KPA - przy współudziale ośrodków pedagogicznych w poszczególnych regionach - zaproponowała grupę tych pedagogów, którzy posiadają wieloletnie zasługi zarówno w pracy w klasie szkolnej, jak i w pracy organizacyjnej dla oświaty. Wśród odznaczonych znajdowali się: Janina Nowak, Danuta Rucka, Helena Boguniewicz, Zofia Ziemiolożyńska, Wanda Sobecka, Eugenia Aniska, Stanisław Soboń, Krystyna Nowak oraz Feliksa Sawicka. Każdy z tych pedagogów wnosi bogatą biografię, każdy z nich wychował liczną grupę młodej Polonii w bliskim kontakcie z kulturą polską.

Ich wkład został scharakteryzowany zarówno przez dra Edmunda Osyskę, przewodniczącego Komisji Oświatowej KPA, jak i przez konsula generalnego w Nowym Jorku Jerzego



Odznaczeni nauczyciele i goście. Polski Instytut Naukowy — 6 lutego 1994.



Od lewej: ks. Krzysztof Masłowski — kierownik Szkoły im. Ks. Piotra Skargi, Helena Boguniewicz, konsul Jerzy Surdykowski

Surdykowskiego. Pierwszy mówił z perspektywy interesów Polonii amerykańskiej, z perspektywy jej trwałych związków z dziedzictwem kraju nad Wisłą; drugi natomiast wydobyl znaczenie oświaty z perspektywy Polski, oczekującej od wielomilionowej Polonii większego zrozumienia i zbliżenia do spraw współczesnych kraju, jego ekonomicznych i politycznych problemów. Nauczyciel polonijny posiada poważne zasługi w przygotowaniu młodej Polonii w jej emocjonalnych odczuciach wobec Polski.

Organizacją, która włożyła duży wkład pracy organizacyjnej i pedagogicznej w stanach wschodnich jest Centrala Polskich Szkół Deksztalcających w Nowym Jorku. W jej imieniu gratulacje zasłużonym nauczycielom złożył prezes Jan Woźniak. Skupiając się na różnych drogach nauczycieli prowadzących do szkół polonijnych, podkreślił on wspólne cele wszystkich pedagogów

polonijnych w Ameryce: troskę o dobre wychowanie młodzieży w polonijnych szkołach deksztalcających.

Uroczystość odbyła się w siedzibie Polskiego Instytutu Naukowego na Manhattanie, w instytucji o dużym poparciu dla ruchu oświatowego Polonii. Specjalny list gratulacyjny przysłał dyrektor Instytutu prof. Tadeusz Gromada. Miejsce to jeszcze bardziej zbliżyło nauczycieli do tej zasłużonej placówki polonijnej.

Przyznanie tych wysokich odznaczeń nauczycielom polonijnym było dowodem uznania władz w Warszawie dla pracy pedagogów naszej grupy etnicznej w Stanach Zjednoczonych.

J. S.
NOWY DZIENNIK
16 lutego 1994

SYLWETKI NAUCZYCIELI ODZNACZONYCH MEDALEM KOMISJI EDUKACJI NARODOWEJ

Eugenia Anisko - nauczycielka. W latach 1966 - 81 uczyła w szkole im. Piotra Skargi w Elizabeth, N. J., gdzie przez ostatnie lata była zastępcą kierownika szkoły. Założycielka i kierowniczką Polskiej Szkoły Doksztalającej Polskiej Fundacji Kulturalnej w Clark, N. J.. Wieloletnia współpracownica z harcerstwem. Czynny członek PFK, a obecnie inicjatorka założenia Klubu - Czytelni przy Fundacji w celu zjednoczenia młodzieży i włączenia jej do życia kulturalnego Polonii. Jednocześnie matka czworga dzieci, z których najstarszy Andrzej ukończył studia medyczne, Renata kończy w tym roku studia

prawnicze, Ewa - Georgetown University, a najmłodszy Michał jest uczniem klasy siódmej w Pingry. Cała czwórka to również uczniowie Polskiej Szkoły.

Credo swego życia zawarła w kilku zdaniach wypowiedzianych w dniu wręczania medali zasłużonym nauczycielom:

"Kiedy przed 28-miu laty wyjeżdżałam z Polski, nie śmiałam nawet marzyć, że będę robiła to, co tak bardzo kocham - pracować z młodzieżą. Ziarno polskiej kultury przywiezione z ojczystego kraju zakiełkowało w serduszkach dzieci polonijnych. Dzieci, młodzież i praca z nimi, to ogrom szczęścia, które jednocześnie jest nagrodą za włożony trud. A fakt, że inni doceniają naszą pracę, jest nagrodą szczególną.

Medal Komisji Edukacji Narodowej to zielone światło do dalszej pracy dla dobra Polonii, dla dobra Polski.

Za to szczególne wyróżnienie serdecznie dziękuję Ministerstwu Edukacji Narodowej w



Eugenia Anisko z córkami, konsul Jerzy Surdykowski oraz Grono Pedagogiczne ze szkoły w Clark w New Jersey



Janina Nowak z uczniami 9 klasy — 12 maja 1990

Warszawie, p. Konsulowi, Komisji Oświatowej, Centrali Polskich Szkół Doksztalających, Koleżankom i Kolegom Pedagogom, Komitetowi Rodzicielskiemu, moim przyjaciółom z PFK, a szczególnie mojej Rodzinie, która przez wszystkie lata starała się mnie rozumieć i zrozumieć potrzebę mojej pracy społecznej.

Jedynie wspólnym wysiłkiem i zgodną pracą można osiągać wyniki, które są dostrzegalne nawet w dalekiej, a tak nam bliskiej, Polsce."

Helena Boguniewicz, nauczycielka, podjęła pracę w Polskiej Szkole im. Ks. Piotra Skargi w Elizabeth, N. J. od chwili założenia w 1966 roku. Przeszła wszystkie poziomy nauczania w tej szkole, od pierwszej do ósmej klasy. Poświęciła 28 lat nieustrudzonej pracy nad wychowaniem młodzieży polonijnej w polskiej szkole doksztalającej i w harcerstwie, przekazując wiedzę o Polsce i zasady wychowania w myśl hasła "Służ Bogu i Ojczyźnie".

W uznaniu zasług otrzymała dyplom z Centrali Polskich Szkół Doksztalających w Ameryce.

Pani Helena napisała o swojej pracy w szkolnictwie następujące słowa: ... *początki były trudne, ale dzięki poświęceniu i ofiarnej pracy nauczycieli i rodziców udało się przezwyciężyć te trudności, szkoła rosła licznie, przybywało uczniów. Obchodziliśmy uroczyscie rocznice - jubileusze 10-cio lecia, 20-lecia i 25-cio lecia. Obecnie przy życzliwym ustosunkowaniu się ks. E. Gubernata, proboszcza parafii Św. Wojciecha, dzięki dobranemu gronu nauczycielskiemu z księdzem Krzysztofem Masłowskim, dyrektorem oraz prężnemu Komitetowi Rodzicielskiemu - szkoła ma warunki do dalszego rozwoju i słuzeniu Polonii w dziele szczenia oświaty.*

Janina Nowak, dyplomowana nauczycielka; studia pedagogiczne ukończyła w Polsce, staż pracy nauczycielskiej w Polsce - 9 lat, w tym 3 lata

kierownictwa w siedmioklasowej szkole.

Po przyjeździe do USA, wiosną 1966 roku, wstąpiła do chóru "Aria", działającego w Passaic, N. J.. Chór jest członkiem Związku Śpiewaków Polskich w Ameryce.

Jesienią 1966 roku rozpoczęła prace nauczycielską w szkole im. Adama Mickiewicza w Passaic, którą kontynuowała bez przerwy do bieżącego roku szkolnego 1994. Z uwagi na zły stan zdrowia Janina Nowak zrezygnowała z pracy nauczycielskiej i funkcji wice-dyrektora do spraw programu nauczania w szkole im. A. Mickiewicza.

W 1972 roku była członkiem zespołu nauczycieli Centrali Polskich Szkół Doksztalających opracowującego program nauczania dla polskich szkół doksztalających na terenie Stanów Wschodnich.

Brała czynny udział w Zjazdach, Konferencjach i Sympozjach Nauczycielskich w Orchard Lake, Michigan.

Za sumienną i wydajną pracę w szkolnictwie polonijnym otrzymała dyplom uznania od Centrali Polskich Szkół Doksztalających w Ameryce i Złotą Odznakę Polskiej Macierzy Szkolnej w Londynie.

Krystyna Nowak - kierownik szkoły im.

Św. Władysława w Hempstead, N. Y., dyplomowana nauczycielka - studia w języku polskim ukończyła w Anglii, gdzie dotarła w 1947 roku po tułaczce od 1940 roku przez Syberię, Ashabat, Taszkient, Iran i Indie. Do Stanów Zjednoczonych przyjechała w 1958



roku.

W 1960 roku włączyła się do pracy w szkole im. Św. Władysława w Hempstead, w drugim roku jej założenia. W pierwszych latach weszła do zarządu Komitetu Rodzicielskiego jako skarbnik. Od 1965 roku pracowała jako nauczyciel zaczynając

od młodszych klas. W 1975 roku po śmierci męża pozostaje z czworgiem dzieci na utrzymaniu - nie pozostawia jednak pracy w szkole. W 1984 roku zostaje powołana na stanowisko kierownika szkoły i piastuje je do dzisiaj, ucząc tylko w zastępstwie, gdy zajdzie potrzeba. Współpracuje z Centralą Polskich Szkół Doksztalających i pełni funkcję wiceprezesa terenowego na Long Island, N.Y.. Otrzymała Złotą Odznakę Nauczyciela z Polskiej Macierzy Szkolnej w Londynie.

Danuta Rucka - studia nauczycielskie

ukończyła w Polsce. Obecnie, jako nauczyciel, pracuje w Polskiej Szkole Doksztalającej im. Księdza Piotra Skargi w Elizabeth, N.J. od 1972 roku. Przeszła wszystkie poziomy nauczania od pierwszej do ósmej klasy.

Oprócz pracy nauczycielskiej w szkole im. Ks. Piotra Skargi, przez trzynaście lat prowadziła lekcje języka polskiego, dwa dni w tygodniu, w szkole parafialnej w Linden, N.J. przy parafii św. Teresy.

Od sześciu lat prowadzi też lekcje języka polskiego w szkole parafialnej w Elizabeth, N.J. (parafia św. Jadwigi) - jeden dzień w tygodniu, w czwartki.

Przez dwanaście lat prowadziła kurs języka polskiego dla dorosłych w publicznej szkole w Linden, N.J. - dwie godziny w tygodniu.

W początkach swej pracy nauczycielskiej w szkole im. Ks. Piotra Skargi była także prezesem Komitetu Rodzicielskiego z uwagi na to, że jej dzieci uczęszczały do tej szkoły.

Zainteresowana problemami i rozwojem



ludziom. Różnym. Po ileś razy. I ciągle myślałem, że mam to powstanie opisać, ale jakoś przecież o p i s a ć. A nie wiedziałem przecież, że właśnie ta gadanina przez dwadzieścia lat - bo gadam o tym przez dwadzieścia lat - bo to jest największe przeżycie mojego życia, takie zamknięte - że właśnie te gadania, ten to sposób nadaje się jako jedyny do opisanego powstania....

...Jak kanały wyglądają? Różnie w różnych miejscach. Zawsze w całości sklepione cegłą. I zawsze mają sklepienia okrągłe i dno też okrągłe. Czy raczej owalne. I w ogóle są w perspektywie, bo ten ich przekrój wyjątkowo się właśnie widzi w nieskończoność. Na owal. Albo mniej więcej na owal. Piszę mniej więcej, bo właśnie pod Miodową kanał był duży i miał po obu bokach takie (betonowe chyba) ławy. Szliśmy ze świeczką. Sanitariuszka niosła. Przed nami daleko też ktoś niósł świeczkę. I chyba jeszcze dalej przed nami też. Tak, że się widziało. Oczywiście niewyraźnie. Połykiwały ściany. Ta perspektywa. Ten pochód też bez początku i końca połykiwał. Migotał. Na ślisko. Bo tu było wszystko śliskie. Spodnie mieliśmy zawinięte. Do kolan. Ale szło się w pantoflach. Woda wciąż była do pół łydki. Nie wiem, czy śmierdziała. Czy parowała. Nie wiem nawet, co w niej było. Podobno różne rzeczy. Podobno przeszliśmy po dwóch trupach. Coś mi się chyba ze dwa razy plątało pod nogami. A w ogóle nie czuło się nic prócz chlup-chlup...i ulgi. I tego, że się idzie do Śródmieścia. Na starym Mieście musiało być pełne piekło, skoro miało się tak otepiać czy i nos..."

Pamiętnik z powstania warszawskiego jest utworem, gdzie jeden człowiek wypowiada się w imieniu całego pokolenia Polaków, którzy przeżyli powstanie warszawskie. Autor "dorastał" do tematu powstania przez więcej niż 20 lat. Z przyjaciółmi często rozmawiał, wspominał, dyskutował, ale, jak sądzę, wciąż szukał odpowiedniej formy opisu swych przeżyć. Przez lata nie mógł o tym pisać, bo co to znaczyło "opisać powstanie"? Należało je przeżyć po raz kolejny z każdym napisanym słowem, należało "odczuć" ponownie atmosferę głodzonego miasta i potęgę ludzkiej możliwości zmierzającej ku wyzwoleniu, ku ocaleniu, należało

dostrzec krwawiącą cegłę i osuwający się mur. Autora trawiły wątpliwości - jak prosto i lapidarnie ukazać ludzi, fakty, zdarzenia, nadzieje, wyrazić poświęcenie i oddać grozę, obawę, czasem krótką radość.

Rozpoczął pisanie, gdy zrozumiał, że tylko prosty i zwyczajny język wyrazi to, co wówczas odbierało się jak złudzenie. Jakby nigdy nic, jakby w tych ludziach i faktach nie było bohaterstwa, lecz powinność i kurczowa chęć przeżycia.

Dwadzieścia lat "oczekiwania" na formę doskonałą zaowocowało "pamiętnikiem - relacją", "pamiętnikiem - powiedzeniem", "pamiętnikiem - napisaniem". Sądzę, że istniały również poważniejsze okoliczności oddalenia w czasie faktów rzeczywistych od ich literackiego powtórzenia. W walczącej, krwawiącej Warszawie, gdzie każda godzina życia mogła być ostatnią, nikt nie podejmował się tworzenia komentarza do tego, co widział, słyszał i czuł.

W pamiętniku wszyscy są równymi udziałowcami, tak żołnierze jak i ludność cywilna. Wrogiem dla Niemców byli wszyscy w tej samej mierze, każda istota żyjąca, obecnością swą zaświadczała, że miasto jest, trwa, broni się, głoduje, wycieńcza, lecz żyje. Ryzykowali, cierpieli i ginęli wszyscy. Rosły groby, piętrzyły się stosy ludzkich ciał, potęgowały się nadzieje. Jest więc **Pamiętnik z powstania warszawskiego** dokumentem wojny przeżywanej przez cywilów, co w tradycji literatury polskiej i nawiąże do wysokich tonów heroizmu i patriotyzmu - stanowi novum.

Dziś po latach wiemy, że przeżyć wtedy znaczyło "być bohaterem". Cywilna ludność Warszawy spełniła swą dziejową rolę przeżywszy koszmar powstania. Żołnierza można zabić, on jest gotów, bo własną śmierć wkalkulował we własne działanie, cywila należy zgładzić, zetrzeć w pył, spopielić.

Pamiętnik z powstania warszawskiego jest dokumentem epoki zagłady miasta rozciągniętej w czasie, dozowanej z zastraszającą siłą i przemocą. Staje się relacją zacieklej nienawiści, które chce zniszczyć serce Polski - Warszawę. Znamy z literatury określenie "miasto tętni życiem"; ja proponuje inne - "miasto tętniło śmiercią". Kołysało się, chlupało ściekami, spływało krwią, chłonać

ofiary. Drgało od rozpadających się domów, rzedniało w masywie dziurawione pociskami i lizane ogniem. Czym była tamta Warszawa? - Całością zamkniętą, której nierozczepialnymi częściami były mury i ludzie. Bolała upadająca ściana i roztrzaskany ołtarz kościoła. Krwawiło Stare Miasto i dogorywał Mokotów. Nie można dziś i nie należało wówczas rozdzielać żywego, urbanistycznego i społecznego organizmu.

W **Pamiętniku z powstania warszawskiego** nie znajdujemy patosu, taniej egzaltacji i naiwnego opiniowania. Są fakty, do których komentarz napisze czytelnik na miarę swej wrażliwości, wykształcenia i szacunku dla historii, a w tekście historia miasta kołaczę się poszarpanymi fragmentami, zaklina się w słowach - hasłach i odtwarza w retrospektywnej pamięci bohatera.

Emanuje z **Pamiętnika** potęga człowieka i kruchość murów, ulic i podziemi. Jak w ironicznym, kreskowanym filmie, ocalają bibeloty uliczne upadającego miasta. Płoną zabytki i dzieła sztuki a ostają się tylko fragmenty, które z prochu powstaną w całość. Ta część **Pamiętnika** jest monumentalnym trenem na śmierć Warszawy, wyśpiewanym w strugach ludzkich łez.

Białoszewski urobił materię do kształtów absolutnie doskonałych. Jego słowa to chwytły wypowiedane pośpiesznie, gwałtownie, w zapamiętaniu, tak jakby na następne zdanie miało zabraknąć czasu. To fakty narzucają dziejowe tempo, na refleksję nie ma już czasu. Wśród słów wyczuwa się pośpiech, gwałtowność i ucieczkę. Tamte gwałtowne wydarzenia odebrały ludziom złudzenia, że coś na świecie może być pewne i stabilne. Nie ma domów, nie ma budowli, więc domem staje się drugi człowiek, który przykucnął przy władze do kanału albo schronił się za stojący jeszcze filar.

Borykający się ze śmiercią człowiek urastał do symbolu, w nim rodziły się nadzieje, że miasto stanie, dźwignie się, że każdy dom i ulica są do odbudowania, do odtworzenia, a fakty do zrealizowania.

Chylę czoła przed tekstem zaistniałym w **Pamiętniku z powstania warszawskiego** i przed wszystkimi przemilczeniami w postaci przestankowania; w nich upatruję miejsce na własną wyobraźnię.

Halina Czajkowska - Kilianek

Krzysztof Kamil Baczyński
1921 - 1944

Aleje Jerozolimskie

Dnieje...

Przez Jerozolimskie Aleje

Świt rudy od spalenizn przeważa się ciężko

I potrąca raz jeszcze dymów kiścią krwawą...

Warszawo! Wszak płakać nie jest rzeczą meską,
A jednak świt ten widział gorzki płacz żołnierza,
Gdy ciężkim, jakże ciężkim wówczas

krokiem zmierzał

Składać broń...

Warszawo! Pałała żołnierska skroń

Czerwień barwiła twarz...

Oto, żołnierzu masz

Za znój za trud swój krwawy,

Masz kapitulację Warszawy...

O jakże palą liście laurów sławy!

Dnieje...

Przez Jerozolimskie Aleje

Obok grobów z żołnierskim hełmem na mogile,

Świt rudy od spalenizn ciężko dziś powstaje...

Warszawo!

A jednak w historii są też takie chwile,

Kiedy się pada, lecz się nie poddaje...

Idzie więc żołnierz ołowianym krokiem

Przez Jerozolimskie Aleje

Do niewoli...

Od grobów z hełmem odwraca się wzrokiem

Ręką za broń już nie chwytą...

O, jak to boli...

A jednak świta...

A jednak miasto, chociaż w gruzach stoi!

Przez Jerozolimskie Aleje

Poprzez barykad kamiennych wierzeje,

Ołowianym krokiem idą żołnierze,

I nikt o nic nie pyta...

Dnieje...

Dzień pierwszy niewoli - świta

MIECZYŚŁAW UBYSZ — POETA WALCZĄCEJ WARSZAWY 1915 - 1970

Do końca swoich dni nie doczekał się w Ojczyźnie choćby jednego tomika wierszy. Nigdy o to nie zabiegał. Cechowała go bowiem skromność, brak chęci przebicia się, duża odwaga cywilna, prawość i sprawiedliwość, stałość przekonań i wielkie umiłowanie Ojczyzny. Czując na ludzkie nieszczęścia, potrzebującym spieszył z pomocą, mimo iż sam walczył o byt, o istnienie, a w tej materii los nie poskąpił mu wielu trudności. Recytowano jego utwory — niejednokrotnie on sam — na wieczorkach literackich, akademiach poświęconych poezji i pieśni Powstania Warszawskiego. W twórczości z okresu Powstania jest bodajże najpłodniejszym autorem. W ciągu tych 63 ciężkich i dramatycznych dni napisał około 20 wierszy, z których tysiące ludzi czerpało głębokie wzruszenia.

By przybliżyć Czytelnikowi sylwetkę poety kreślę skrótkowo jego biografie.

Mieczysław Ubysz, żołnierz Armii Krajowej, podchorąży „Wik”, urodził się w Łodzi. Gimnazjum kończył w Zgierzu, a od roku 1934 studiował prawo na Uniwersytecie im. Stefana Batorego w Wilnie, równocześnie pracując tam jako nauczyciel i wychowawca w gimnazjum dla ociemniałych. Pierwsze kroki literackie stawiał jeszcze w okresie gimnazjalnym, później w latach akademickich, gdzie z czasem młode pióro Ubysza zasiła rozgłosień Polskiego Radia w Wilnie. Uczestniczył tu m. in. w pracy artystycznej i występach akademickiego zespołu słuchowiskowego „Błękitni”. Zostaje także (1938 r.) jednym z spikerów tej rozgłośni. Wojna, oblężenie Warszawy (walczy jako ochotnik) wiąże go ze stolicą uczuciowo na zawsze. Po krótkim pobycie w Krakowie, wraca do Warszawy. Nadal dużo pisze — są to przede



Mieczysław Ubysz

wszystkim liryki osobiste, smutne, trudne. Jest także i czynnym żołnierzem AK. W Powstaniu Warszawskim, w ramach VI Oddziału sztabu KG AK (BiP-u) dowodzi jednym z patroli megafonowych, jest jednym ze spikerów powstańczej radiostacji „Błyskawica”.

Jego poezja powstająca wówczas była bezpośrednią reakcją twórcy-żołnierza wobec spraw najcięższych. Jest w niej radość i

zachwyt, ale przede wszystkim zmęczenie, ból i gorycz. Pierwszym jego wierszem powstałym na początku walk jest twardy, dumny, „Manifest”, głoszony przez megafony na ulicach Warszawy oraz prosty, słoneczny „Droga” i „Nie trzeba nam”. 15 sierpnia pisze wizjonerski, tragiczny i ponury „Ostatni komunikat”, jeden z najbardziej przejmujących utworów Powstania, antycypujący wydarzenia, które nastąpiły 6 tygodni później. Pragnę tu wyjaśnić, iż autorem wiersza „Krew” jest właśnie M. Ubysz, ps. „Wik”. Czynie to dlatego, że w antologii „Poezja Polski Podziemnej”, w której znalazło się 8 jego wierszy (PIW 1974 r.). Jan Szczawiej podaje — „autor nieznany,” (wiersz publikowany tam w dodatku z dwoma błędami). Czini to również p. Katarzyna Machowska, cytując tylko jego drugą część - także z jednym błędem — w albumie „Epizody Powstania Warszawskiego” Jerzego Tomaszewskiego (KAW, 1979 r.). Wiersz ten drukowany był w piśmie powstańczym „Demokrata” (Nr 175 z 23.VIII.1944 r.) i podpisany pseudonimem „Wik”.

Z chwilą upadku Starówki M. Ubysz był służbowo przy władze u zbiegu Nowego Świata i ul. Wareckiej. Pisze wtedy wiersz „Stare Miasto”, — który — według sugestii dowództwa — miał

krzepić. Ale prawda rzeczywistości oddana przez poetę była silniejsza. Stąd też w utworze brzmią dźwięki marsza żałobnego.

Dwukrotnie ranny w Powstaniu poeta nie zaprzestaje pisać w szpitalu jenieckim i obozie. Wraz z grupą przyjaciół prowadzi pracę literacko-artystyczną. Po wyzwoleniu w 1945 r. redaguje w miejscowości Northeim (angielska strefa okupacyjna Niemiec) obozowe pisma "Droga", "Świetlica", "Wiedza dla wszystkich", współdziała z polskim teatrem żołnierskim. Jesienią 1945 r. wydaje tamże pierwszy tomik swoich wierszy pt. "Czas wirujący" (80 utworów).

W latach 1945-46 bierze udział w pracy świetlicowej i oświatowej wśród Polaków w Getyndze i Mannheim. Drugi jego tomik pt. "Brew" został wydany w 1946 r. w Hannoverze. 1 maja 1947 r. podchorąży "Wik" wraca na stałe do kraju i pisze dalej. Czas jednak dla takich jak on z AK nie był sprzyjający. Jego twórczość więc rzadko gościła na łamach prasy. Pisał do szuflady, stąd często nazywany był zapomnianym poetą walczącej Warszawy. Od 1947 do 1962 r. miał "możliwość" pracować w jedenastu instytucjach. Ostatnie dwanaście lat w Centrali "Społem." Píše jednak do końca dni swojego życia, przeważnie liryki, nim ciężka i długotrwała choroba nie zmoże organizmu. Umiera 6.II.1970r., mając 55 lat. Odznaczony m.in. Krzyżem Walecznym, Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Armii Krajowej.

Jan Szczawiej w swej antologii pisze m.in. o twórczości powstańczej M. Ubysza: "...Jego poezja nie była patetyczna i nie była radosna. Nie było w niej euforii zbliżającego się zwycięstwa. Była to poezja odwrotu i rozgromu. Ale jakże znakomicie dopełniła ona bohaterską poezję powstania..."

Mieczysław Ubysz
1915 - 1970

KREW

Krew nasza jest czerwona
Krew gna coraz prędzej.
Jak płomień bucha w chmury
I warczy na wstędze

Kulomiotów.

Huczająca, huczająca

Aortami ulicy - jak wystrzał najprościej
Pędzi w salwach do serca,
Do serca - Wolności.

Krew nasza jest czerwona,
Jest śpiewna, jest gniewna,
Opina gniazda wroga w drgających koliskach
I klamrami barykad gardziel katom ściska,
Aż padną!

Krwi mamy jak i murów...
Krwi i murów starczy.
Niechaj stropy pękają, krwi potoki rosna!
Krew płodna rwie fanfarą,
Krew jak werbel warczy.

Krew nasza jest czerwona,
Krew huczy potokiem,
A choć wargi zgryzione
I choć twarze białe,
o niebo siecze salwą
Nie gorzkim Chorałem!

NIE TRZEBA NAM!

Nam tutaj nie potrzeba słów rwących w płomieniach,
Bo u nas wieczny płomień i nic więcej nie ma
Prócz ognia, który serca chce strawić do szczytu
I łun, wiszących wokrag na największe Świeto.

I rąk nam tu nie trzeba, bo jak las wyrasta
Milion dłoni ku niebu i prosi o pełnie,
A szumi tylko oddech płonącego miasta
i wiatr wśród gruzów szumi. Wciąż jeszcze daremnie...

Serc mamy tutaj dosyć, a w sercach do syta,
I choćby nam mogiły urastały w pietra.
W płomieniach - chmur dosięga Rzeczypospolita
Na naszych serc opoce, w dniu naszego Świeta.

Trzeba tylko nam skrzydeł, by wokrag tej wieży
Śpiewem stali rozhuczyć gorące powietrze
I w serca wasze spojrzeć i... jak dotąd wierzyć,
I prócz pięści - żelazem mur żelazny zetrzeć!

OCZY

Śmierć biła nas na odlew i na białych twarzach
Wyrzyła twardy wyrok w obłąkanych znakach.
Staliśmy dni czterdzieści na gruzach cmentarza,
Lecz rozkaz był spełniony, że nie wolno płakać.

Dziś inaczej. Skrzydlatym nam przyszło zaśpiewem,
Runęło w srebrnych gwizdach i srebrnych koliskach!
Brat... siostra... krew szemiała na zwęglonym drzewie...
Ale przyszło. Zobaczę. Już blisko. Już blisko!

Żołnierzu! W oczy sucha wciąż wali kurzawa,
Noc wciąż słupem ognistym. Matka.. Praga... Praga!!!
Żołnierzu! Trwaj! Nie Wolność, nie Honor, nie Sława!
Żołnierzu. Jutro wszystkim wolno będzie płakać...

STARE MIASTO

Szli, szli, szli.
Zgarbieni, zbłoceni we krwi,
Przez wieczór bez końca,
Wśród nocy bez końca,
Suneła, suneła
Gromada milcząca,
O mury, o asfalt
Trącały kikuty,
Gubiły rytm buty,
gubiły rytm buty,
Szli, szli, szli...

A w twarze szerniało
Z zajądłym chichotem
Noc pluła żelazem,
Gruzami i błotem,
I szli tak od gruzów
Do gruzów kamienic
Cieniami olbrzymów
W wichurze płomieni,
Nie rzędem, kolumną -
Gromadą beładną.

Szli, którzy zostali,
Szli, którzy tu padną,
Z junactwem bolesnym,
Jak hardym wyzwaniem,
Od śmierci do śmierci
- lecz w ramie o ramie.

Szli w naszym milczeniu
Jak w Świecie Żałoby,
Noc biała otwarta
Pod nimi się grobem,
Szli z szanca, co ostał
Sie jeno w Legendzie,
Co będzie, to będzie
Co będzie, to będzie!
But grzeźnie w asfalcie
Zorany pociskiem,
I jedno nam niebo
W płomieniach jest bliskie,
I jedne nam dymy
Pożarne, pożarne,
I jedna nam Wolność
Wśród ciszy cmentarnej...

Szli, szli, szli...

Wiatr niósł im nad głową,
Wiatr huczał w płomieniach,
Że było, to padło,
Że dzisiaj już nie ma!
Na gruzach Starówki
Brzask przetnie jak nóż
Trzydzieści dwie doby
I krzyknie, że już!
Że padło, że odwrót,
Że idą i idą,
Zgarbieni, zbłoceni,
Z oczami wpadłymi,
Schyleni do ziemi,
Do ziemi, do ziemi...

Gdy rozkaz - to trzeba,
Choć serce skowyczy!
W rozkazie się serca
Żołnierza nie liczy.

Szli, szli, szli...

A tam nie zostało nic
oprócz rumowisk...
Odeszli z stanowisk.
Odchodzą z stanowisk!!!
Strop zgięty w płomieniach
I w grozie i w krzykach!

But w krwawym pochodzie
Utyka, utyka...

Za mil tysiącem huczne brawa.
Saluty! Sława! Sława! Sława!
Dłonie złożone do oklasków -
Znów Serce Świata tonie w blasku
Z Dymem Pożarów dom ostatni.
I dech ostatni! Jęk ostatni!!!

Żołnierzu! Zęby wilcze zatnij
I przez ulice spłomienione maszeruj!
Londyn, Paryż, New York,
Surmy w Brukseli, w Amsterdamie
Grają ci dzisiaj na konanie
- Pod Twą Obronę -

Na asfalcie
Kikut utyka w żywej ranie
Grają ci bracie na konanie
- więc
Ramię w ramię!

MANIFEST

Skrwawiony mur podnieśmy
Nad głowy całego świata
Niech rośnie Stolica Ducha
i nad zgarbione grzbiety
Jak Wiecznej Wolności biuletyn
Gromem wybucha!

Wam, chleba przeżuwaczom,
Co dnie niżecie na niewoli sznurze,
Bez Jutra, w śmiertelnej trwodze,
Dniem jednym życie zagroźde:

WARSZAWA WYDAŁA MANIFEST DO WSZYSTKICH NARODÓW ŚWIATA!!!

Podnieśmy nad głowy milionów
Skrwawione mury i zgliszcza,
I tym, co jeszcze wątpią,
I tym, co już sił nie starczy,
Niech werbel bojowy zawarczy,
Niech Dzień w ich sercu jak wystrzał
Uderzy!

— Powietrza! Więcej powietrza!
Precz z kęsem, gdy dnie zatrute! —
Podnieście dłonie okute
i bijcie w trumien wieka,
Niech zmartwychwstanie w płomieniach
GODNOŚĆ WOLNEGO CZŁOWIEKA

ZA I PRZECIW
4 października 1981

Teodor Bujnicki
1907 - 944

Modlitwa za Warszawę

Boże Pragi, Boże Raszyna!
Boże Olszynki i Woli,
Boże pól Radzymina,
Boże walczącej Warszawy!

Modlimy się za naszą stolicę,
Z której jesteśmy dumni,
Za jej bohaterskie sprawy,
Za jej skrwawione ulice.

Za pożary, za kruszone ściany,
Za okopy i za barykady,
Za Belweder bombami strzaskany,
Za przedmieścia w ogniu pocisków.

Za poległe kobiety i dzieci,
Za żołnierzy na stanowiskach,
Za piosenkę, co jak gwiazda świeci
Nad baterią, nad rowem strzeleckim.

Modlimy się za odważnych,
Za radosnych, ofiarnych, ochotczych,
Za patrzących bez trwogi na wroga,
Za ich dłonie, usta i oczy.

Boże Reduty Ordona,
Sprawiedliwej Rozdawco glorii -
Nie o cud Cię prosimy w modlitwie,
Nie o cud, lecz o słuszną historię.

Zbigniew Chałko
1921 - 1994

Sierpień

W sierpniu najżyźniej śmierć dojrzewa
sierpy dziewczynom lecą z rąk.
W bandażach dymu strzepy nieba
i miasto jak dojrzały snop.

Słowa skreślone z listy żywych
i w torbie twej bezradny lek -
przysiądź na progu, stąd już chwila
na tamten brzeg.

Powtórz ten gest, gdy w chłodnych dłoniach
niby w dwojczkach - dajesz sen,
straszliwie moja i nie moja,
złamana burzą w wiotki sierp.

W sierpniu najwięcej gwiazd umiera
jakiem jest wiatr i wiatrem jęk -
samarytanko, niech ci śpiewa
ciśnięty w mrok granatów pęk.

Zbigniew Chałko
1921 - 1994

31 SIERPNIA 1944

Stare Miasto zabite,
bezcenna paleta,
i krzyk w górze kamienny,
który niebo strzaskał.
Stężała w gruz
pośmiertna maska
modelki Canaletta.

Zbigniew Chałko
1921-1994

ANTYFONA

Poszli chłopcy z granatami
na Zamek -
w twarz im szczeka
cekaemów
heksametr.

Poszła matka po wodę
z wiadrami -
powitały ją pociski
trenami.

Zakipiała gniewna Wisła
ku brzegom
omiecioną ekrazytów
elegią.

A w piwnicach,
pod ziemią spaloną
szłocha ciemność
cierpką antyfoną:

Matko Boska Uliczna,
Opiekunko barykad,
Panno łunami Śliczna,
Tarczo idących na wypad,
Wieżo z cegły zmiażdżonej
Nad naszymi głowami,
Wygńanko z Bud i z Woli,
Księgo boleści nieukojonej,
Łączniczko w dymnej aureoli -

Módl się za nami.



Zbigniew Chałko

1921 - 1994

Warszawie w kwiatach

Stolico w kwiatach -
czas się zatroskać,
jaki to bukiet
za swoją ranę
przytuli w śmierci
Basia Rankowska
pod Świętym Janem

Stolico w kwiatach -
w Łazienkach
i w Agrykoli,
a sierżant Ligoń
poległ wśród bitwy
u stóp Andrzeja Boboli.

Stolico w kwiatach -
przebili serce
piętnastoletniej Podziomki,
wpleć jej we włosy,
złóż na panterce
pieszczotę
z bratków i żonkil.

Stolico w kwiatach -
bzy już przekwitły
porucznik Lechicz
pod kule zgiął
srebrne skronie
pora mu rzucić
astrów uśmiechy,
nasturcje i pelargonie.

A gdy za mało kwiecica
twym grobom
w ruinach,
w gruzach,
pod brukiem -
ty je Warszawo
przygarnij sobą
i w siebie wpleć,
jak w bukiet.

Zbigniew Chałko

1921 - 1994

Dzień przedostatni

Leżymy w szarej bruździe świtu
od Wisły już ćwierkają kule,
dniu przedostatni - ty nas przytul
najtkliwiej i najczulej.

W płomieni szepcie i szeleście
noc wypalona popieleje,
i rządzi śmierć na Starym Mieście
czarną chorągwią kleski wieje.

Nagle - trąconych gruzów turkot
budzi ruiny oniemiało:
to ksiądz, wiedziony sygnaturką
przyszedł nakarmić Bożym Ciałem.

Sukienka na nim podkasana
i rdzawy pył na biednej wełnie,
głowa odkryta, bo niósł Pana
w żołnierskim hełmie.

Ku chmurom dźwignął Chleba skrawek,
świtową szarość rozpromieniał
i błogosławił Nim Warszawę
w ten przedostatni dzień zniszczenia.

Zbigniew Chałko

1921 - 1994

MODLITWA NA DZIEŃ ZADUSZNY

Wieczne odpoczywanie
prochom
w trumiennym próchnie,
prochom bezimiennym.
I tym
w Kryptach Zasłużonych
i tym
w Krypcie Srebrnych Dzwonów,
w krematoriach,
w kamieniołomach,
w zaoranych okopach,
w skibach czarnoziemu
w zburzonych domach
i na Bródnie.

O, Panie w głogowej koronie -
przemów;
niech się tak stanie.

Niech odpoczywają w pokoju
białe kości
gdańskich pocztowców
i bydgoskich dzieci.
Niechaj im świeci
jasną latarnią
światło ojczyście.

A tym nad brzegiem
Białego Morza
u światła kresu,
pod martwą darnią -
daj Chryste
nasze żarliwe pacierze,
żał bez adresu.

A na kwaterze
powązkowskiej
daj sen spokojny
żołnierzom Roga,
z batalionu "Zośki",
obrońcom Woli,
Starówki i Żoliborza.

O, Panie,
Który wszystko możesz,
wskaż grzesznym drogę
i miejsce w popiołach,
które wiatr rozwiewa,
niech rozpoznają
wśród pacierzy,
do jakiej garstki
prochu należy
Generał Grot
- wódz bez buławy -
i gdzie ten proch z twardego drzewa
odarty z kwiatów:
Prezydent Warszawy
Stefan Starzyński.

I naucz jeszcze
dobry Boże
polskich zdrowasiek
białe brzozy,
niechaj ja szepcą
za nas w pokorze.
W Lesie Katyńskim.

Zbigniew Chałko
1921 - 1994

ROK CZTERDZIESTY CZWARTY

I jak ci, przyjacielu,
towarzyszu broni -
w płachetku własnej ziemi
po pańsku rozparty -
śni się tamta Godzina,
gdy od szczęścia niemi
słuchaliśmy, jak bije:
Rok Czterdziesty Czwarty?

Potem salwy bezradne:
werbel na konanie.
I ten granat rozpaczy:
butelka z benzyną.
I Miasto - jeden płomień.
To z niego powstanie
ziemia twojej Wolności -
pod białą brzezyną.

Jakże trumna wążutka
w powązkowskim grobie
więzić będzie twą dumę
i rozpacz i męstwo?
I jak się - przyjacielu -
zdoła przyśnić tobie
gorzkie bardziej niż piołun
za grobem zwycięstwo?

Śpij spokojnie, kolego.
Ktoś to zapamięta.
Może te brzozy białe
młodsze od twych kości,
lub dzieci, które tutaj
zaciągnęły warty...
Może one to pojmą,
w dzień twojego święta,
jak bezmierną jest cena
bezmiernej miłości,
wpisanej w kalendarzu:
Rok Czterdziesty Czwarty.

Marta Dembicz

Modlitwa warszawska 1944

Gdy w nasze uszy ogłuchłe od huku,
Gdy w nasze oczy ośleple od dymów,
gdy w nasze serca umarłe od zgrozy
uderzasz codzien od nowa i mocniej
- na krwawych szanłcach
wśród próżnego trudu
czekamy cudu -

Patrzące na nas rosą płacząc gwiazdy,
ziemia pod stopą dźwięczy głosem twardym,
wśród krwi zachodzi przerażone słońce,
Tyś jeden od nas dziś odwrócił serce
- na krwawych szanłcach
wśród próżnego trudu
czekamy cudu -

Patrzącym w zachód ciężkie w sercu łzy,
przez łzy na oczach długie linie szyn
i stuk wagonów, co jadą wśród mroków,
nucąc piosenkę do snu - niewolnikom -
- na krwawych szanłcach
wśród próżnego trudu
czekamy cudu -

Zapomnieliśmy modlitw białoskrzydłych,
co mkną ku Tobie wśród kadzielných dymów -
naszych kościołów powalone gruzy
użyźnią ziemię pod trawę zieloną
- na krwawych szanłcach
wśród próżnego trudu
czekamy cudu -

My Cię wołamy siłą pokrwawionych pięści!
Bezsłowną mową tego miasta śmierci.
Gdy serca matek siódmy miecz boleści,
gdy nam już dawno zginął cień nadziei
- na krwawych szanłcach
wśród próżnego trudu
czekamy cudu -

Pruszków, wrzesień 1944

Edward Dusza

Dzieci Warszawy

Tyś, o miasto, nad wszystkie stolice!
Pod każdym twym chodnikiem dziecięce cmentarze!
Kiedyś dzieci pobiegły w płonące ulice,
Walczyć, ginąć za swoją Warszawę...

Nocą, kiedy księżyc na niebie zaświecił,
długo szukały matki na Kruczej, na Hożej
i znajdowały w gruzach trupy swoich dzieci,
Policz to kiedyś wrogom, sprawiedliwy Boże...

Gdy Wisłą nadpłynęła flotylla Charona,
i zapłonęło miasto, na bruku ulicy
trafiony kulą żołnierz mały konał...
Umierając, nie wierzył w śmierć swojej stolicy...

Dziś tylko wiatr imiona ich szepcze w Łazienkach,
modlą się za nimi topole żałosne
i księżyc, który widział i ciągle pamięta,
i każdy kwiat w Warszawie rozkwitły na wiosnę.

Opowiadają o nich w niejednej piosence,
i o nich pluszcze Wisła, o nich tramwaj dzwoni...
Chłopcy wzięli karabin w swoje małe ręce:
Nie umarła Warszawa - bo umarli oni...

Witold Hulewicz

Mogiłka na skwerze

Nogą można potrącić, tuż obok rynsztoka,
W biednych kwiatkach i hełmu stalowym rynsztunku
Krzywy napis: "Nieznany" - i z błota powłoka,
I słowa twardej chwały: "Padł na posterunku."

Jemu to się należy najszczerzy z pacierzy,
Co umierając szeptał: "Warszawy nie damy."
Grób na skwerze ulicznym, krzyż z okiennej ramy...
Taka mała mogiłka, a w niej wielkość leży.

polonijnego szkolnictwa brała czynny udział w zebraniach Centrali Polskich Szkół Doksztalających w Ameryce, w konferencjach nauczycielskich, Zjazdach i Sympozjach. Wzorowy nauczyciel, osoba o wielkiej kulturze na odcinku współpracy z rodzicami oraz gronem pedagogicznym.

Feliksa Sawicka - współzałożycielka szkoły im. Św. Maksymiliana Kolbego w Riverhead, N. J. i kierowniczka tej szkoły od daty założenia w 1972 roku do chwili obecnej. W roku założenia szkoła nosiła nazwę "Błogosławionego Maksymiliana Kolbego".



W czasie dwudziestodwuletniej działalności oświatowej szkoła przechodziła trudne okresy, ale niestrudzona i ofiarna praca kierownika przyczyniła się do utrzymania i rozwoju szkoły.

Feliksa Sawicka dzielnie zwalczała przeciwności, utrzymała szkołę przy życiu, a swoją postawą dała wzorowy przykład nauczycielstwu.

Z okazji Jubileuszu 20-lecia szkoły otrzymała dyplom uznania za działalność oświatową od Centrali Polskich Szkół Doksztalających w Ameryce.

Feliksa Sawicka jest czynną w pracy Centrali - uczestniczy w zebraniach, Konferencjach Nauczycielskich, Zjazdach i Sympozjach.

Wanda Sobecka - studia pedagogiczne oraz wyższe studia biologiczne ukończyła w Polsce. Po ukończeniu studiów uczyła w szkołach średnich.

Do Stanów Zjednoczonych przyjechała w 1979 roku i w tymże roku rozpoczęła pracę nauczycielską w Polskiej Szkole Doksztalającej

im. Marii Skłodowskiej - Curie w Irvington, N.J. i pracuje tu do chwili obecnej.

W pracy szkolnej jest nauczycielem sumiennym i obowiązkowym, na co wskazuje nieprzerwana praca obecność w szkole - w ciągu piętnastu lat opuściła tylko dwie soboty. Wolny od pracy czas poświęca na przygotowanie imprez szkolnych - pisze teksty, układa programy, szyje kostiumy.

Wanda Sobecka jest czynną w pracy Centrali - uczestniczy w Zebraniach, Konferencjach i Zjazdach Nauczycielskich.

W szkole cieszy się szacunkiem ze strony Komitetu Rodzicielskiego, jest szanowana i lubiana przez uczniów.

W czasie Jubileuszu 10-cio lecia szkoły otrzymała dyplom uznania i podziękowanie za dobrą pracę pedagogiczną od Komitetu Rodzicielskiego.

Stanisław Soboń - wieloletni członek Zarządu Centrali Polskich Szkół Doksztalających, nauczyciel w szkole im. Marii Skłodowskiej - Curie w Irvington, N.J. w latach 1980 - 1982.

W roku 1961 jako rodzic posyłający syna do polskiej szkoły "Gniazda Sokołów" w Newarku, N.J. został delegatem do Centrali z uwagi na

okazane zainteresowanie problemami szkoły oraz dążeniem do poprawy warunków w odniesieniu do programu nauczania, podręczników i organizacji pracy.

W styczniu 1963 roku na zebraniu Zarządu Stanisław Soboń został dokooptowany do Zarządu Centrali Polskich Szkół Doksztalających w Ameryce jako wiceprezes wykonawczy oraz powierzono mu funkcję przewodniczącego obchodów "Dnia Polskiej



Tadeusz Gajcy
1922 - 1944

Rapsod*

W odmetach godzin łamanych kropiły werble ponure,
po śladach podków gubionych kołował żałobny rapsod,
zaczynał deszczem płacz stromy mrocznym nakrytym mundurem
i żużel serca w muzyce powrotnych kroków wygasał.

Ceglasty uśmiech szyderczo witał z wysokich ruin
na dźwigni ramion osiadał ku ziemi dusił jak próżnia
wieczne okna łzały oczy się w oknach snuły
w spletanym krzyku sierocym prawdy nie mogły odróżnić.

Dzwony zjeżone mosiężnie ściśnięte leżały w pięści
w kościołach wonne procesje zastygły u kwiatnych ołtarzy,
święte płakały perłami - łzy opadały w chrzeście
jak broń składana na stosy w odblaskach rudego pożaru.

Gestniały cienie barykad. W supłach drutów kolczastych
ciepłe kałuże metniały jak smutne żołnierskie oczy
żał był jak noc. I jak co dzień skąpe chodziły gwiazdy
nad wypukłymi hełmami - pękami zielonych pnączy.

Popiół jak śnieg. Kosmaty zmrok ogarniał poszum gorzkich drzew,
w bezradność szli. I łany głów zwieszone nocą w rytmie marszu
pływały z miasta w wrogi dzień. A wciąż dymiła żywa krew
na ziemi krąglej ziemi złej jak na bojowej twardej tarczy.

I barwne płótna siekły wiatr. Bolały siwe oczy matek.
Korale modlitw z suchych warg. Jakże bezsilne dłonie obie -
Żelazny rapsod łamał sen. To przechylony poprzez lata
wołał jak prorok w kłosu słów o kruchych dłoniach biały chłopiec.

Zakrzepły wizje w klamrach strof. Latały chmury w skórach zwierząt
archaniołowie deli w dźwięk, pisk ptaków padał mlaskiem cięciw
prorocy w szatach z cichych łun dławili w ustach pieśń bezbrzeżną
w pustelniach dłonie pełne krwi unosząc poprzez płacz dziecięcą.

Sny jeszcze. Maszty żywiczne kreśliły radosny deseń
i dzwonki w gotyckich nawach czule muskały rzęsy,
niebo jak step. Skądże wiedzieć, że sny nie będą bezkresne,
niebo uderzy jak kasztan, pożar rozszerzy wrzesień?

* rapsod (z greckiego) - fragment większego poematu epickiego lub samodzielny utwór poetycki poświęcony opiewaniu czynów bądź zalet znanego bohatera.

Tadeusz Gajcy
1922-1944

Śpiew murów

Nocą, gdy miasto odpłynie w sen trzeci,
a niebo czarną przewiąże się chmurą,
wstań bezszelestnie, jak czynią to dzieci,
i konczę ucha tak przyłóż do murów.
Zaledwie westchniesz, a już cię doleci
z samego dołu pięter klawiaturą
w szumach i szmerach skłębionej zamieci
minionych istnień bolesny głos chóru.

“Bluszczem głosów spod ruin i zgłiszcz
pniemy się nocą nad dachy i sen,
tobie, Warszawo, co w snach naszych śnisz
nucąc wrzeshniami żałobny nasz tren.”

- Biegłam rankiem po chleb do piekarni
(chleba dotąd czekają tam w domu),
a ja leżę z koszykiem bezradnie,
tuż za rogiem, nie znana nikomu...

- Właśnie ręką chwytałem za granat,
żeby czołgi przywitać nim celnie,
ziemia była splekana, zorana -
nagle świat mi się zaćmił śmiertelnie...

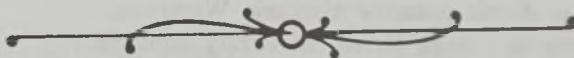
- Myśmy obie wyniosły na noszach,
jeszcze kocem okryły mu nogi,
bo krzyczeli dokoła, że pożar...
Ja na świstku pisałam: “Mój drogi...”

“Bluszczem głosów spod ruin i zgłiszcz
pniemy się nocą nad dachy i sen,
tobie, Warszawo, co w snach naszych śnisz
nucąc wrzeshniami żałobny nasz tren.”

Słuchaj tych głosów żalosnych żarliwie,
nim brzask poranny uciszy je w niebie
i nowe miasto w napiętej cięciwie
dni tryumfalnych na nowo pogrzebie.

Słuchaj tych głosów, boś po to szczęśliwie
ocalon został w tragicznej potrzebie,
byś chleb powszedni łamał sprawiedliwiej
i żył za tamtych lepiej i za siebie .

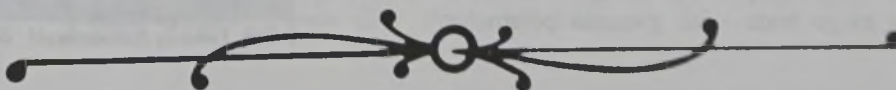
Jak nie kochać strzaskanych tych murów,
tego miasta, co nocą odpływa,
kiedy obie z greckiego marmuru -
i umarła Warszawa, i żywa.



Tadeusz Gajcy
1922-1944

Żegnając się z matką

Jak do Ciebie będę pisał
pochylony nad sobą w żalu.
Serce chłodne świeci jak kryształ
i choć wczoraj się z Tobą rozstałem,
jak Ci słowo do dłoni podam
badający uparcie ciemność,
skoro mówisz: lekka jest młodość
chociaż ognia bukiet nad ziemią,
skoro mówisz: ciałem człowieczym
trzeba schodzić nisko, najniżej,
bo radosna w locie tym wieczność
jest kołyską zrodzoną na krzyżu.
Jak Ci sercem odpowiem jak źródłem
wykuty głosem śpiewnym,
kiedy tłum przerażonych jaskółek
niosą po ręce lewej,
jak mych ust niewyzcutych graniem
mam zawołać bohaterski i bliski,
gdy po mej ręce prawej
drży ojczyzny pogięta kołyska
i piosenka wieczorna leży
jak owocu zniszczone grono,
dalej niebo, dom mój i księżyc
opuszczony jak Ty i młodość.



Zbigniew Jasiński ("Rudy")

Żądamy amunicji

Tu zęby mamy wilcze, a czapki na bakier,
Tu u nas nikt nie płacze w walczącej Warszawie,
Tu się Prusakom siada na karku okrakiem
I wrogów gołą pieścią za gardło się dławi.
A wy tam śpiewacie, że z kurzem krwi bratniej.
Że w dymie pożarów niszczeje Warszawa,
A my tu - naga piersią na strzały armatnie,
Na podziw wasz, na śpiewy i na wasze brawa.
Czemu żałobny chorał śpiewacie wciąż w Londynie
Gdy tu nadeszło wreszcie oczekiwane święto?
U boku swoich chłopców tu walczą dziewczęta
I małe dzieci walczą i krew radośnie płynie.
Halo! ... Tu serce Polski! Tu mówi Warszawa!
Niech pogrzebowe śpiewy wyrzucą z audycji.
Nam ducha starczy dla nas i starczy go dla was,
Oklasków też nie trzeba. Żądamy amunicji!



Stanisław Ostrowski

1915 - 1979

Epitafium warszawskie

Nic nie ma oprócz ciszy, która grozą krzyczy
Nic nie ma prócz krwi plamy i garści popiołu...
Na gruzach mego miasta Bóg mogiły liczy
I wieczność szumi w skrzydłach płaczących aniołów.
Pozostał punkt na mapie i haust goryczy,
Pustka w znużonych oczach - już wiele żegnały -
I strach, co nocą budzić mnie będzie na pryczy,
Że nic już się nie zmieni - bo wszystko się stało!

Bo wszystko... Nie nieprawda - dwa słowa: Tak trzeba,
I krew, co szumi w żyłach gorąca, ofiarna
Uparcie będą wiodły poprzez wszystkie nieba
Nie mnie, to mego brata - jak gwiazda polarna!

Artur Międzyrzecki

1922 -

Modlitwa warszawska 1944

Oto posągu rozbity kamień,
Oto umarłe ulice.
Święta Maryjo, módl się za nami
O amunicję.

Oto bezduszny serca egzamin,
Oto po dwakroć ruiny.
Święta Maryjo, módl się za nami
O karabiny.

Gdzież są granice ludzkich doświadczeń,
Gdzież jest zapłata rozwalin?
Święta Maryjo, nikt tu nie płacze,
Gniew tu się pali.

Noc nam śmiertelne okrywa rany -
Nim świt odsłoni nas błądy,
Święta Maryjo, wstąp razem z nami
Na barykady.

Oto nam huczą strzały armatnie
Na szancach Żelaznej Bramy,
Święta Maryjo, w palbie ostatniej
Módl się za nami.

Wrzesień 1944



Gen. Tadeusz Komorowski "Bór"

Jan Roztworowski
1919 - 1975

Pacierz Warszawy

Czemu o Tobie pisać mi każą w godzinę ciemną,
Kiedy anioła pocieszyciela nie ma nade mną?
W taką godzinę, że nawet młodość - matka zapomnień
Twarz odwróciła, bo nie potrafi przemówić do mnie.

Lecz może trzeba otworzyć okno do tamtej sprawy,
W ulicę grozy, chwały i męki popatrzeć z bliska,
By, jak pacierza, nauczyć dzieci Twego nazwiska:
Kleknijcie chłopcy. Bedziemy mówić pacierz Warszawy.

W imię Wolności, w obronie Szczęścia swego i wszystkich,
Za wiarę w Jutro, że mu na imię Miłość i Prawość.
Z imieniem Ojca, Syna i Ducha; pierwsze pociski
Zraniły miasto. I zakrwawiłaś łuną, Warszawo.

Nie płaczcie, dzieci. Módlmy się dalej, późna już pora
I mgła wieczorna otula miasto na ziemi obcej.
Tam lud warszawski wrześniową szablę z bruku wyorał
I oszalało miasto wolnością. Słyszycie, chłopcy?

Może tam nagle maki zakwitły i białe róże,
Pęki róż białych, otwarte usta i pieśń jak burza,
Że już nareszcie, że wyczekiwać nie można dłużej,
Że wstaje miasto w czerwonych makach i białych różach.

A potem była krew, żar i ołów, niemiecki ołów
I kurz gryzący i gruz, i jęki głuche szrapneli...
Wyczekiwano, wypytywano lotu aniołów,
Lecz niebo stało puste i ciemne. - Nie przylecieli.

Módlmy się, chłopcy, za tych, co czekać muszą bez wieści,
Krwawą leniwość anielskich skrzydeł Sąd Boży zbada.
Runął Król Zygmunt, nawy Katedry ogień zbeczcześcił
I ciała matek waszych ostygły na barykadach.

A potem było chleba za mało i słabli z głodu;
Ciężki karabin wypadał z dłoni - przekłete dłonie...
A potem były groby pod darnią miejskich ogrodów
I trupy domów, i trupy ulic. Potem był koniec.

Więc pamiętajcie: Warszawy nie ma! Odeszła w gwiazdy
W imię Wolności, w obronie Szczęścia odeszła. AMEN.

Nikt nie uwolni. Nie wstrząsną brukiem nowe najazdy.
Do miasta-ducha kluczem wieczności zamknięto bramę.

Noc nad Londynem czarny aksamit nieba rozpina,
Spadają w przepaść codzienne sprawy, przelotne sprawy...
Kleknijcie, chłopcy. Z imieniem Ojca, Ducha i Syna.
Na ziemi obcej. Będziemy mówić PACIERZ WARSZAWY.

Anna Świrszczyńska
1909 - 1984

Budując barykadę

Baliśmy się budując pod ostrzałem barykadę.

Knajpiarz, kochanka jubilera, fryzjer,
wszystko tchórze.
Upadła na ziemię służąca
dźwigając kamień z bruku, baliśmy się bardzo
wszystko tchórze —
dozorca, straganiarka, emeryt.

Upadł na ziemię aptekarz
wlokąc drzwi od ubikacji,
baliśmy się jeszcze bardziej, szmuglerka,
krawcowa, tramwajarz,
wszystko tchórze.

Upadł chłopak z poprawczaka
wlokąc worek z piaskiem,
więc baliśmy się
naprawdę.

Choć nikt nas nie zmuszał,
zbudowaliśmy barykadę
pod ostrzałem.



Ksiądz z harcerzami wnoszą naczynia kościelne z kościoła św. Aleksandra.

Jan Twardowski
1916 -

Matka Boska Powstańcza
(fragment)

Bóg Ci słońca na dłonie Twoje nie żałował
ani ciszy na usta Twe zbyt mało dał -
broń bym zdobył dla Ciebie, o głodzie wędrował,
potajemnie orzechy na ołtarz Ci rwał

Najświętsza, utracona, z rozkazami spalona -
w barykady równocześnie strumieniem -
z Tobą twarz zapłakana, z Tobą bitwy do rana
i uśmiechy, i sen na kamieniu

(1944)

Antoni Słonimski
1895 - 1976

Mogła nieznanego mieszkańca
Warszawy

Antyczni, nadzy i ogromni,
Zastygli w krzyk kamiennych warg,
Których na łukach tryumfalnych ark,
Ustawią kiedyś w rząd potomni,
Bohaterowie wielkich dni,
Na tle chorągwi i barykad,
Antyczni, nadzy i ogromni,
O których co dzień komunikat
Podawał światu rapsod nowy,
O was historia nie zapomni,
I narodowy rzuci pieśniarz
Ziarno męczeńskiej waszej krwi
I posiew cierpień,
I uniesień,
Na nowy Sierpień,
Nowy Wrzesień,
Na nowych dni sześćdziesiąt trzy.

O was historia nie zapomni,
Lecz któż na grobach będzie siadał
Tych, którzy trwożni i bezdomni
Padali mrowiem niezliczonym,
Któż się o milion ten upomni?
I jaki pieśniarz będzie składał
Słowa gorące i szalone
O tych, co w cieniu waszej glorii,
Bez narkotyku wielkich czynów,
Konali w męce dla wawrzynów,
Co wasze skronie ozdobiły,
Rzucając pomiot ciał swych zgniłych
W dymiący, krwawy gnój historii?

Dla was pieśń moja i łzy moje,
Zwyczajni, prości, nieogromni.
Stokroć was więcej padło w boju,
Lecz któż imiona wasze wspomni?
Tragarze, szewcy, rzemieślnicy,
Doktorzy, krawcy i służące,
Żony i siostry, co miesiały
Skryte wśród gruzów po piwnicach,
Przez to szaleństwo krwi i chwały,

W mękach, w rozpaczy umierały -
Dla was łzy moje, łzy gorące.
A gdy na zgłiszcza wróci życie,
Na narodowy święty grób,
Gdy kości będą zbierać z szańca,
Aby z nich dźwignąć pomnik sławy,
Niech na cmentarnej będzie płycie
Ten napis prosty, napis krwawy:
Tu leży Trup
Nieznanego Mieszkańca
Warszawy.

1944



Janina Wójcicka - Banachowa
1904 -

Egzekucje

Nowy Świat, Świętokrzyska, Młynarska, Marszałkowska
Śladami egzekucji idzie Matka Boska.
Litewska, Rakowiecka, Grójecka, Ursynowska.
I w rąbek zdjety z głowy śmiertelny zbiera siew.

Śladami egzekucji idzie Matka Boska,
Oczy rozwarte grozą, już rąbek nie wystarcza,
Zakrzepłą krew zagarnia w róg niebieskiego płaszcza.

Aleje, plac Trzech Krzyży, Książęca, Czerniakowska.
Śladami egzekucji idzie Matka Boska.
A gdy już płaszcza mało, w swej bosko-ludzkiej męce
Gorące składa krople w otwarte swoje serce -
Lecz choć to serce wielkie, jak ziemia i jak niebo,
Jeszcze się z niego strugą zebrana krew przelewa.

Nowy Zjazd, Waszyngtona, Targowa, Żygmuntowska,
Śladami egzekucji wciąż idzie Matka Boska...

Warszawa, marzec 1944

Rok 1944

Z ulic powstańczej WARSZAWY

1

Tutaj, w tym mokrym rowie—
leży martwy człowiek—
podcięty kwiat.
Wzrok szklisty utkwiał w niebie.
Wzniósł oczy do Ciebie
w chwili, gdy padł,
gdy granat pękł.
Czyż on ma w oczach lek?...
Wierzył że za świętą sprawę
strzelał do innych...
Boże, bądź łaskawy!
On - niewinny.

2

Młoda matka; w ramionach
maleńka dziecina
Z obu główek dwie strużki
różowej krwi płyną.
Przechodziły tamtędy—
może przed godziną.
Teraz, leżą samotne,
nieznane nikomu.
A były czyimś szczęściem
tam, w zburzonym domu.

3

Idziesz dalej. Tu kadłub
zmiażdżony, bez głowy,
zatomował ci drogę.
Tutaj ręka, tam— noga,
tu ciała zmieszane.
Któż rozróżni wśród gruzów? —
Tutaj, grobek maleńki
Ktoś kogoś pochował.
Tam, koń padł pod ścianą.
A pies usiadł i wyje.
On już także bezdomny;
głodne psisko, niczyje.
Tutaj, stały szeregiem
znane kamienice.
Tak wygląda wśród słońca
warszawska ulica.

4

Wtem, ktoś przeszedł koło mnie.
Zatrzymał się blisko,
podniósł w górę ramiona
i pięści zaciskał.
A krew z twarzy uciekła.
Boże! Zgaś w nim ten płomień,
bo od zemsty szalonej
zadrgało by piekło.

5

Na Krakowskim Przedmieściu,
Chrystusa figura,
przez "luftwaffe" zwalona.
Dłoń w górę zwrócona
wskazuje, gdzie nadzieja
biednym ludzkim marom;
gdzie czeka sprawiedliwość,
a zbrodniarzy kara.



Nieznanymi bohaterkami i bohaterami Powstania były sanitariuszki, sanitariusze i lekarze. Spełniali swe zadania do zupełnego zniszczenia szpitala albo śmierci własnej i pacjentów.

Kazimierz Wierzyński
1894 - 1969

Święty Boże

Święty Boże,
Święty Mocny
Święty a Nieśmiertelny!
Błogosław naszej broni;

Gdy ją przyłoży
Piechur do skroni,
Niech trafia najcelniej.

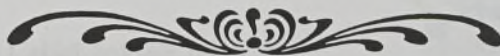
Święty Boże!
Wszechmocny a Tajemny,
Który jesteś w niebie!
Niech żaden nasz pocisk
I żaden nasz wystrzał
Nie padnie daremny
W okrutnej potrzebie.

Święty Boże!
O sprawiedliwą bijemy się rzecz:
O naszą wolną wolę;
O naszą ziemię i morze;

O matki krzyż na czole -
Pobłogosław nasz miecz.
O polskie kości na Wawelu,
O cmentarze ojcowskie,
Na których znak Twój świeci.
O lata przyszłe i przeszłe,
O nasze góry, o Wisłę,
O nasze żony i dzieci,
O dolę daleką i bliską,
O prawa ludzkie i boskie,
O wszystko.

Święty Boże,
Święty Mocny
Święty a Nieśmiertelny!
Błogosław odważnym i dzielnym,
Błogosław naszej wojnie,
Błogosław naszym wojskom
I naszemu męstwu!
Usłysz nasze wołanie,
Który jesteś z nami,
Wszechmogący Panie,
Daj nam zwycięstwo!

Warszawa, 30 sierpnia 1939



Kazimierz Wierzyński
1894 - 1969

1-GO WRZEŚNIA 1944

Jeśli padnie Warszawa, to nie miasto padnie,
I nie polska stolica w podziemiach swych skona,
Lecz wolność wszystkich ludzi, zdeptana gdzieś na dnie,
I prawda wszystkich czasów, przez wszystkich zdradzona.

Więc zbudźcie się, nim kruki i wrony zakraczą,
Zbudź się, świecie, przed zgubą, co światy wyniszcza!
To nie jest głos Warszawy. To w boju rozpaczą
Pierwszy twój żołnierz woła, najstarsze twe zgłiszcza.

Kazimierz Wierzyński
1894 - 1969

MODLITWA ZA ZMARŁYCH W WARSZAWIE

Wieczne odpoczywanie
Racz im dać Panie.
Na Powązkach, na placach, na skwerach.
Pod ruinami domów.
W zasypanych piwnicach,
Tam gdzie kto padł,
Gdzie umierał.

Ofiaruj spokój im zaświatowy
I na mogiły pośpiesz z pomocą,
Bo trzeba było z miejsca na miejsce,
Spod trotuaru pod kamień grobowy,
Już uleżałe przenosić głowy
I sen ich naruszać nocą.

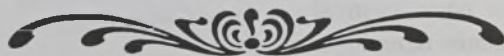
Wyróżnić nieznanym i bezimiennym
Światło, które wieczyście połyska,
Bo cóż im z ludzkiej, doczesnej pamięci,
Kiedy pod krzyżem i hełmem pośnięci
Nie mają nawet nazwiska.

Niech serce twoje ich wynagrodzi
I od najbliższych odejść pomaga,
Bo matkom, co kładły im bandaż na skroni,
Szeptali wargą stygnącą w agonii,
Jak miłość i jak zakłęcie:
Mokotów, Praga,
Okęcie.

Odbierz im rany, pozwól zapomnieć
O nocach o mece i dniach bez ratunku,
Bo gdy pod ścianą rozbitych szpitali
Marli bez wody i opatrunku,
Cisza z przedpola zapadła złowroga,
I nie koledzy ich salwą żegnali
Lecz werbel zwycięski wroga.

Spójrz, Sprawiedliwy, na dzieło bez miary,
Bo z krwi i z mąk ich, nad miasto, nad gruzy,
Nad niebotyczne, ogromne pożary
Gorzkim rozwiane dymem,
Los nasz się dźwigał wysoko i w burzy
Stoi przed nami olbrzymem.

Spójrz, Sprawiedliwy, na dzieło bez miary,
Na wolność co rośnie z nich nieprzerwanie,
Choć gości z każdym pospołu;
Otwórz niebieską przed nimi bramę,
Do wojujących zalicz kościołów,
Zachowaj moc ich i oddaj im, Panie,
Ziemie ojczyste na wieczne władanie.
Amen.



Kazimierz Wierzyński
1894 - 1969

O ŻOŁNIERZU WARSZAWSKIM

Zdawało się, był lekki i w trumnie swej wąskiej
Niewiele miejsca żywym na świecie zabierze,
Wykopali go, wieźli, szedł tłum na Powązki,
Lecz hełm pod krzyżem został zwałonym na skwerze.

I gdy spoczął pod ziemią na zbiorce spokojnej
I, jak wszyscy poległ na wszystkich cmentarzach,
Duchem wyszedł meldować o sprawach tej wojny
Wodzowi wojsk niebieskich na tronie, przy strażach -
Stanął nagle, coś sobie przypomniał w szeregu
I wyłamał, w przeciwną skierował się stronę
I żadna moc nie mogła zatrzymać go w biegu
I krzyknął tylko innym: nie wszystko skończone.

Schodził na dół, milczący, przez kraj wracał płaski,
Wszedł do miasta, hełm znalazł i stanął na skwerze.
Podchorąży Listopad? Nie, żołnierz warszawski,
Co jeszcze wiele miejsca na świecie zabierze.

Czekamy ciebie...

Czekamy ciebie, czerwona zarazo,
Byś wybawiła nas od czarnej śmierci,
Byś nam kraj przedtem rozdarłszy na ćwierci,
Była zbawieniem, witany z odrazą.

Czekamy ciebie, ty potęgo tłumu,
Zbydlęciałego pod twych rządów knutem,
Czekamy ciebie, byś nas zgmiotła butem
Swego zalewu i hasel poszum.

Czekamy ciebie, ty odwieczny wrogu,
Morderco krwawy tłumu naszych braci!
czekamy ciebie — nie żeby cię spłacić,
Lecz chlebem witać na rodzinnym progu.

Żebyś ty wiedział, nienawistny zbawco,
Jakiej ci śmierci życzymy w podzięce,
I jak bezsilnie zaciskamy ręce,
Pomocy prosząc, podstępny oprawco!

Żebyś ty wiedział, jak to strasznie boli
Nas — dzieci WOLNEJ, NIEPODLEGŁEJ,
ŚWIĘTEJ
Skuwać w kajdany łaski twojej przekłetej,
Cuchnącej jarzmem wiekowej niewoli.

Żebyś ty wiedział, naszych dziadów kacie,
Sybirskich więzień ponura legendo,
Jak twoją dobroć kłąć tu wszyscy będą,
Wszyscy Słowianie, wszyscy twoi bracia.

Legła twa armia zwycięska czerwona
U stóp łun jasných płonącej Warszawy,
i ścierwią duszę syci bólem krwawym
Garstki szaleńców, co na gruzach kona!

Czekamy ciebie — nie dla nas, żołnierzy,
Dla naszych rannych — mamy ich tysiące,
I dzieci są tu i matki karmiące
I po piwnicach zaraza się szerzy!

Miesiąc już mija od powstania chwili,
Łudzisz nas czasem dział swoich łomotem,
Wiedząc, jak ciężko będzie znowu potem
Powiedzieć sobie, że z nas znów zakpili

Czekamy ciebie, ty zwlekasz i zwlekasz,
Ty się nas boisz i my wiemy o tem,
Chcesz, byśmy wszyscy tu legli pokotem,
Naszej zagłady pod Warszawą czekasz!

Nic nam nie zrobisz, masz prawo wybierać:
Możesz nam pomóc, możesz nas wybawić,
Lub czekać dalej i śmierci zostawić!
Śmierć nie jest straszna — umiemy umierać!

Ale wiedz o tem, że z naszej mogiły
Nowa się Polska zwycięska narodzi,
I po tej ziemi ty nie będziesz chodzić,
czerwony władco rozbestwionej siły.

Z tomiku Wiersze Powstania Warszawskiego,
Wiersz bezimienny



Rys. „Yes” Henryk Chmielewski

Demokrata, Warszawa, 1944

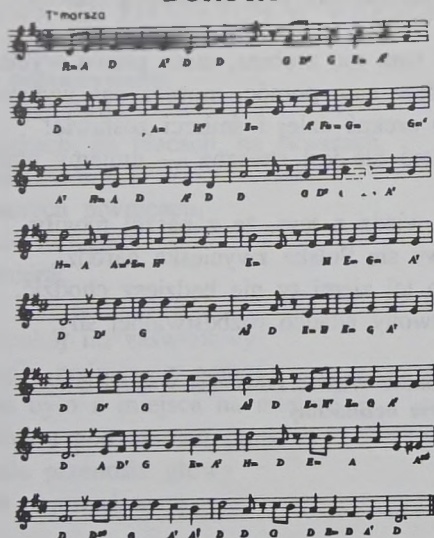


Wanda Sobecka z uczennicami. Dożynki w Irvington, New Jersey — 1991.



Zofia Ziemolżyńska z uczniami

„Juda” Jerzy Dargiel
DOROTA



DOROTA

Kiedy drogą szła piechota,
To z uśmiechem swym Dorota
Otworzyła ścieżaj wrota,
W pierwszej czwórce poszła w świat.

I jak stoi gdzieś w żołnierskiej
Starodawnej tej piosence,
To dziewczęce swoje serce
W agrikoli dała nam.

Bo Dorota roześmiana
Ma dla wszystkich jasny wzrok,
Przed Dorotą, rozkochaną
Wiara daje równy krok.
Przed Dorotą, przed Dorotą
Bacność i na prawo patrz!
A gdy skinie główką złotą,
W piekło, w ogień za nią skacz!

W agrikoli stromą drogą,
Oko w oko stając z wrogiem,
Dziś szeregi idą młode,
By Ojczyźnie służyć krwią.

Od pomnika króla Jana
Idzie nasza wiara szara,
Śpiewa wieczór, śpiewa z rana
O Dorocie pioankę swą.

Bo Dorota roześmiana...

Siekiera, motyka...

Siekiera, motyka, bimbru szklanka,
W nocy nalot, w dzień łapanka;
Siekiera, motyka, światło, prąd,
Kiedyz oni pójda stąd.

Siekiera, motyka, piłka, szklanka,
W nocy nalot, w dzień łapanka;
Siekiera, motyka, piłka, gwóźdź,
Masz górała, to mnie puść.

Co tu robić, o czym śnić,
Szwaby nam nie dają żyć...
Ich kultura nie zabrania
Na ulicach polowania...

Siekiera, motyka, piłka, linka,
Tutaj Prusy, tam Treblinka...
Już nie mamy gdzie się skryć,
Szkopy nam nie dają żyć...

Siekiera, motyka, tramwaj, buda,
Každy zwiewa, gdzie się uda,
Bo po co siedzieć w Cytadeli,
Albo w jakiej innej celi...

Po ulicach gonia wciąż,
Patrzą kogo jeszcze wziąć;
Im kultura nie zabrania
Na ulicach polowania...

Siekiera, motyka, styczeń, luty,
Niemiec z Włochem gubią buty,
Siekiera, motyka, linka, drut,
Już pan malarz jest kaput...

Siekiera, motyka, piłka, alas,
Przegrał wojnę głupi malarz...
Siekiera, motyka, piłka, nóż,
Przegrał wojnę już, już, już...

WYMAGAJĄCY

W czasie bombardowania Warszawy w dniu 25.IX.1939 siedzi dwóch facetów na dachu pełniąc służbę OPL. Jeden z nich ma potworną czkawkę. Bomby lecą, domy walą się w gruzy, a on cza bez przerwy.

— Felek, przestrasz mnie — zwraca się wreszcie do towarzysza — bo już nie mogę wytrzymać, tak mnie ta czkawka męczy.

Jan Markowski

MAŁA DZIEWCZYŃKA Z AK

T. tango

Mirosław Jezierski

MAŁA DZIEWCZYŃKA Z AK

Ta nasza miłość jest najdziwniejsza,
Bo przyszła do nas z grzechotem salw,
Bo nie wołana, a przyszła pierwsza,
Gdy ulicami szedł wielki bal.
Gdy trotuary spływały krwią,
Przez dni szalone, gwiaździste noce,
Była piosenką, uśmiechem, łzą.

Moja mała dziewczynko z AK,
Przyznasz chyba, że to wielka była gra,
Takie różne były końce naszych dróg
I nie wierzę, bym cię znowu ujrzyć mógł.
Choć na dworze była jesień, u mnie wiosna,
I bez trwogi, że dokoła płonął świat,
Tak na wskroś cię przecież wtedy chciałem
poznać,

Moja mała dziewczynko z AK.

Nadzieję tchnęła, tak jak umiała,
Kryła się z nami we wnękach bram,
W ciasnych ulicach, w mrocznych kanałach
Bo już się wielka kończyła gra.
Kiedy się wszystko dla nas skończyło,
Kiedy ostatni zamilkł Pe-em,
Na barykadzie została miłość
Razem z twym sercem i żalem mym.

Moja mała dziewczynko z AK,
Przyznasz chyba, że to wielka była gra
I tak różne były końce naszych dróg,
Przecież ujrzyć cię już nie będę mógł.
Dziś na dworze szara jesień, u mnie jesień
I ta trwoga, choć dokoła spłonął świat,
Już mi ciębie nie wróci, nie przyniesie,
Moja mała dziewczynko z AK.

1944 r. (po kapitulacji)

Mirosław Jezierski

Marsz Mokotowa

Nie grają nam sumy bojowe
I werble do szturmu nie warczą,
Nam przecież te noce sierpniowe
I prężne ramiona wystarczą.

Niech płynie piosenka z barykad
Wśród ulic, zaułków, ogrodów,
Z chłopcami niech idzie na wypad
Pod rękę przez cały Mokotów.

Ten pierwszy marsz ma dziwną moc,
Tak w piersiach gra, aż braknie tchu,
Czy w słońca żar, czy w chłodną noc,
Prowadzi nas pod ogniem z łuf.

Ten pierwszy marsz to właśnie zew,
Niech brzmi i trwa przy huku dział,
Batalion gdzieś rozpoczął szturm,
Spłynęła łza i pierwszy strzał!

Niech wiatr ją poniesie do miasta
Jak żagiew płonącą i krwawą,
Niech nocą zawisnie na gwiazdach,
Czy słyszysz, płonąca Warszawo?

Niech zabrzmí w ulicach znajomych,
W Alejach, gdzie bzy już nie kwitną,
Gdzie w twierdże zmieniły się domy,
A serca z zapachu nie stygną!

Ten pierwszy marsz ma dziwną moc,
Tak w piersiach gra, aż braknie tchu,
Czy w słońca żar, czy w chłodną noc,
Prowadzi nas pod ogniem z łuf.

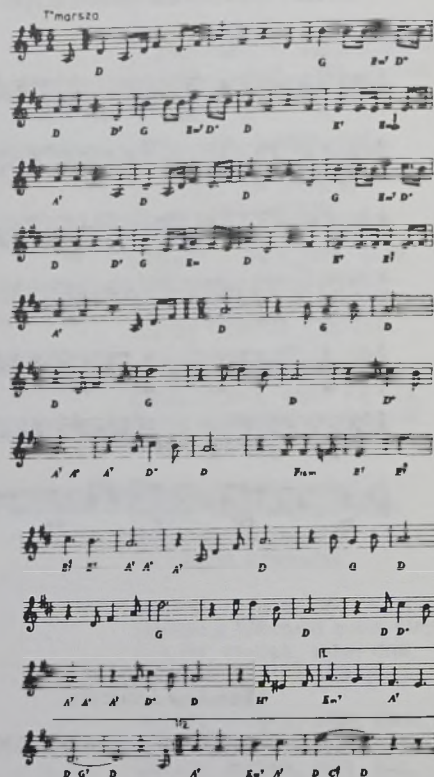
Ten pierwszy marsz niech dzień po dniu
W poszumie drzew i w sercach drzy
Bez próżnych skarg i zbędnych słów,
To nasza krew i czyjeś łzy!

1944r.



Jan Markowski

MARSZ MOKOTOWA



Rys. „Yes” Henryk Chmielewski

„Oj! te nerwy!”

Demokrata, Warszawa, 1943

Józef Szczepański
PAŁACYK MICHLA

Pałacyk Michła, Żytnia, Wola,
bronią jej chłopcy od „Parasola”,
choć na „tygrysy” mają wisy —
to warszawiaki, fajne chłopaki — są!

Czuwaj wiaro i wyteżaj słuch,
pręż swój młody duch, pracując za dwóch!
Czuwaj wiaro i wyteżaj słuch,
pręż swój młody duch jak stal!

Każdy chłopaczek chce być ranny,
sanitariuszki — morowe panny,
i gdy cię kula trafi jaka,
poprosisz pannę, da ci buziaka — hej!

Czuwaj wiaro i wyteżaj słuch...

Z tyłu za linią dekowniki,
intendentura, różne umrzyki
gotują zupę, czarną kawę
i tym sposobem walczą za sprawę — hej!

Czuwaj wiaro i wyteżaj słuch...

Za to dowództwo jest morowe,
bo w pierwszej linii nadstawia głowę,
a najmorowszy z przełożonych,
to jest nasz „Miecio” w kółko golony — hej!

Czuwaj wiaro i wyteżaj słuch...

Wiara się bije, wiara śpiewa,
szkopy się zloszczą, krew ich zalewa,
różnych sposobów się imają,
co chwila „szafę” nam posuwają — hej!

Czuwaj wiaro i wyteżaj słuch...

Lecz na nic „szafa” i granaty,
za każdym razem dostają baty
i co dzień się przybliża chwila,
że zwyciężymy! i do cywila — hej!

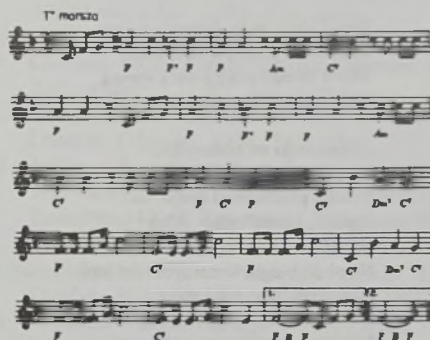
Czuwaj wiaro i wyteżaj słuch...

1944 r.

O NIEMCACH

To uwydatnia się tylko w tym żarcie,
Bo to przechodzi ludzkie pojęcie,
My kochamy Szkopów za-wzięcie,
A oni nas — za-żarcie.

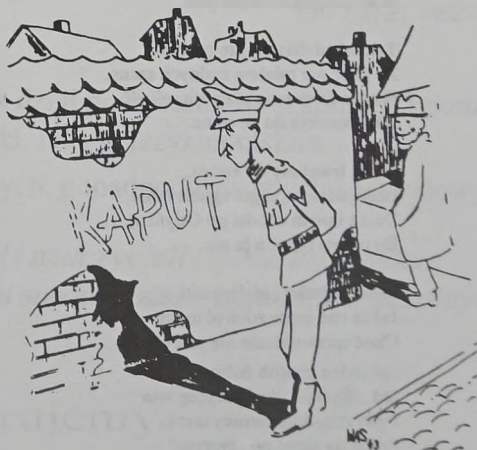
PAŁACYK MICHLA
na melodię „Nie damy Popradowej
fali”



Stanisław Ryszard Dobrowolski

NADZIEJA

Światelko jakieś błyska w chmurze,
mniej jakoś cięży chamski but,
kiedy przeczyta się na murze
krótkie, cieszące wzrok: KAPUT.



Rys. „Was” Andrzej Will

Demokrata, Warszawa, 1943

Mirosław Jezierski

SANITARIUSZKA „MAŁGORZATKA”

Przed akcją była skromną panną,
Mieszkała gdzieś w Alci Róż,
Miała mieszkanko z dużą wanną,
Pieska pinczerka, no i już.

I pantofelki na koturnach,
I to, i owo, względnie lub,
Trochę przekorna i czupurna
I tylko „Mewa” albo „Klub”.

Na plażę biegła wczesnym rankiem,
Aby opalić wierzch i spód,
Dzisiaj opala się „Junakiem”
I razem z nami wcina miód.

Sanitariuszka „Małgorzatka”
To najpiękniejsza, jaką znam,
Na pierwszej linii do ostatka
Promienny uśmiech niesie nam.
A gdy nadarzy ci się gratka,
Że cię postrzelą w prawy but,
To cię opatrzy „Małgorzatka”
Słodsza niż przydzielowy miód.

Ta „Małgorzatka” to unikat;
Gdym na Pilicką dzisiaj wpadł,
Czytała głośno komunikat,
A w dali głucho walił piat.

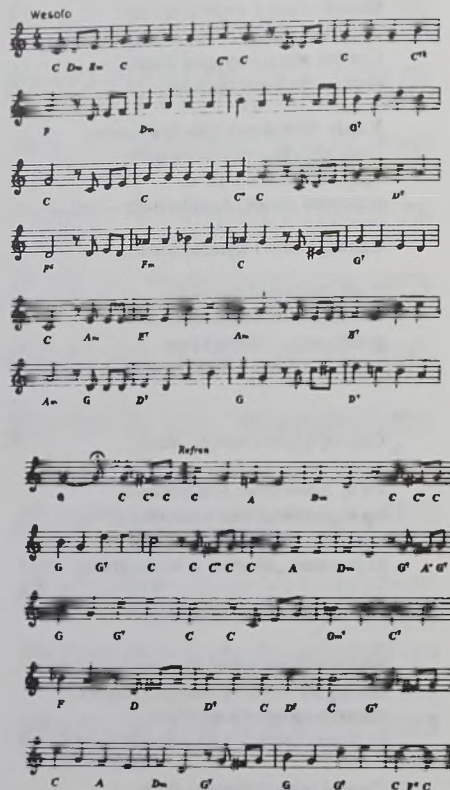
Tak jakoś dziwnie się złożyło,
Że choć nie miałem żadnych szans,
Niespodziewanie przyszła miłość
jak amunicja do pe-panc.

Idylla trwałaby do końca,
Lecz jeden szczegół zgubił mnie,
Dziś z innym chodzi po Odyńca,
Bo on ma stena a ja nie.

Sanitariuszko „Małgorzatko”,
Jakże twe serce zdobyć mam,
Choć sprawa wcale nie jest gładka,
Już jeden sposób dobry znam:
Od „Wróbla” dziś pożyczę visa
I gdy zapadnie ciemny mrok,
Pójdę na szosę po „tygrysa” —
w ręce Małgosi oddam go!

Jan Markowski

SANITARIUSZKA MAŁGORZATKA



Rys. „Yes” Henryk Chmielewski

Der polnische Bandit

Demokrata, Warszawa, 1944

Bibliografia

- Bartelski, Lesław. **Walcząca Warszawa**. Warszawa: Książka i Wiedza, 1983, 183 strony.
- Białoszewski, Miron. **Pamiętnik z powstania warszawskiego**. Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1988, 259 stron.
- Borkiewicz-Celińska, Anna. **Batalion "Zośka"**. Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1990, 844 strony.
- Drogi cichociemnych**. Londyn: Veritas, 1954, 470 stron.
- Gajcy, Tadeusz. **Wybór poezji. Misterium niedzielne**. Wrocław: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1992, 223 strony.
- Garliński, Józef. **Polska w drugiej wojnie światowej**. London. Odnova Limited, 1983, 508 stron.
- Gordon, Marek. **Katedra: eseje**. Londyn: Oficyna Poetów i Malarzy, 1964, 119 stron.
- Gordon, Marek. **Radiowe igraszki: felietony, opowiadania i szkice**. Chicago: Polski Klub Literacki, 1955, 225 stron.
- Grużewski, Jan i Stanisław Kopf. **Dni powstania: Kronika fotograficzna walczącej Warszawy**. Warszawa: PAX, 1957, 319 stron.
- Kamiński, Aleksander. **Zośka i Parasol. Opowieść o niektórych ludziach i niektórych akcjach dwóch batalionów harcerek**. Warszawa: Iskry, 1986, 500 stron.
- Kirchmayer, Jerzy. **Powstanie warszawskie**. Warszawa: Książka i Wiedza, 1959, 576 stron.
- Korboński, Stefan. **Polskie Państwo Podziemne: przewodnik po Podziemiu z lat 1939 - 1945**. Philadelphia, Pensylwania: Wydawnictwo "Promyk", 1983, 277 stron.
- Malinowski, Kazimierz. **Żołnierze walczącej Warszawy**. Warszawa: PAX, 1983, 372 strony.
- Naród w walce**. Zbiór artykułów pod redakcją Jana Krawca. Chicago: Okręg Fundacji Armii Krajowej w Stanach Zjednoczonych, 1989, 144 strony.
- Nowak, Jan (Zdzisław Jeziorański). **Kurier z Warszawy**. Londyn: Odnova, 1978, 551 stron.
- Pełnić służbę... Z pamiętników i wspomnień harcerek Warszawy, 1939 - 1945**. Pod redakcją Anny Zawadzkiej i Zofii Zawadzkiej. Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1983, 578 stron.
- Pierre-Skrzyńska, Janina. **Pamiętnik Inki: 1939-1945**. Londyn: Polska Fundacja Kulturalna, 1986, 76 stron.
- Pieśni Powstania Warszawskiego**. Wybór i wstęp - Stanisław Ryszard Dobrowolski. Białystok: Krajowa Agencja Wydawnicza, 1984, 87 stron.
- Satyra czasu wojny i okupacji**. Wybór i wstęp - Eryk Lipiński. Białystok: Krajowa Agencja Wydawnicza, 1984, 90 stron.
- Świech, Jerzy. **Wiersze Krzysztofa Kamila Baczyńskiego**. Warszawa: Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, 1991, 160 stron.

3127 N. Milwaukee Ave.
Chicago, IL 60618
tel. (312) 505-1226

Ex Libris

5554 W. Belmont Ave.
Chicago, IL 60641
tel. (312) 282-3107

Jedyna polska księgarnia w Chicago, prowadząca dział podręczników szkolnych i pomocy naukowych (mapy, kursy, słowniki, itp.) w języku polskim.

Pełny wybór podręczników dla szkół podstawowych, ponadpodstawowych i zawodowych.

Prowadzimy sprzedaż hurtową dla szkół i nauczycieli (specjalna zniżka).

Realizujemy zamówienia szkół i nauczycieli na sprowadzanie materiałów szkolnych z Polski.

Ponadto oferujemy:

- * ponad 5.000 tytułów polskich książek w ciągłej sprzedaży
- * 150 tytułów prasy polskiej
- * muzyka polska na kasetach i płytach kompaktowych
- * filmy polskie



OBOWIĄZUJE OD 1 WRZEŚNIA 1994

POLISH TEACHERS ASSOCIATION IN AMERICA, INC.
6005 W. IRVING PARK RD., CHICAGO, IL 60634
ZRZESZENIE NAUCZYCIELI POLSKICH W AMERYCE

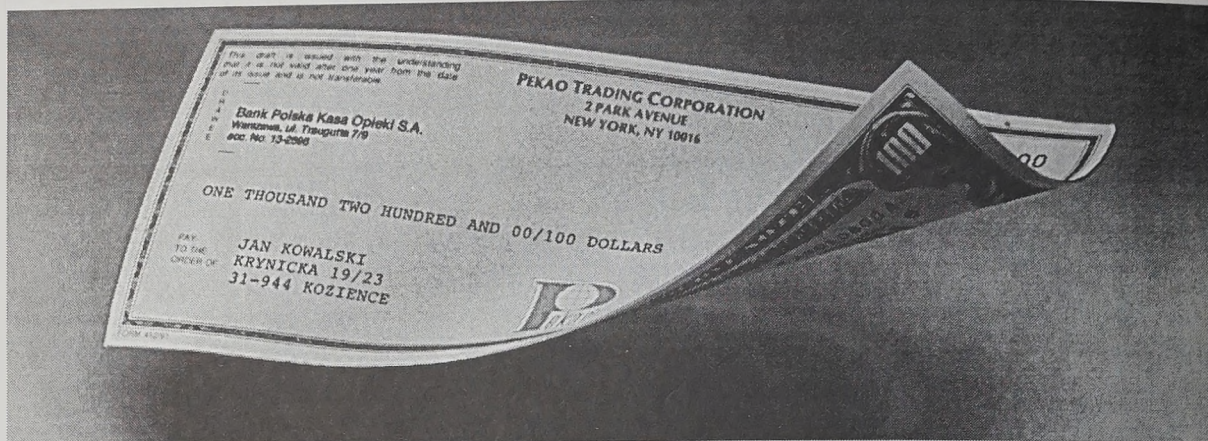
CENNIK

PODRĘCZNIKÓW SZKOLNYCH I POMOCY NAUKOWYCH. ZAMÓWIENIA TYLKO LISTOWNE NALEŻY
KIEROWAĆ NA POWYŻSZY ADRES. ZWROTÓW NIE PRZYJMUJEMY. FAX 1-708-456-6117

PRZEDSZKOLE	Przyłubscy	Mam 6 lat	4.50
	Przyłubscy	Mam 6 lat — ćwiczenia	6.00
	Chodkiewicz/Luśnia	Pomysł i dobierz	3.00
	Chodkiewicz	Moje zabawki	2.00
	Jaworzczakowa	Oto jest Kasia — ilustracje do opowiadania	2.00
	Joanna Casselius	Ptaki, ptaszki, ptaszyska — kolorowanka	2.00
I	M. Falski	Elementarz	8.50
	M. Falski	Ćwiczenia elementarzowe, część I	2.00
	M. Falski	Ćwiczenia elementarzowe, część II	2.00
		Ćwiczenia element., druk. i wycinanki — komplet	2.00
	Zrzeszenie	Zeszyty do klasy I, II, III	0.75
		ABC — alfabet ruchomy	1.00
II	Metera	Czytam po polsku	
		Piszę po polsku, zeszyt I	
		Piszę po polsku, zeszyt II	13.50
	Metera	2 kasety magnetofonowe	10.00
	Kowalczevska	Ćwiczenia gramatyczne i ortograficzne, kl. II	2.00
	Patey-Grabowska	Przed snem	2.00
	Patzerowa	Piszę, czytam, rysuję	5.00
Lektury:	Gawdzik	Piszę i opowiadam, ćwiczenia	3.00
III	Kowaliszyn	Krajobraz z uśmiechem, czytanka	7.00
	D. Podowska	Porachunki z gramatyką, ortografią, fonetyką	5.50
IV	Dobrowolska	Podajmy sobie ręce, czytanka	8.00
	Otwinowska	Czytanka dla kl. IV	10.00
	Kowalczevska	Język polski dla kl. IV i V	5.00
	Brzechwa	Akademia Pana Kleksa	6.00
	Zofia Pietrzak-Stepowska	Katarzyna i zwierzęta - wierszyki ortograficzne	2.00
V	Zrzeszenie	Ukochany kraj — Czytanka dla kl. V	6.00
	Marciniak	Historia Polski dla Piotrka (do użytku w klasach od V do VIII)	15.00
	Duszyńska	Historia Polski, część I	2.20
	Kądziółka	Geografia (do użytku w kl. V i VI)	7.00
	Halina Wesołowska	Słownik szkolny. Ortografia	5.00
	Żukrowski	Słoneczne lato	2.00
VI	Zrzeszenie	Czytanka dla kl. VI	13.75
	Jaworski	Język ojczysty dla kl. VI i VII — ćw. gram. i ort.	4.50
	Duszyńska	Historia Polski, część II	1.50
	Kraszewski	Kwiat paproci	2.00
	Prus	Kamizelka, Katarzynka	2.00
Lektury:	Prus	Antek	2.00
VII	Zrzeszenie	Ziemia od innych droższa — Czytanka kl. VII i VIII	8.00
	Licińska	Geografia (do użytku dla kl. VII i VIII)	8.50
	Duszyńska	Historia Polski, cz. III	2.20

KLASA	AUTOR	TYTUŁ	CENA
Lektury:	Sienkiewicz Żeromski	Komedia pomyłek Siłaczka	2.00 2.00
VIII	Krajewski	Echo z dna serca — czytanka dla kl. VIII	6.00
	Pecherski	Nasz język ojczysty, kl. VIII	4.50
Lektury	Lasocki	Wojtek spod Monte Cassino	2.50
	Mękarska	Wędrowka po wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej	3.50
	Zakrzewska	PAN TADEUSZ, opracowanie metodyczne dla nauczycieli	7.00
	Zakrzewska	PAN TADEUSZ, opracowanie dla uczniów	7.00
GIMNAZJUM			
II	Warchol	Język polski (antologia literatury polskiej)	5.50
III	Skalska	Język polski (antologia literatury polskiej)	6.00
KLASY POLSKO-ANGIELSKIE			
	Zrzeszenie	Mowa polska, część I 1 egz. (miękka okładka)	6.50
		Mowa polska, część II (miękka okładka)	7.50
		Mowa polska, część I, 6 kaset	35.00
		Polska mowa, część I (twarda okładka)	10.00
		Wskazówki metodyczne do Mowy polskiej cz. I	1.50
		Wskazówki metodyczne do Mowy Polskiej cz. II	1.50
		Ilustrowany słownik polsko-angielski dla najmłodszych:	
		Smok wawelski i królowa Wanda	2.00
	(komiksy-comics)	O Popielu i myszach	2.00
		O Piaście Kołodzieju	2.00
	Iwanicka	A thousand years of Polish heritage (a condensed history of Poland 966-1966)	2.00
POMOCE NAUKOWE			
	Mapy Polski	Story of Poland — mapa ścienna	3.50
		administracyjna, składana	2.00
		fizyczna, składana	2.00
	Zrzeszenie	Programy nauczania dla pol. szkół gimn. kl. I-IV	2.00
		Dziennik lekcyjny + Księga ocen (w przyg)	
		Księga ocen	2.00
		Świadectwa szkolne od kl. I-VII	0.50
		Świadectwa ukończenia VIII kl.	0.50
		Świadectwo do gimnazjum	0.50
		Świadectwo ukończenia gimnazjum	0.50
		Zaświadczenie dla przedszkoli	0.25
	Maria Zamora	Kwiaty dla mamy (zbiorek poezji)	8.00
PRZEŻROČA GEOGRAFICZNE			
		Karpaty, część I — Tatry	7.50
		Karpaty, część II — Beskidy	7.50
		Wyżyna Lubelska i Lublin	15.00
		Kraków i Nowa Huta	15.00
		Nizina Śląska i Wrocław	15.00
		Wyżyna Śląska	7.50
		Wyżyna Kielecko-Sandomierska	7.50
		Nizina Wielkopolska, Poznań	15.00
		Nizina Mazowiecka, Warszawa	15.00
		Pojezierze Mazurskie	7.50
		Pojezierze Pomorskie	7.50
		Pojezierze Bałtyckie	7.50
		Nasze porty	7.50
	Halina Serafin	Wycieczka po Polsce/oprac. do przeżroczy geogr.	2.50

NAJWYGODNIEJ



CZEKI PEKAO ZAMIAST GOTÓWKI

- To bezpieczeństwo i wygoda
- Miły upominek na każdą okazję
- Czek PEKAO zrealizować może tylko osoba na którą został wystawiony
- Wszystkie placówki Banku PEKAO S.A. w Polsce skupują cheki PEKAO od ręki i bez dodatkowych opłat wypłacając równowartość w dolarach amerykańskich
- Skorzystaj z oferowanej przez nas wygody. Przyjdź. Zapytaj.



TWOJE ZADOWOLENIE
TO NASZ SUKCES

**PEKAO TRADING CORPORATION
CHICAGO BRANCH**
5395 North Milwaukee Avenue
Chicago, IL 60630
312.775.0400

JACKOWO 312.489.4999
3000 North Milwaukee Avenue

BELMONT 312.685.2020
5150 West Belmont Avenue

ARCHER 312.838.8888
5058 South Archer Avenue

Szkoły“ obchodzonych co roku w maju.

W 1967 roku Stanisław Soboń objął jeszcze funkcję wizytatora szkolnego. Nie szczędził czasu i sił, wizytując szkoły należące do Centrali, niektóre bardzo odległe od miejsca zamieszkania, potrzebujące kontaktu i pomocy.

W 1976 roku Stanisław Soboń rezygnuje z funkcji wiceprezesa wykonawczego, pozostając wizytatorem szkolnym do 1984 roku.

Dalszą pracę przerwały obowiązki rodzinne (choroba żony). W grudniu 1984 r. rezygnuje z czynnej pracy oświatowej, utrzymuje jednak kontakt z Centralą, uczestniczy w imprezach szkolnych i konferencjach nauczycielskich do chwili obecnej.

Zofia Ziemołżyńska jest nauczycielką pracującą w Polskiej Szkole Doksztalczącej im.

Marii Skłodowskiej - Curie w Irvington, N.J. od daty założenia, od 1979 roku. Działalność tej szkoły często natrafiała na trudy i niepowodzenia, a tym samym i nauczyciel nie miał sprzyjających warunków pracy.

Zofia Ziemołżyńska trwa nieustraszenie piętnaście lat na stanowisku nauczyciela - wychowawcy. Jest świadoma doniosłości swej pracy w dziele krzewienia oświaty dla dobra młodego pokolenia polonijnego. Prowadziła lekcje od najmłodszej grupy przedszkolnej do klasy czwartej i w klasach starszych. Brała czynny udział w przygotowaniach programów na uroczystości szkolne, uczestniczyła w zebraniach Centrali Polskich Szkół Doksztalczących, w Zjazdach Nauczycielskich i Sympozjach w Orchard Lake, Michigan.

Sumienna w pracy pedagogicznej, koleżeńska, zasłużyła na otrzymane wyróżnienie.

Janina Igielska

Kapelan oświaty - pedagog Polonii

Jednym z wymiarów indywidualnych dokonań w każdym środowisku jest jakość dziedzictwa, z którym tę osobę można identyfikować. Kroniki Polonii Amerykańskiej posiadają bogaty rejestr osób i nazwisk, których wkład posiada swoją nieprzemijającą wartość, których dokonania stanowią istotny pomost pomiędzy naszą grupą i krajem, między pokoleniami, które schodzą ze sceny, a pokoleniami, które będą kontynuować kulturalny i społeczny sens naszej obecności w Ameryce.

Osobą taką niewątpliwie jest Ojciec Michał Zembrzusi. Obchody 60-lecia jego kapłaństwa pozwalają widzieć jego dokonania w wielowymiarowym kontekście - zarówno w kontekście służby kapłańskiej od 1934 roku, jak i w kontekście jego społecznego udziału w formowaniu naszej grupy etnicznej w Stanach Zjednoczonych.

Obchody 60-lecia kapłaństwa Ojca Michała Zembrzuskiego odbyły się w maju 1994 roku, miesiącu bogatym w symbolikę po obu stronach

oceanu. Oba wzgórza częstochowskie - to w kraju oraz to w Pensylwanii, stanowiły centrum majowych obchodów. Twórcą wzgórza w Pensylwanii jest Ojciec Zembrzusi i to stanowi jeden z trwałych wkładów w budowę tożsamości naszej grupy etnicznej w Ameryce.

Istnieje również drugi, może mniej widoczny wkład Ojca Zembrzuskiego: to jego funkcja kapelana Komisji Oświatowej Kongresu Polonii Amerykańskiej. Od momentu powstania Komisji Oświatowej - tego istotnego organizatora i koordynatora ogóln amerykańskiego ruchu oświatowego Polonii Amerykańskiej - zrozumiał on ogromną szansę połączenia tradycyjnego nurtu związków oświaty z kościołem, nie tylko jako systemu wspólnych wartości, lecz także jako filaru dalszej tożsamości kulturalnej naszej grupy.

Prawdopodobnie koncepcja budowy nowoczesnej bazyliki w Pensylwanii wyrosła zarówno z motywów religijnych, jak i

60-lecie kapłaństwa O. Michała Zembrzuskiego



Dr Edward Osysko wręcza podarunek Jubilatowi



Od lewej: Halina Osysko, O. Michał Zembrzusi, dr Edmund Osysko, Jan Woźniak i Janina Igielska

pedagogicznych. Współczesność jej architektonicznego kształtu przemawia przede wszystkim do młodzieży, do jej religijnej dynamiki. Ten motyw pedagogiczny bazyliki w Doylestown jest doskonale wykorzystany przez Centralę Polskich Szkół Doksztalających w Nowym Jorku, która od momentu powstania tego miejsca organizuje tam uroczysty Dzień Szkoły Polskiej. W ten sposób oryginalna koncepcja Ojca Michała Zembrzuskiego, aby kościół ten stał się czymś więcej niż piękną repliką polskiej Częstochowy, nabrała praktycznego znaczenia w pracy szkół polonijnych. Młodzież zapewnia jej bowiem przetrwanie w sercach Polonii.

Jako kapelan oświaty polonijnej, Ojciec Zembrzusi stał się jej aktywnym współorganizatorem. Wspólnie z nauczycielami brał udział w 14-godzinnej jeździe autobusem do Alliance College w Cambridge Springs, Pensylwania, na I Zjazd pedagogów polonijnych. Jego obecność pobudzała wiarę w znaczenie organizacyjne imprezy, która zgromadziła ponad 300 nauczycieli polonijnych z całych Stanów Zjednoczonych. Dzięki jego osobistemu udziałowi, specjalna grupa programowa sformułowała konkretny plan pracy Komisji Oświatowej KPA; określiła cele ruchu pedagogicznego i strategię jego rozbudowy.

Jednym z punktów, które grupa sformułowała, było powstanie pisma pedagogów polonijnych **GŁOSU NAUCZYCIELA**. Dwa lata później Ojciec Michał uczestniczył w kolejnym zjeździe. I znowu kolejnych 14 godzin w autobusie było wyrazem fizycznego poświęcenia. W ten sposób - poprzez swoją obecność i porady - stał się integralną częścią środowiska pedagogicznego Polonii. Nauczyciele polonijni odczuli autentyczną troskę swego kapelana zarówno o owoce ich pracy w klasie, jak i poczucie wspólnoty i życzliwości. Swoją rolę Ojciec Zembrzusi nie definiował w kategoriach symbolicznych, lecz jako bezpośredni współtwórca ruchu pedagogicznego - owej nieodzownej infrastruktury społeczności polonijnej.

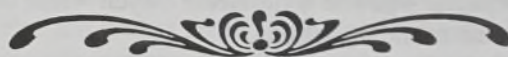
Kiedy w 1991 roku w maju nauczyciele polonijni pragnęli uczcić 200-lecie Konstytucji 3 Maja swym kolejnym zjazdem w Waszyngtonie w stolicy Ameryki - to problemy finansowe tego zjazdu zostały rozwiązane osobistym wkładem finansowym kapelana Ojca Zembrzuskiego. Dzięki jego poważnej ofiarności finansowej Komisja

Oświatowa Kongresu Polonii Amerykańskiej mogła sformułować po raz pierwszy koncepcje zbliżenia oświaty krajowej i polonijnej w Ameryce. Owoce tego udanego zjazdu, w którym uczestniczyli przedstawiciele Kanady, Polski, Anglii i Stanów Zjednoczonych, w dużym stopniu są wynikiem wkładu i zaangażowania Ojca Zembrzuskiego.

Każda próba odtworzenia udziału Ojca Zembrzuskiego w kształtowaniu ruchu oświatowego zarysowuje zaledwie pewne fragmenty jego pracy - jednakże są to fragmenty bardzo istotne w jego biografii 60-lecia kapłaństwa, a także w kronikach szkolnictwa polonijnego w Ameryce. Dzięki jego wkładowi do kultury duchowej Polonii amerykańskiej - zarówno tej młodszej jak i ze starszych pokoleń - stał się on nie tylko kapelanem Komisji Oświatowej Kongresu Polonii Amerykańskiej, lecz także pedagogiem Polonii.

Rozumie on bowiem, iż jakość dojrzałego człowieka formułuje się w szkole - w tym wypadku w szkole polonijnej.

Edmund Osysko



KONFERENCJA METODYCZNA NAUCZYCIELI W CLARK, NEW JERSEY

Szkolnictwo polonijne w Ameryce działa w szczególnych warunkach, które różnią je od szkolnictwa polskiego w kraju. Różnice te wynikają zarówno z ilości godzin - zajęcia trwają przeważnie 3 lub 4 godziny tygodniowo - jak i z podłoża kulturalnego i społecznego.

Korelacja tych różnic i podobieństw była tematem konferencji metodycznej, która odbyła się 13 marca 1994 roku w budynku szkolnym Polskiej Fundacji Kulturalnej w Clark, N. J.. Konferencja, zorganizowana przez Centralę Polskich Szkół Doksztalających w Nowym Jorku, zgromadziła ponad 70 aktywnych pedagogów ze stanów wschodnich. Liczba ta potwierdza praktyczną ważność korelacji w ich pracy dydaktycznej, gdzie

zarówno zbliżenie programów nauczania, jak i zrozumienie zasad dwujęzyczności stanowią niemalże całkowitą podstawę sukcesów nauczyciela polonijnego.

Przy obecnym tempie rozwoju szkolnictwa polonijnego w Ameryce proces nauczania wykracza już poza promocję patriotyczną uczuć i symboli. Nauczyciele polonijni w Ameryce - dobrze wykształceni w kraju, utalentowani oraz przeważnie młodzi - stanowią dobrze przygotowaną grupę zawodową, która rozumie potrzebę dostosowania programów polskich do amerykańskiego podłoża ich polskich uczniów. Mając przygotowanie pedagogiczne, umieją oni dokonać samoanalizy własnej pracy.

Konferencja w Clark skupiła się na tym podwójnym podłożu kulturowym: na zbliżeniu obu propozycji i metod pedagogicznych, polskich oraz amerykańskich. Kompletna korelacja - jak powiedziała w swym referacie wstępnym wizytator Centrali, Halina Osysko, nie jest całkowicie możliwa. Każdy język posiada swoją specyfikę - zarówno gramatyczną jak i składniową. Możliwe natomiast jest pewne wyjaśnienie owych różnic oraz zbliżenie metod nauczania.

Podczas kilugodzinnej pracy w grupach klasowych i często intensywnej dyskusji, nauczyciele polonijni zaprezentowali w skrócie nowe propozycje metodyczne. Dotyczyły one zarówno uwspółcześnienia programów szkolnych jak i większego oparcia się na tych podręcznikach krajowych, które odpowiadają poziomowi językowemu uczniów polonijnych. Często są to podręczniki ciekawe i atrakcyjne wizualnie. Analiza ta objęła wszystkie klasy: od klasy pierwszej do klasy ósmej. W ten sposób zebrane grono otrzymało całościowy obraz jednego z problemów naszych szkół - problemu korelacji programowej.

Po kilku poprzednich zjazdach i sympozjach Komisji Oświatowej Kongresu Polonii Amerykańskiej - konferencja metodyczna w Clark była całkowicie oparta na doświadczeniach regionalnych i przyniosła konkretne wyniki pedagogiczne. Akcja kierownictwa Centrali Polskich Szkół Doksztalcających stworzyła pewien model samokształcenia nauczycieli polonijnych w innych ośrodkach oświatowych Polonii, gdzie istnieją podobne warunki i potrzeby korelacji dwóch

systemów pedagogicznych. Efekty tej pracy odczuje nasza młodzież.

Pod tym względem konferencja w Clark była dobrym początkiem długotrwałego procesu modernizacji ruchu oświatowego Polonii.

J. S.
NOWY DZIENNIK
Środa, 30 marca 1994



JASEŁKA W POLSKIEJ SZKOLE W IRVINGTON, NEW JERSEY

Corocznym zwyczajem w Polskiej Szkole im. Marii Skłodowskiej - Curie w Irvington, New Jersey, odbyły się Jasełka. Półtoragodzinny występ był bardzo udany.

W Jasełkach nie możemy zmienić ani zastąpić znanych postaci biblijnych, ale układając nową treść, możemy je jakby odświeżyć, upiększyć, co uczyniła nasza utalentowana koleżanka Wanda Sobecka.

To ona od wielu już lat pisze scenariusze i reżyseruje.

Każdego roku zmienia scenariusz, wprowadza nowe postacie, szczególnie rozpracowuje ostatnią zbiorową scenę pod tytułem "Polska Szopka". Właśnie ostatnio wprowadziła całą gromadę osób i jakby zebrała całą Polskę. Wystąpili polscy królowie - Mieszko I, Jagiełło, Sobieski; ludzie pracy - pielęgniarz, marynarz, szewczyk, piekarz; krakowiacy i górale; i oczywiście współczesna młodzież i małe dzieci. Wszyscy oni pośpieszali do szopki z darami, prosząc o siłę do pracy, nauki i o błogosławieństwo dla dalekiej Ojczyzny.

Przedstawienie nasze dla starszej emigracji było przypomnieniem odległych, ukochanych stron i odświeżeniem wiary. A dla uczniów była to nauka historii, tradycji i wiary. Mieszko I wprowadzając chrześcijaństwo obdarzył nas wiarą, która pomogła Polakom przetrwać trudne chwile w dziejach naszego państwa. Jagiełło i Jan III Sobieski zdobywali chwałę i potęgę dla kraju. Dlatego tak wzniosłe zabrzmiały ich słowa na scenie.

Jasełka nasze to patriotyzm, historia i pochwała Boga, odnowienie wiary.

Jednak nie sama treść złożyła się na sukces, ale dobrze wyuczone i wyćwiczone role, za które dzieciom dziękujemy. Również bogate, kolorowe stroje. A też przepiękna, wręcz teatralna dekoracja pomysłu pani Joli Wierońskiej, która od kilku lat projektuje wnętrza sceny i wszelkie na niej zmiany w poszczególnych aktach. Nie możemy pominąć zasługi kościelnego chóru, który pod dyktando Aurelii Lawniczak przyozdobił nasze przedstawienie.

Dziękujemy Paniom za poświęcenie dla nas czasu.

I jeszcze - nie byłoby sukcesu, gdyby nie współpraca nauczycielek, komitetu, rodziców.

I właśnie dlatego otrzymaliśmy tyle gorących oklasków na zakończenie od licznie przybyłych gości. Świątowaliśmy sukces, udany występ, bo byliśmy zjednoczeni, byliśmy razem, bo w solidarności nasza siła.

Jeszcze raz dziękujemy za współpracę.

Daria Ciszewicz

PASJONACI CZYLI O POLSKIM HARCERSTWIE W BROOKLYNIE

W styczniową sobotę 1994 roku, kiedy Nowy Rok został zasypany śniegiem, a na szybach pojawił się od kilku lat nie widziany mróz, w sali polskiej szkoły na Brooklynie, odbywała się zbiórka harcerska gromady zuchów i skrzatów Hufca Podhale. Tradycyjnie spotkanie prowadziła druhna Dzidka (Maria Bielska). Ta zbiórka poświęcona

była polskim tradycjom wigilijnym i przygotowaniu do Jasełek. Podczas następnych, zuchy przeniosą się w krainę fantazji i kosmosu. Podobnie tematycznie przygotowane są programy kolonijne.

Motorem, duszą i pomysłodawcą w dużej mierze jest druhna Dzidka (tak o niej mówią dzieci). Z zawodu jest nauczycielką muzyki, uczy w jednej



Spotkanie harcerzy z autorką książek dla dzieci w Fundacji Kościuszkowskiej.
Z tyłu: druhna Dzidka (Maria Bielska) i jej matka Helena Grzegorzczak



Zbiórka harcerska w Polskiej Szkole im. Henryka Sienkiewicza — South Brooklyn.

ze szkół podstawowych Brooklynu. Do Ameryki przyjechała jako 13 letnia dziewczynka we wrześniu 1957 roku. Równolegle ze szkołą amerykańską uczęszczała do polskiej szkoły dokształcającej. W Ameryce powtórzyła swoją harcerską przysięgę i od początku związała się z polskim harcerstwem. Jest założycielką kilku gromad zuchowych, ponadto od 27 lat jeździ na kolonie do Amerykańskiej Częstochowy. Pierwszy raz pojechała tam jako harcerka pomocnicza, w zeszłym roku była komendantką całej kolonii.

Swojego męża, Zygmunta Bielskiego poznała przy okazji zabawy Koła Przyjaciół Harcerstwa i długo nie mogła znaleźć czasu na randkę, bo w harcerstwie zawsze się coś ciekawego działo. Pan Zygmunt "zaraził" się harcerską pasją od żony i obecnie jest podharcmistrem. Państwo Bielscy mają dwóch synów. 18-letni Roman prowadzi drużynę, a 15-letni Stefan chce zostać "zuchmistrem" i pomaga w pracy gromady zuchowej.

W każdej sobotniej zbiórce bierze udział pani Helena Grzegorzczuk. Swoją młodość poświęciła polskiemu harcerstwu na wschodnich terenach Polski. Okupację spędziła w Krakowie, gdzie

pracowała w podziemiu jako pielęgniarka, niejednokrotnie również asystowała przy operacjach partyzantów w lesie. W Ameryce żyje już od 35 lat i z polskim harcerstwem nie rozstaje się do dziś. Mimo swoich 85 lat, w każdą sobotę wkłada mundur i melduje się na zbiórce. Prywatnie druhna Helena jest matką Dzikki i wtedy, kiedy Dzikka zdobywała kolejne stopnie instruktorskie czy wyjeżdżała na międzynarodowe zloty, pani Helena zajmowała się dziećmi.

Harcerska rodzina państwa Bielskich nie jest wyjątkiem. Ludzie, którzy poświęcili swoje życie polskiemu harcerstwu na emigracji są bardzo skromni i absolutnie bezinteresowni. Pracują społecznie, a ich poświęcenie ma niekiedy o wiele większe znaczenie dla utrzymania polskości niż działalność niektórych organizacji polonijnych.

Trochę historii.

Harcerstwo polonijne w Ameryce rozpoczęło działalność równolegle z harcerstwem w Polsce. W latach trzydziestych oddzielne drużyny polskie działały przy amerykańskim skautingu. Przynależność organizacyjna do amerykańskich

skautów dawała lepszą bazę materialną, ale wiązała się z wyrzeczeniem się polskich mundurów i ojczystego języka. Sytuacja się zmieniła po 1949 roku, kiedy powstał Związek Harcerstwa Polskiego Poza Granicami Kraju.

Jego główna kwatera mieści się w Anglii, w Londynie. Listem z dnia 20 lipca 1951 roku została zatwierdzona delegatura na Stany Zjednoczone. Harcerstwo polskie jest samodzielną organizacją (*Polish Scouting Organization ZHP*) przez nikogo nie subwencionowaną, utrzymującą się z własnych składek i dobrowolnych darowizn. Kadra instruktorska pracuje społecznie, poświęcając swój wolny czas na zbiórki w czasie roku szkolnego oraz na obozy i kolonie w czasie wakacji. Drużyny harcerskie zwykle działają w skupiskach polonijnych, głównie przy polskich szkołach i parafiach. Warunkiem wstąpienia do harcerstwa jest znajomość języka polskiego i stosowny wiek. Dla ZHP ważna jest także współpraca z Kołem Przyjaciół Harcerstwa, do którego należą rodzice, nauczyciele, znajomi, dziadkowie. Koła zajmują się urządzaniem imprez dochodowych, które wspierają finansowo budżet

harcerzy.

Pani Maria Bielska w rozmowie ze mną powiedziała, iż harcerstwo będąc organizacją, która ma swój jasny i kategoryczny kodeks moralny, ujęty w formie przyrzeczeń i praw, znakomicie kształtuje charaktery dziewcząt i chłopców. Sama właśnie sprecyzowała ideały własnego życia w zastępie **Halne Wichry**. Jej wieloletnia praca wychowawcza z młodzieżą pozwala na wysunięcie stwierdzenia, że w czasach, w których telewizja i kino jak również codzienność, wystawiają nas na ciężką próbę określenia co jest dobre a co złe, w czasach, w których szczególnie ważna jest umiejętność rozróżnienia podstawowych wartości moralnych, działalność polskiego harcerstwa na emigracji, oparta na obcowaniu z polską kulturą, tradycją czy literaturą, może stać się skutecznym sposobem na wpojenie naszym dzieciom właściwej hierarchii wartości, na wyrwanie ich ze świata przemocy i brutalności.

Grażyna Bułka

Zdjęcia z archiwum Marii Bielskiej.

WIADOMOŚCI Z CHICAGO

WSPOMNIENIE O PROFESORZE ZBIGNIEWIE GOŁĄBIE

Dnia 25 marca 1994 zmarł nagle w Chicago prof. dr Zbigniew Gołąb. Był on wybitnym wykładowcą, profesorem językoznawstwa słowiańskiego na Wydziale Języków i Literatur Słowiańskich na jednym z najlepszych uniwersytetów amerykańskich, University of Chicago, w latach 1961 - 1993.

Urodził się 16 marca 1923 w Nowym Targu. Od dziesiątego roku życia mieszkał w Krakowie. Tutaj odbył studia na Uniwersytecie Jagiellońskim i otrzymał doktorat w r. 1958. Jego mistrzami byli śp. prof. Tadeusz Lehr-Spławiński, Tadeusz Milewski i Jerzy Kuryłowicz.

W czasie wojny był czynnie zaangażowany w akcje podziemnej Armii Krajowej, za co był więziony przez Niemców w latach 1944-45.

Uratował się dzięki temu, że wyskoczył z pociągu wiozącego więźniów do obozu koncentracyjnego w Niemczech. Później, za tę samą działalność w AK, był więziony przez komunistów polskich, w latach 1947-48, we Wrocławiu.

W latach 1953-61 wykładał na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a od r. 1956, do chwili wyjazdu z Polski, był adiunktem w Polskiej Akademii Nauk w pracowni Słowianoznawstwa.

W r. 1961 został zaproszony przez University of Chicago do objęcia wykładow na nowo utworzonym Wydziale Języków i Literatur Słowiańskich. W r. 1967 otrzymał tam katedrę (tenure). W r. 1993 przeszedł na emeryturę po przebyciu ciężkiej choroby.

Był członkiem-korespondentem Polskiej

Akademii Nauk w Krakowie, członkiem macedońskiej Akademii Nauk oraz członkiem i wieloletnim prezesem Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce (PIASA), oddział Chicago. Profesor Gołąb był autorem czterech książek i około 100 artykułów naukowych ze swojej dziedziny oraz współautorem **Słownika terminologii językoznawczej**, wydanego przez Państwowe Wydawnictwa Naukowe, Warszawa w 1968 r.

Z książek jego ostatnią, największą i najcenniejszą jest praca p.t. **The Origins of Slavs — a Linguist's View**. Wydana przez Slavica Publishers, Inc., Columbus, Ohio w r. 1992, książka ta otrzymała bardzo pozytywne recenzje.

Prof. Zbigniew Gołąb zmarł nagle dnia 25 marca 1994 roku w Chicago. Zmarły zostawił żonę, Janinę, lektorkę języka polskiego na tym samym uniwersytecie i tym samym wydziale (od 1962 r.), oraz syna, Juliusza.

Wychował wielu magistrów i kilku doktorów językoznawstwa słowiańskiego, którzy obecnie są już sami profesorami uniwersytetu. M.in. jego były uczeń — Victor Friedman — jest znanym światowym lingwistą i ostatnio objął po nim katedrę.

W Zmarłym polska nauka w kraju oraz w Stanach Zjednoczonych traci jednego ze swych najwybitniejszych przedstawicieli w dziedzinie słowiańskiej etymologii oraz językoznawstwa.

Członkowie Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, Oddział Chicago z głębokim żalem żegnają oddanego, wieloletniego prezesa — pełnego energii dyskutanta i lektora polonijnych spotkań, odczytów i dyskusji.

A także przyjacielskiego i życzliwego innym człowieka, który zawsze rozumiał i pozostał otwarty na sprawy, którymi żyli coraz to nowsi emigranci, przybywający po wojnie na amerykańską ziemię.

Cześć jego pamięci.

Polski Instytut Naukowy
Oddział w Chicago
DZIENNIK ZWIĄZKOWY
1 - 3 kwietnia 1994

SZKOLNICTWO POLONIJNE PRZED NOWYM ROKIEM SZKOLNYM

Polonijne, sobotnie szkoły, których na terenie metropolii chicagowskiej funkcjonuje 18, stają u progu kolejnego, nowego roku szkolnego. Kilka tysięcy polskiej młodzieży, przeważnie urodzonej już na amerykańskiej ziemi, rozpocznie albo kontynuować będzie naukę języka polskiego, polskiej kultury i historii, w klasach podstawowych lub licealnych.

Wydaje się, że nie ma słów, którymi możnaby, w sposób prosty, a równocześnie ukazujący sedno problemu, oddać hołd pracy polonijnych nauczycieli, zaakceptować postawę oraz niejednokrotnie ogrom wyrzeczeń ze strony rodziców doceniających konieczność wychowywania swoich dzieci w duchu polskości oraz przedstawić faktyczną rolę dydaktyczno-wychowawczą polonijnego szkolnictwa.

Role, która przecież odciska swoje niezatarte piętno na dzieciach i młodzieży kształtując charaktery, ucząc hierarchii wartości jaka powinna obowiązywać w życiu i kreując postawy wprawdzie młodych Amerykanów, ale przecież polskiego pochodzenia.

Funkcjonowanie szkół polonijnych nie może oczywiście zastąpić wychowawczej funkcji rodzinnego domu, wpływu rodziców na dzieci, ale jest czynnikiem, który wzbogaca, w sposób jakże istotny, proces wychowawczy uzbrajając go w bardzo ważny instrument jakim jest wiedza.

I wobec tego nie sposób wyobrazić sobie takiej sytuacji, w której działalność polonijnych szkół prowadzona jest w oderwaniu od rodziców, a w indywidualnych przypadkach tak się, niestety często dzieje. Dlatego też ważnym czynnikiem, decydującym o powodzeniu lub kryzysach w działalności dydaktyczno-wychowawczej, prowadzonej zwłaszcza na dłuższą metę, jest systematyczna i ścisła współpraca pomiędzy nauczycielami, a rodzicami.

Oczywiście, w różnych szkołach proces ten przebiega różnie, a na płaszczyźnie formalnej uzewnętrzniany jest we współpracy Rad Pedagogicznych z Komitetami Rodzicielskimi przy

zachowaniu niezależności obu stron i poszanowaniu wzajemnych decyzji podejmowanych na zasadzie partnerskiej, z myślą o wspólnym celu, jakim było i jest dobro dzieci.

Apele, kierowane przez dyrekcje polonijnych szkół do rodziców, zawierające prośbę o pomoc i współpracę, są więc wyrazem rzetelnej troski o prawidłowe funkcjonowanie szkolnych placówek i po prostu winny być przez rodziców z całą powagą traktowane oraz respektowane. Oznacza to, że rodzice powinni poświęcać więcej uwagi, a również i czasu, o który w nawale codziennych obowiązków jest jakże trudno, sprawom szkoły, do której wysyłają swoje dzieci.

Sytuacja poszczególnych szkół polonijnych nie jest jednakowa, jedne dają sobie radę lepiej, inne gorzej, ale wspólnym mianownikiem są zawsze sprawy finansowe, kwestia zaplecza organizacyjno-technicznego i dobór kwalifikowanych pedagogów do pracy w bardzo przecież specyficznych warunkach. Należy bowiem pamiętać o tym, że dla dzieci i młodzieży, uwikłanej w normalny, codzienny tryb amerykańskiego nauczania, polonijna sobotnia szkoła stanowi dodatkowy obowiązek. Jest to dodatkowe obciążenie i to w tym czasie, który przecież mógłby być wypełniony dziecięcio-młodzieżowymi zabawami i rozrywkami.

Zwracając uwagę na fakt, że już wkrótce rozpocznie się nauka w polonijnych szkołach przywołujemy tych kilka uwag i polecamy je pamięci szczególnie rodziców.

(wb)

DZIENNIK ZWIĄZKOWY

16 sierpnia 1994

W środę, 5 października 1994, w sali SWAP, 6005 West Irving Park Road, odbyło się spotkanie Zarządu Zrzeszenia Nauczycieli Polskich w Ameryce z kierownikami (12) polskich szkół sobotnich z Chicago i przedmieść. Tematy zreferowane i przedyskutowane na zebraniu: rola kierownika w szkole polonijnej; regulamin szkoły; regulamin rady pedagogicznej; etyka nauczycielska.

Powołano 3-osobowy komitet do opracowania jednego, wspólnego regulaminu rady pedagogicznej, który mógłby służyć jako wzór dla wszystkich szkół.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

Zrzeszenie wydało dwie pozycje opracowane przez Marię Zakrzewską: "Pan Tadeusz" Adama Mickiewicza; analiza i interpretacja utworu wraz ze wskazówkami metodycznymi dla nauczycieli" oraz "Pan Tadeusz" Adama Mickiewicza; materiały pomocnicze dla uczniów".

PRZEKAZANIE MEDALI KOMISJI EDUKACJI NARODOWEJ

W piątek, 14 października 1994, w konsulacie polskim w Chicago odbyła się uroczystość odznaczenia zasłużonych nauczycieli i działaczy oświatowych medalami Komisji Edukacji Narodowej. Odznaczenia otrzymali: Janusz Boksa, Eufemia Fiedorowicz, Urszula Kraśniewska, Franciszek Leśniak, Eleanora Lewandowska, Maria Neumann, Danuta Schneider, Helena Szymanowicz i Helena Ziółkowska. Nieobecnej w Chicago p. Helenie Szymanowicz przesłano odznaczenie pocztą. W uroczystości wzięli udział: Michał Grocholski, konsul generalny; Andrzej Jaroszyński, konsul do spraw oświatowych i kulturalnych wraz z małżonką; nauczyciele, przedstawiciele komitetów rodzicielskich oraz rodziny odznaczonych. Fragmenty uroczystości zostały pokazane w audycji POLVISION (polski program telewizyjny w Chicago) w poniedziałek 17 października 1994.

KRONIKA ŻAŁOBNA

W dniu 4 października 1994 zmarła Danuta Bielińska, nauczycielka Polskiej Szkoły im. Mikołaja Kopernika w Niles, Illinois. W zmarłej młodzież straciła wspaniałego nauczyciela i serdecznego przyjaciela, a chicagowskie szkolnictwo polonijne oddanego i cenionego pedagoga.

Rodzinie Zmarłej składamy serdeczne wyrazy współczucia.

Powstanie Warszawskie 1 sierpnia - 3 października 1944

1 sierpnia 1994 roku minęło 50 lat od wybuchu Powstania Warszawskiego skierowanego przede wszystkim przeciwko hitlerowskiemu okupantowi. Celem walki było uwolnienie Warszawy przez żołnierza polskiego, żołnierza Armii Krajowej, działającej w podziemiu i walczącej z okupantem niemieckim na obszarze Polski prawie od chwili kapitulacji Warszawy w roku 1939. Powstanie Warszawskie stało się również, wobec zmieniającej się sytuacji politycznej, protestem przeciwko stalinowskiej polityce zmierzającej do włączenia Polski do strefy swoich wpływów oraz włączeniem polskich ziem wschodnich do Związku Sowieckiego. Rząd sowiecki na podstawie układu Ribbentrop - Mołotow, zawartym w roku 1939 uważał, że ziemie leżące na wschód od rzeki Bug należą do Związku. Celem walki było więc nie tylko uwolnienie się od okupanta niemieckiego ale i zademonstrowanie, że Polacy chcą mieć rząd legalnych przedstawicieli Polski, a nie rząd przygotowywany w Związku Sowieckim. Powstanie trwało 63 dni.

Walki na frontach zachodnich, w których brali udział polscy żołnierze dobiegały końca, ale fronty zachodnie nie docierały do Polski. Długo wyczekiwana wolność okupowana nadal ofiarami Polaków na różnych frontach oraz w okupowanej Polsce, zaczynała być problematyczna. Horyzonty wolności zaciemniały się, a wiadomości o poczynaniach wschodniego sąsiada i układach prowadzonych pomiędzy aliantami i Związkiem Sowieckim stawały się coraz gorsze.

O zorganizowaniu zbrojnego powstania mówiono od czasu kapitulacji w 1939 roku. Omawiano plany dalszych walk z okupantem niemieckim. Walki te miały się zakończyć w niedługim czasie. Czy można było wtedy przewidzieć, że okupacja niemiecka będzie tak długo trwać? Czy można było wtedy przewidzieć, jakie będą układy polityczne? Czy można było

przewidzieć okrucieństwa hitlerowskich Niemiec, które rozszerzyły się na całą Europę i rozpetały wojnę na całym świecie? Czy można było przewidzieć masakrę oficerów polskich w Katyniu przeprowadzoną przez sowieckie NKWD?

Nadszedł rok 1944. Niemcy ponosili klęskę na wszystkich frontach. Wierzono, że całkowita klęska Niemiec jest blisko, ale jak długo trzeba jeszcze czekać. Ludzi ogarniała niecierpliwość. Życie w okupowanej Warszawie stawało się coraz cięższe i coraz niebezpieczniejsze. Terror szalał. Łapanki na ulicach, aresztowania, wywożenie do obozów koncentracyjnych, do obozów przymusowej pracy, wtrącanie do więzień, egzekucje na ulicach miasta... Brak żywności, ciężkie warunki materialne, nisko płatna przymusowa praca, zamknięte dla młodzieży szkoły średnie i uniwersytety. Brak polskich wydawnictw, polskiej prasy, polskich rozrywek kulturalnych. Zamknięte dla Polaków teatry, większość restauracji, niektóre parki, system kartkowy żywności itp. Obowiązywała godzina policyjna. Ot, po prostu niewola. Młodzież odczuwała brak prawdziwego życia, życia pożytecznego, jawnego, a nie życia i działalności w konspiracji.

Działalność konspiracyjna zaczęła istnieć w Warszawie już w pierwszych dniach okupacji. Starsze pokolenie zorganizowało tajne nauczanie na poziomie średnim i wyższym. Zorganizowano publikowanie prasy, zajęto się kolportażem. Przemycano tajne listy (grypsy) do ludzi uwięzionych, do ich rodzin. Produkowano masowo fałszywe dokumenty dla ułatwienia życia ludziom pracującym w konspiracji.

Pod koniec lipca 1944 roku Armia Czerwona dotarła do Pragi, prawobrzeżnej części Warszawy. Zbliżał się również czas wybuchu planowanego powstania. Polacy spodziewali się, że szybkie ofensywy sowieckiej armii przyjdą z pomocą

Powstaniu Warszawskiemu, szybciej wtedy dojdzie do wycofania się wojsk niemieckich i do zakończenia wojny.

Polacy obawiali się, że jeśli wojska podziemne Armii Krajowej nie wezmą udziału w walkach przeciw Niemcom, to Związek Sowiecki może twierdzić, że Armia Krajowa w ogóle nie istniała. A powody ku temu były. Przywódcy państw zachodnich nie zdawali sobie sprawy do czego dążył Stalin. Umowy przeprowadzone w Teheranie (28. XI. do 11. XII, 1943) nie wydawały się przywódcom zachodnim niebezpieczne. Długoletnia wojna kosztowała wiele ofiar. Wydawało im się, że trzeba osiągnąć pokój za każdą cenę. Stalin zdołał przekonać prezydenta Stanów Zjednoczonych F.D. Roosevelta i premiera Wielkiej Brytanii W. Churchilla, aby Polska i inne kraje wschodniej Europy zostały włączone do strefy wpływów Związku Sowieckiego.

Powstanie Warszawskie wybuchło 1 sierpnia 1944 roku o godzinie 5 po południu. Rozkaz o rozpoczęciu powstania wydany przez Armię Krajową

i delegaturę Rządu nie dotarł jednak do wszystkich dowódców jednostek Armii Krajowej i do wszystkich żołnierzy. Szybkie przekazywanie informacji w okupowanej Polsce było ze względów zrozumiałych utrudnione. Ani żołnierze ani dowódcy nie mieszkali w koszarach. Było to wojsko szkolone i działające w podziemiu. Armia Krajowa, pod dowództwem płk. Antoniego Chruściela ("Monter") posiadała w tym czasie w Warszawie około 32,000 żołnierzy oraz około 4,000 mieszkających w miejscowościach podmiejskich. Do Armii Krajowej dołączyły również oddziały mniejszych organizacji podziemnych, jak Bataliony Chłopskie i Armia Ludowa.

W dniu powstania do walki zgłosiło się około 25,000 żołnierzy. Reszta dołączała do walk później. Stan uzbrojenia nie był dostateczny, co czwarty powstaniec posiadał jakąś broń. Tylko pewne rodzaje broni były produkowane w Polsce, ale w ograniczonej ilości. Zdobywano też broń od Niemców.

Więcej wyposażenia bojowego powstańcy spodziewali się otrzymać ze zrzutów lotniczych



dostarczanych z Wielkiej Brytanii przez polskich i brytyjskich lotników. Niestety, przewidywania, że Związek Sowiecki pozwoli lądować samolotom z bronią na lotniskach znajdujących się na terenach polskich zajętych przez wojska Armii Czerwonej w pobliżu Warszawy, nie sprawdziły się. Lotnicy dostarczający broń musieli ze swej głównej bazy przelecieć do Polski i z powrotem bez lądowania, bez uzupełnienia paliwa, ponieważ lecieli nad terenami okupowanymi przez Niemców. Niemcy stracili ponad 80 samolotów.

Wybuch powstania przyjęto z ulgą. Oddziały powstańców rozpoczęły natarcia z wielką zaciętością. W dniach od 1 do 4 sierpnia zdołano opanować Śródmieście Warszawy i szereg dzielnic, jak Żoliborz, Stare Miasto, Wola, Powiśle i Czerniaków. W dzielnicach tych znajdowały się silnie zabezpieczone od ataków budynki, w których mieściły się biura niemieckie, specjalne zakłady, koszary, itp. Powstańcy otoczyli je i rozpoczęli intensywne walki o ich zdobycie. Przez opanowanie tych dzielnic powstańcy odcięli Niemców od dwóch ważnych arterii komunikacyjnych biegnących z zachodu na wschód przez mosty Kierbedzia i Poniatowskiego.

Po opanowaniu przez powstańców znacznej części Warszawy, mieszkańcy jej zachętyli się wolnością. Zaczęto, zgodnie z instrukcjami dowództwa, budować na ulicach barykady. W bramach domów zatknięto polskie białe-czerwone flagi. Ze znienawidzonych, propagandowych ulicznych głośników radiowych, zwanych złośliwie "szczekaczkami", płynęły pieśni partytyczne. Przez wybijanie otworów w ścianach suteryn, piwnic poszczególnych budynków otrzymano przejścia pomiędzy domami mieszkalnymi, ulicami i dzielnicami. Stworzono system ulic podziemnych, dzięki czemu można było się kontaktować z innymi dzielnicami w sposób bardziej bezpieczny. Istniejące od początku okupacji władze polskie działające w podziemiu otworzyły swoje biura. Ludność ogarnęła uniesienie i uczucie wolności. Niemcy, mimo że wiedzieli o przygotowaniach do powstania, zostali akcją zaskoczeni. Poniesli wiele strat w ludziach i uzbrojeniu. Wprowadzane do walki samochody pancerne, czołgi maszerujące szerokimi ulicami usiłowały uniknąć ataków, kierując się w węższe przecznice. Tam spotykał ich atak z góry, bowiem

powstańcy zrzucali na nich miotacze ognia i zapalające butelki.

Do silnego ataku przystąpili Niemcy 5 sierpnia. Najwcześniej stłumili powstanie na Pradze i Ochocie. Aby odzyskać linię komunikacyjną przechodzącą przez most Kierbedzia rozpoczęli atak od ulicy Wolskiej przez Chłodną kierując się ku Ogrodowi Saskiemu i mostowi Kierbedzia.

Z domów znajdujących się wzdłuż wyżej wymienionych ulic Niemcy wyprowadzali mieszkańców i bez względu na wiek i płeć rozstrzeliwali na miejscu. Domy systematycznie palili. W dzielnicy Wola zginęło wtedy ponad 30,000 mieszkańców. Strzelano nawet do rannych i chorych przebywających w szpitalach. Była to po prostu eksterminacja ludności. Tak zostało stłumione powstanie na Woli. Powstańcom udało się ten atak w dalszej fazie powstrzymać na pewien okres i dopiero pod koniec sierpnia trasa komunikacyjna przez most Kierbedzia została otwarta.

W tym samym czasie Niemcy atakowali Aleje Jerozolimskie biegnące w kierunku mostu Poniatowskiego. Dotarli oni jedynie do ulicy Marszałkowskiej. Dalszego odcinka nie udało im się opanować i prawie do końca powstania odcinek ten pozostawał w rękach powstańców.

Oddziały Armii Krajowej walczyły o zdobycie poszczególnych budynków znajdujących się w rękach Niemców. Na Krakowskim Przedmieściu powstańcy zdobyli budynek PASTA (Polska Akcyjna Spółka Telefoniczna) przy ulicy Piusa, komendę policji i kościół Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Zdobyto także Centralę Telefoniczną na ulicy Zielnej. Walczono zawzięcie o każde piętro.

Niemcy otrzymywali pomoc, posiadali samoloty, artylerię i niszczyli systematycznie dzielnice miasta. Najpierw atakowali z samolotów, strzelali i rzucali bomby zapalające, potem wkraczała artyleria, a następnie piechota. Powstańcy i mieszkańcy bronili się wytrwale tak, że często już po bombardowaniu wybiegali z ukrycia i atakowali czołgi i piechotę. Polacy, niestety nie posiadali broni przeciwlotniczej. Udało im się stracić tylko jeden samolot.

19 sierpnia rozpoczął się atak na Stare Miasto, które zaciekle broniło się do końca sierpnia. Wobec groźby zniszczenia dzielnicy podjęto decyzję

jej opuszczenia. W nocy z dnia 1 na 2 września miejskimi kanałami ściekowymi przeszły do Śródmieścia dziesiętkowane oddziały powstańcze wraz z gen. T. Bór-Komorowskim, Komendantem Armii Krajowej, St. Jankowskim, Delegatem Rządu i J. Pużakiem, przewodniczącym Rządu Jedności Narodowej. Za nimi zostały częściowe ruiny, a w nich tysiące zmarłych i rannych powstańców i mieszkańców Warszawy. Podobnie jak na Woli wymordowano tu ponad 30,000 mieszkańców.

Następne ataki skierowali Niemcy na Powiśle. Po ostrych walkach zakończyły się one zwycięstwem Niemców i w dniu 6 września w ich rękach znalazł się odcinek zachodniego brzegu Wisły pomiędzy mostem Kierbedzia i Poniatowskiego. Po stracie Powiśla, jedynym obszarem należącym do powstańców był Czerniaków, gdzie do 11 września powstańcy usiłowali utrzymać łączność ze Śródmieściem. Oczekiwane przez nich wyzwolenie Pragi nastąpiło dopiero 14 września. Sforsowanie Wisły przez I Armię Wojska Polskiego przy Czerwonej Armii nastąpiło w dniach od 16 - 21 września. Utworzono dwa przyczółki na Żoliborzu i Czerniakowie. Niestety zbyt mała liczba żołnierzy (5 batalionów) nie pozwoliła ich utrzymać.

Dalsze ataki Niemców zostały skierowane na opanowanie Żoliborza i Mokotowa. Ponad 2,000 powstańców zostało ewakuowanych z Mokotowa do Śródmieścia. Do 27 września Niemcy opanowali Mokotów. Tylko dwa dni dłużej bronił się Żoliborz. Dowództwo powstania podjęło rokowania kapitulacyjne i 2 października, 1944 roku w Ożarowie koło Warszawy został podpisany akt kapitulacji.

Do walk związanych z powstaniem należą także bitwy na terenie Puszczy Kampinoskiej. Mieściła się tu baza zaopatrzeniowa, tu przyjmowano niektóre zrzucone alianckie, stąd przerzucano broń i ludzi. Jeszcze 27 września obszary te zostały zaatakowane przez Niemców. Doszło do krwawej bitwy pod Jaktorowem. Oddziały Armii Krajowej zostały rozbite. Straty w ludziach były duże po obu stronach. Część żołnierzy zdołała się wydostać i przejść w okolice Opoczna, gdzie połączono się z innymi oddziałami Armii Krajowej walczącymi nadal o wolność Polski.

Powstanie Warszawskie było szczytową walką Armii Krajowej. Mimo bohaterstwa żołnierzy

- tysięcy młodych chłopców i dziewcząt i ludności cywilnej - upadło. Podczas 63 dni w walkach zginęło około 18,000 powstańców, 25,000 zostało rannych. Liczba ludności cywilnej poległej w czasie powstania wynosi około 200,000. Niemcy stracili 17,000 (w liczbie tej mieszczą się zabici i ci, którzy zaginęli), 9,000 było rannych.

Smutne i tragiczne jest to, że ci, którzy zginęli, oddali swe życie nie dla siebie, ale dla wolności i niepodległości następnych pokoleń. Woleli zginąć niż żyć w niewoli. Czy wolno o tym zapomnieć?

Tadeusz Żeńczykowski

Fragment artykułu "Prawdy walczącej Warszawy"

W pierwszą rocznicę powstania w okresie, gdy władze komunistyczne ścigały Akowców jako "zapluty karłów reakcji", a walki na barykadach stolicy obrzucały demagogicznymi wyzwiskami - ukazała się w kraju napisana przez żołnierza AK broszura pt.: "Bój Warszawy". Chciałbym dziś przytoczyć z niej niewielki fragment:

"Bój Warszawy nie był wyłącznie akcją Armii Krajowej - był czynem całego warszawskiego ludu. Lud ten bowiem nie tylko znosił wspólne i jednakie z wojskiem niebezpieczeństwo śmierci, nie tylko składał daninę krwi i mienia, nie tylko cierpiał głód i wszelkie udręki, nie tylko współdziałał z akcją bojową wszędzie, gdzie tylko było możliwe, ale - co najważniejsze - dał swój zapał, dał swój instynkt patriotyczny, swój udział duchowy w walce, dzięki któremu stał się w ogóle możliwy ten heroiczny bój, jakiego kroniki wojen nie znają...

Bój Warszawy trwa jeszcze ciągle w polskich sercach i trwać będzie póty, póki Polska będzie w niewoli".

Z książki NARÓD W WALCE, str. 80

POWSTANIE WARSZAWSKIE — FAKTY I LICZBY

Godzina "W", rozpoczynająca Powstanie wyznaczona została przez Dowództwo na 5 po południu 1-go sierpnia 1944 r. Na Żoliborzu jednak i na Woli, a także w północnej części Śródmieścia walka wywiązała się wcześniej.

Mobilizacja sił Armii Krajowej w Warszawie dotyczyła na terenie miasta około 40,000 żołnierzy. Całością akcji powstańczej kierował bezpośrednio Komendant Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej płk. dypl. "Monter" (Antoni Chruściel), 14 września 1944 roku mianowany generałem brygady.

Oprócz tego brały udział w Powstaniu mniejsze formacje wojskowe: Armia Ludowa i Polska Armia Ludowa. Były to oddziały komunistyczne, organizacje niezależne od dowództwa Armii Krajowej.

W Powstaniu zginęło około 15,000 żołnierzy, ponad 20,000 odniosło rany. Największych strat doznały formacje walczące na Starym Mieście; sięgały one 80 do 90 procent stanów osobowych. Szczególnie wielkie ofiary poniosły oddziały Kedywu (zgrupowanie ppłk. "Radosława", w tym bataliony "Zośka" i "Parasol"). Zdarzyły się też przypadki niemal zupełnego wyniszczenia oddziałów już w pierwszym dniu walki powstańczej.

Do niewoli niemieckiej dostało się po Powstaniu około 15,000 jego uczestników, w tym około 2,000 kobiet.

Straty niemieckie w toku Powstania wyniosły (relacja generała von dem Bacha): zabitych — 10,000, zaginionych — 7,000, rannych — 9,000, razem — 26,000.

Ogółem po stronie niemieckiej brało udział w walce o Warszawę pod bezpośrednimi rozkazami generała von dem Bacha około 50,000 ludzi.

Na Warszawę kierowany był ogień artylerii 9 armii niemieckiej (188 dział). Do bombardowania miasta Niemcy używali również moździerzy o kalibrze 600 mm, 305 mm i 280 mm. Nadto liczne eskadry samolotów niemieckich ustawicznie bombardowały Warszawę.

Odwaga i bojowość zastępowały żołnierzom A K braki w uzbrojeniu. W toku walk powstańczych

oddziały AK zniszczyły w Warszawie 290 niemieckich czołgów, dział szturmowych i samochodów pancernych, 4 działa salwowe, 20 samochodów osobowych i ciężarowych. Nadto na Starym Mieście zestrzelono 1 samolot niemiecki.

Oddzielną pozycję stanowi sprzęt niemiecki, zdobyty i użyty do walki przez oddziały A K. Wynosił on: 5 czołgów, 1 działko szturmowe, 2 samochody pancerne, 3 działka szybkostrzelne, 7 moździerzy piechoty i 276 karabinów maszynowych (nie licząc karabinów ręcznych i pistoletów automatycznych).

Największe straty poniosło samo miasto — Warszawa — zrujnowana w wyniku walk i niemieckich bombardowań, a potem systematycznej akcji palenia i burzenia opustoszałego miasta przez specjalne formacje SS. Ocenia się, że blisko 200 tysięcy ludności cywilnej poległo podczas Powstania Warszawskiego.

Z książki NARÓD W WALCE

Hymn Polski Podziemnej

Naprzód do boju, żołnierze
Polski Podziemnej! Za broń! Za broń!
Boska potęga nas strzeże,
Do boju wzywa nas dzwon.

Godzina pomsty wybiła
Za zbrodnie, męki i krew
Do broni! Do broni! Jezus! Maryja!
Żołnierski woła nas zew!

Zorza wolności się pali
Nad naszą Ojczyzną. Za broń! Za broń!
Moc nasza przemoc przewali,
Nowy dzień rodzi się świat.

Godzina pomsty wybiła
Za zbrodnie, męki i krew
Do broni! Do broni! Jezus! Maryja!
Żołnierski woła nas zew!

Za naszą wolność i waszą
O bracia! Chwytny za miecz!
Śmierć ani trud nas nie straszą,
Zwycięski orle nasz, leć!

Godzina pomsty wybiła
Za zbrodnie, męki i krew
Do broni! Do broni! Jezus! Maryja!
Żołnierski woła nas zew!

Czy warto było?

(Fragmenty artykułu z książki NARÓD W WALCE, str. 63 - 65)

Kategorie, którymi myślało przywództwo Polski Podziemnej, były wspólne wszystkim w Europie pragnącym rzeczywistej niepodległości. Tymi też kategoriami myślała cała niemal Warszawa. Inaczej rozumowali tylko niektórzy Polacy, szczególnie poza granicami kraju. Tak np. naczelny wódz generał Kazimierz Sosnkowski nie chciał wystąpienia zbrojnego w stolicy, choć nie wydał dowódcy AK wyraźnego rozkazu zabraniającego walki. Uważał, że najdalej za kilka lat dojdzie do konfliktu zbrojnego między Zachodem a Związkiem Sowieckim i że dopiero wtedy rozstrzygnie się los Polski. W tych warunkach po cóż było się wykrwawiać i tracić siły przed czasem?

Lud Warszawy myślał inaczej. Wyczuwał instynktownie, że czas działania właśnie już nadchodzi, że trzeba bić Niemców, skoro się nadarza okazja, że gra toczy się o niepodległość i że w grze tej nie może zabraknąć stolicy. Rozumowanie góry Podziemia i ulicy biegło dokładnie tym samym torem. Bierność Warszawy była nie do pomyślenia. Chodziło jedynie o to, kto da wyraz powszechnej woli walki: Armia Krajowa ciesząca się poparciem całego niemal społeczeństwa, czy też komuniści, których jedyną siłę stanowiły bagnety sowieckie?

Decyzja powstania w Warszawie zapadła 31 lipca 1944 roku. Była ona nie tylko wynikiem przesłanek politycznych i wojskowych, ale jednocześnie - a może przede wszystkim - koniecznością psychologiczną. [...]

Podejmując decyzję powstania Dowódca AK ocenił, że na przedpolu Warszawy rozpoczęła się już bitwa sowiecko-niemiecka o miasto. I ocenił trafnie. Oceniał ponadto, że bitwa ta przyniesie zwycięstwo Armii Czerwonej.

Że taka też była ocena i Sowieckiej

Kwaterny Głównej, Dowódca AK domyślał się z wezwań radia moskiewskiego do powstania. Dziś wiemy to już z dokumentów.

Cóż jednak się stało? 2 sierpnia Kreml, upewniwszy się, że w Warszawie porwały za broń oddziały Armii Krajowej, a nie komunistycznej Armii Ludowej, wydał swym wojskom rozkaz natychmiastowego przerwania działań pod Stolicą. Dlaczego? Wedle planów zarówno sowieckich, jak niemieckich, Warszawa miała być placem boju na początku sierpnia 44 roku.

Plan sowiecki przewidywał, że w chwili wkraczania Armii Czerwonej do miasta, komuniści



Ulice są stale pod ostrzałem. Tworzy się sieć połączeń przez dziury i wyłomy w murach.

mieli obsadzić główne gmachy publiczne i rozpocząć bez zwłoki urzędowanie, jako nowe władze Polski. Moskwa chciała w ten sposób dowieść, że jedyną siłą w Polsce walczącą z Niemcami są komuniści, natomiast całe polskie państwo podziemne to elementy kolaborujące z Niemcami lub w najlepszym wypadku - bierne i bez posłuchu w społeczeństwie, a więc - bez znaczenia.

Zajęcie Warszawy przez Armię Czerwoną miało być zarazem zdobyciem tytułu moralnego i historycznego do urządzania Polski wedle życzenia Moskwy przez jej komunistycznych plenipotentów. Wystąpienie Armii Krajowej unicestwiło te plany. Moskwa zemściła się więc po swojemu. Skazała Warszawę na zagładę - rękami niemieckimi. Jeszcze raz naród polski padł ofiarą współdziałania sowiecko-niemieckiego. Jak w roku 39.

Warszawa w żadnym wypadku nie uniknęłaby więc walki na swym obszarze. Walka ta jednak mogła być zapisana politycznie, historycznie i psychologicznie albo na konto komunistów, jak tego chciała Moskwa, albo na konto niepodległościowej Armii Krajowej. Innej możliwości nie było.

Warszawa nie uniknęłaby również zniszczenia. Nikt z nas nie wie, jakie przybrałoby ono rozmiary. Jedynie dla porównania warto przypomnieć że w toku bojów sowiecko-niemieckich Poznań uległ zniszczeniu w 45 procentach. Białystok w pięćdziesięciu, Wrocław, Słubice i Legnica w sześćdziesięciu pięciu procentach. Straty Warszawy w toku powstania i po jego upadku wskutek umyślnego niszczenia przez Niemców - wyniosły 60 procent, które trzeba dodać do poprzednich 25 procent z czasów kampanii wrześniowej i burzenia getta.

Straty w ludziach były potworne. Wyniosły one ponad 150,000. W poprzednich latach Warszawa straciła ponad 650,000, a cała Polska wskutek aktów eksterminacyjnych niemieckich i sowieckich ponad 6 milionów.

Powstanie Warszawskie zakończyło się zatem w sensie biologicznym i materialnym wielką klęską. Ale w sensie psychologicznym, historycznym i politycznym osiągnęło swe cele. Moskwa narzuciła Polsce siłą rządy komunistyczne, nie zdobyła jednak dla nich tytułu moralnego do władzy. Naród polski pokazał, że pragnie niepodległości, i że czyni dla niej wszystko, co w jego siłach. Wielkim

naszym nieszczęściem po rozbiorach było wewnętrzne przekonanie narodu, że uległ obcej woli bez oporu. Te hańbę próbowały zmazać powstania narodowe. Ale i one budziły wątpliwości.

*Na Termopilach - jaką bym zdał sprawę,
Gdyby stanęli męże nad mogiłą
I pokazawszy mi swe piersi krwawe
Potem spytali wręcz: "Wiele was było?" -
Zapomnij, że jest długi wieków przedział. -
Gdyby pytali tak - cóż bym powiedział?*

Tak pisał Słowacki po Powstaniu Listopadowym, przeciwstawiając słabości duchowej, jak sądził, ówczesnych powstańców - męstwo trzystu Spartan, którzy w roku 489 przed Chrystusem nie ulekli się w wąwozie termopilskim całej wielotysięcznej armii perskiej, aż padli w boju do ostatniego.

Polakom wiarę we własne siły przywróciło w pełni dopiero zwycięstwo nad bolszewikami w roku 1920. Ale kampania wrześniowa 39 roku pozostawiła znów w społeczeństwie osad niesmaku. Myśleliśmy, jak dziś wiemy - niesłusznie, że nie daliśmy z siebie wszystkiego, na co nas było stać.

Ostatnie ślady tego zawodu usunęło Powstanie Warszawskie. Żaden naród w dotychczasowych dziejach świata nie pokazał w walce powstańczej więcej miłości ojczyzny i więcej mocy wytrwania, niż naród polski. [...]

Powstanie Warszawskie - fakty i liczby

Wydalem dziś upragniony przez was rozkaz do jawnej walki z odwiecznym wrogiem Polski, najeżdżcą niemieckim. Po pięciu blisko latach nieprzerwanej i twardej walki prowadzonej w podziemiach konspiracji stajecie dziś otwarcie z bronią w rękę, by Ojczyźnie przywrócić Wolność i wymierzyć zbrodniarzom niemieckim przykładową karę za terror i zbrodnie dokonane na ziemiach Polski.

Warszawa, 1. VIII - 1944 r.

Dowódca Armii Krajowej
(-) Bór

DROGOWSKAZ POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Obchody rocznicy wybuchu sierpniowego powstania Warszawy weszły do narodowej tradycji, przestrzeganej przez Polaków za granicą, a przede wszystkim w kraju. Tradycja ta zrodziła się samorzutnie bez żadnych ustaw, rozkazów czy wezwań. Powstała z odczucia narodowego, z instynktownego odruchu społecznego, z pragnienia upamiętnienia wszystkich ideowych wartości, jakich wyrazem było Powstanie Warszawskie.

Te właśnie jego wartości władze komunistyczne chciały w kraju zohydzić, sponiewierać i wykorzystać ze świadomości społeczeństwa metodą fałszowania prawdy o Powstaniu i oszczerczych oskarżeń wobec Armii Krajowej i jej żołnierzy.

Zaczynano tę kampanię już bezpośrednio po Powstaniu i nasilano w roku następnym. Nie kończyło się tylko na słowach. Więzienia Urzędu Bezpieczeństwa były przepełnione Akowcami. Tysiące wywieziono do łagrów sowieckich. W kraju ścigał ich terror i groźby za to, że nie chcieli uznać narzuconej władzy.

Główny Zarząd Polityczny Wojska Żyńskiego w ulotce z kwietnia 1945 r. tak pisał o żołnierzach AK: **Ginąca gadzina reakcji próbuje jeszcze kąsać. Ale nie powstrzymają Rzeczypospolitej — na jej drodze ku wielkości — zapłute karły reakcyjne.**

Minister Bezpieczeństwa Publicznego Podkiewicz w odezwie majowej przestrzegał żołnierzy AK: **Kto będzie dalej warcholą, uprawiał bandytyzm i przeszkadzał narodowi naszemu w spokojnej i ciężkiej pracy nad odbudową Polski — ten będzie bezlitośnie zmiażdżony siłą.**

W takiej atmosferze, przy wzmagającej się fali aresztowań, przy pojawiających się na murach plakatach przyrównujących AK do SS — nadchodziła w kraju pierwsza rocznica Powstania. W obronie prawdy o nim, dla przypomnienia jej

społeczeństwu i dania satysfakcji moralnej żołnierzom AK — działająca konspiracyjnie Delegatura Sił Zbrojnych na Kraj wysłała w lipcu ulotkę, szeroko kolportowaną w całej Polsce. Był to wówczas jedyny główny protest przeciwko kalumnii i bezprawiu reżimu. Oto jej fragment:

Bój warszawski był...szczytowym wyrazem powszechnej woli walki o wolność, która od 150 lat zwraca się przeciwko każdemu zaborcy. Ta gotowość do walki kosztowała Polskę wiele. Ale to ona — przekazywana z pokolenia na pokolenie — nie pozwoliła zaborcom na strawienie ciała Polski... To ona pozwalała narodowi przetrwać niewolę...

Tą twórczą i swobodzielską rolę będzie ona odgrywać zawsze, gdy wolności w Polsce nie będzie. Kto tę wolę walki o wolność osłabia, kto wyolbrzymia lub żałuje poniesionych w niej ofiar — ten nie rozumie jej nierozzerwalnego związku z istnieniem narodu, z jego interesami i honorem.

Ta ulotka była w 1945 r. pierwszą, choć skromną, formą uczczenia rocznicy Powstania. Na cmentarzu powązkowskim w Warszawie nie mogli zebrać się tłumnie koledzy i rodziny poległych, nie istniały jeszcze uporządkowane i żelazne kwatery powstańcze. Warszawa dopiero dźwigała się z gruzów, a cmentarz nadzorowali funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa.

Od tego pierwszego, ograniczonego swym kształtem obchodu rocznicy Powstania — weszły w narodowy zwyczaj wszystkie dalsze, doroczne i głośniejsze uroczystości z nim związane. Nie jest przy tym ważna zewnętrzna oprawa tych obchodów, gdyż istotne znaczenie posiada rozpamiętywanie jego niezniszczalnych wartości i wyciąganie z nich wniosków na dzień dzisiejszy i na przyszłość. Nie można przecież ograniczać się tylko do zaspokojenia potrzeby serca przez oddanie hołdu poległym towarzyszom broni, którzy w pełni na to zasłużyli.

Warto w tym pamiętnym dniu przypomnieć sobie — a może i innym — o co walczyli, dla jakiej sprawy oddali swoje życie i zastanowić się, czy nie jest nadal konieczna walka — choć w odmiennych formach i warunkach — o te ideały, które poległym kolegom i nam przyświecały w latach Polski Podziemnej.

Powstanie było szczytowym i najpełniejszym wyrazem tych wszystkich dążeń narodu, które przejawiały się w szeroko pojętym Państwie Podziemnym, w jego założeniach niepodległościowych i propagandowych, w jego formach “walki cywilnej” i zbrojnej.

Powstanie stało się symbolem prawdziwej jedności narodowej, która dla nadrzędnego celu spełniała dążenia różnych kierunków polskiej myśli politycznej. Ześrodkowało niezliczone dowody bohaterstwa ludności cywilnej i niezwyklej odwagi żołnierza. Wytworzyło mocną więź solidarności całego walczącego miasta. Nie są to tylko szumne słowa, gdyż skrótowno wyrażają autentyczną głęboką treść.

Pamięć o Powstaniu może tylko przynieść pożytek narodowej historii. Nie zmieni też w niczym faktu, że każdy z nas — któremu danem było walczyć na ulicach Stolicy — będzie zawsze z dumą mówił o swym uczestnictwie w Powstaniu Warszawskim.

Sprawiedliwość i koleżeństwo broni wymaga stwierdzenia, że mówiąc o Powstaniu myślimy jednocześnie o całej Polsce Podziemnej, o wszystkich żołnierzach AK, którzy walczyli i ginęli na całym obszarze kraju, a nieraz nawet poza jego granicami. Łączyły nas przecież te same przesłanki ideowe, identyczna świadomość celu, do którego dążyliśmy, jednakowa “dola i niedola” żołnierska bez imienia, ta sama wiara w przyszłość Narodu.

Hartowały nas długie lata okupacji i uczyły rozwagi, cierpliwości, ofiarności i wytrwałości. Musieliśmy stosować — zależnie od okoliczności — różne środki walki z wrogiem, by krzepić, a nie osłabiać, siłę oporu całego społeczeństwa. Trzeba było udoskonalać zasady konspiracji i starannie je przestrzegać.

Można wyrazić żal, że wciąż jeszcze za mało się mówi i pisze o całej prawdzie Powstania — politycznej, ideowej, społecznej i wojskowej, że tak rzadko rozprawia się z jej fałszerzami.

Prawdzie takiej może również służyć rzeczowa krytyka, której nie potrzebujemy się obawiać.

Obok akcji zbrojnych potężniał codzienny front “walki cywilnej”, skutecznie paraliżujący metody przemocy okupanta, który stawał bezradny wobec masowego, biernego oporu. Ważną bronią Polski Walczącej była prasa konspiracyjna, krzepiąca żołnierza i kształtująca nastroje całego społeczeństwa, któremu wskazywała również najskuteczniejsze formy oporu. Ogłaszane przez nią “czarne listy” kolaborantów i zdrajców usuwały te “parszywe owce” poza nawias społeczeństwa, a jednocześnie ostrzegały go przed donosicielami.

Tej naszej wiary w przyszłość, o której wspominałem, nie załamał ani upadek Powstania, ani wydarzenia lat 1944-45. Zdobyliśmy tylko gorzką naukę, że w walce o wolność trzeba przede wszystkim liczyć na własne siły.

Z uznaniem, radością i nadzieją na przemian — w miarę rozwoju wypadków — z serdeczną troską i niepokojem obserwujemy to wszystko, co w ciągu ostatnich dwóch lat dzieje się w Polsce. Jak bardzo ten potężny ruch wolnościowy czerpie swe siły z tych samych źródeł, z których my wywodziliśmy przed z górą 40 lat swą wolę walki.

Wielomilionowej “Solidarności” przyświecają te same ideały, które były naszym przewodnikiem i motorem działania w trudnych latach II wojny światowej. Jej członkowie i zwolennicy prowadzą walkę o wolność również z okupantem — ale niestety — wewnętrznym, polskim. Terrorem nie dysponuje teraz gubernator Frank, lecz posłuszny Moskwie generał w polskim mundurze. Przemoc zmusza znów do konspiracji. Toczy się przypominająca nasze akowskie czasy “walka cywilna” wspierana masową, dynamiczną prasą podziemną.

Ta więź między naszymi dawnymi laty a teraźniejszością jest nie tylko ideowa, ale nawet personalna. W “Solidarności” — jak dobrze wiemy — nie brak ani byłych Akowców, ani synów i córek byłych żołnierzy Armii Krajowej.

Warto raz jeszcze wrócić do odezwy Delegatury Sił Zbrojnych w Kraju, wydanej w lipcu 1945 r. Oto końcowe fragmenty, nawiązujące do pierwszej rocznicy Powstania!

Cała Warszawa walczyła w Armii Krajowej. Lud walczył o swą wolność.

Ten rytm prawdziwej demokracji i prawdziwej wolności, dla której tylko warto żyć i umierać, musi być głównym wspomnieniem o Powstaniu Warszawskim, musi być przedłożony tym, którzy nie mieli szczęścia go przeżywać.

Nie jakaś nieokreślona legenda Warszawy 1944, lecz te tkwiące w akcie powstańczym

wielkie i twórcze pierwiastki kształtują naród.

Gdy w sierpniowy dzień na obcej ziemi będziemy składać hołd poległym w Powstaniu towarzyszom broni, pamiętajmy także o setkach tych, którzy dziś w Polsce internowaniem i więzieniem płacą za swą walkę o wolność.

DZIENNIK ZWIĄZKOWY

5-6 sierpnia 1983

Marek Gordon

Rzecz o żołnierzach

(Z książki Radiowe igraszki, wydanej w Chicago w 1955 roku)

Gdziekolwiek tylko jestem, gdy przypada 1 sierpnia, mówię o Powstaniu. Czynie to już przez szereg lat. Były odczyty, audycje radiowe, kilkanaście artykułów, nowel, wspomnień... Zawsze jednak, gdy wracam do tego tematu, nie chce mi się wierzyć, że już minęło tyle lat od tamtych niezapomnianych 63-ch dni.

Napisano już tyle książek i wspomnień o Powstaniu, a jednak jest to temat nie wyczerpany. Tyle epizodów, wspaniałych czy strasznych, a wybór trudny. Nie będę się tu wdawał w rozważania, czy Powstanie było potrzebne czy też nie. Nie byłem politykiem i nie jestem. Byłem żołnierzem powstańczym i o żołnierzach będę mówił. O chłopcach i dziewczętach, żywych i poległych, o żołnierzach Armii Krajowej.

Mały Janek był wśród żołnierzy. Chciał koniecznie też coś robić. Kiedy nieprzyjacielski czołg zbliżał się ulicą, Janek rzucił się pod ścianę i udawał zabitego. Gdy stalowy potwór zrównał się z chłopcem, Janek rzucił pomiędzy gasienice zapalającą butelkę. Niemiecki czołg stanął w płomieniach. Podobało się to Jasiowi i zrobił tak samo jeszcze dwa razy. Dowódca przypiął Jasiowi na koszulce krzyż Virtuti Militari, pogłodził po twarzy pan generał i spytał:

- Powiedz mi, Janku, czego pragniesz najbardziej?

A Janek:

- Proszę pana generała, ja bym chciał mieć taki żelazny kapelusz, jak wszyscy ... i jeszcze rower...

Taki był Janek z Powstania, dziecko Warszawy, chłopiec 12-letni.

Będę mówił o żołnierzach.

W moim patrolu prasowym była dziewczyna, Ewa. Walczyła kamerą fotograficzną. Tam, gdzie nie mógł wytrzymać ognia nikt, Ewa z aparatem fotograficznym dawała sobie radę i przynosiła zdjęcia - dokumenty. Rozstaliśmy się koło Jabłkowskich na Brackiej. Poszła do gimnazjum Górskiego fotografować stamtąd, jak pracuje przeciwpancerne działko niemieckie. Nie zobaczyłem jej już więcej: spiętrzyły się nad nią gruzy i do dziś ich z serca uprzętnąć nie mogę...

Będę mówił o żołnierzach.

O tej kobiecie uginającej się pod ciężarem lat, która na ulicy Królewskiej, wśród płonących domów i straszliwego ognia artylerii rozdawała chłopcom zupe. A gdy zakrzykneli:

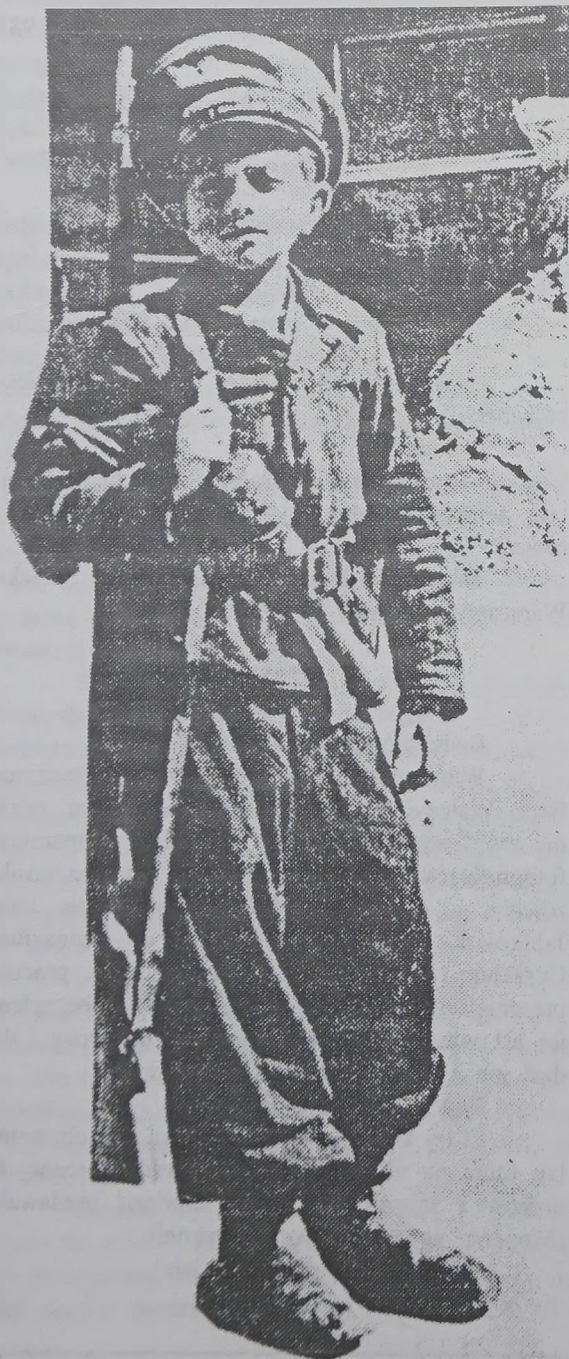
- Niech pani już stąd idzie!

To powiedziała:

- Jak wy możecie tu zostać, to i ja mogę.

A potem już nie było co rozdawać. Wzięła małą walizczkę i poszła z nią przez gruzy do innych żołnierzy. Pracować - bo jakże?... Nie wiem, co się z nią stało. Może słucha dzisiaj tych słów, a może jej nie ma...?

Będę mówił o żołnierzach.



O chłopcach poczty harcerskiej, którzy pierwsi odkryli przejście kanałami. Tym małym harcerzykom, których ambicją było dostarczyć list wszędzie, ocaleni obrońcy Starego Miasta zawdzięczają ratunek.

Pochyliam się nad ciałkiem małego Zdziśka z ulicy Wareckiej, który nie dobiegł z listem do dowódcy odcinka, bo go dosięgnął granat... Widzę jasne oczy dziewczyny pędzącej susami pod ogniem karabinów maszynowych na ulicy Mazowieckiej. Nie ochroniła jej opaska Czerwonego Krzyża: połączył ich wieczysty uścisk z rannym podchorążym, po którego szła...

Będę mówił o żołnierzach.

O kapitanie Boliwa, który podobny do Sowińskiego, bez ręki, zdobywał Pastę na Zielnej, stopień po stopniu, piętro po piętrze. Gdy po kilkugodzinnej straszliwej walce, umazany sadzami, brudny, zapytałem kapitana Boliwę, jaka jest sytuacja, odpowiedział jakże prosto:

- Wydaje się, że zdobyliśmy centralę telefoniczną.

A mundur miał czysty, jakby przed chwilą opuścił koszary.

Będę mówił o żołnierzach.

O Antku, Orzelku, który znalazł cichą śmierć w ogrodzie Sióstr na Tamce w sekundę po sprzątnięciu niemieckiego strzelca wyborowego. Leżał sobie Antek cicho, wśród zagonów ogrodowych, zbratany z ziemią. I nawet podejść do niego nie można było trzy dni, bo Niemcy siekli po pomidorach niemiłosiernie, a o sto metrów dalej leżał niemiecki strzelec wyborowy...

Będę mówił o żołnierzach.

O dwóch minerach, którzy w czasie zdobywania Uniwersytetu pierwsi przebiegli Obozną. Brama zamurowana. Druty kolczaste. Ciach druty nożycami. Zakładają nabój pod bramę. Koło mnie stoi dowódca Powiśla "Krybar" "*". Drży. Wybili mur, założyli ładunek. Po dachu pawilonu biegnie dwóch Niemców. Oto trzaska ktoś z "Pm'a". Jeden fika kozła, a drugi z wielkim zamachem rzuca granat. Oto leżą dwaj minerzy na drutach; przygnieci ogniem niemieckim nie mogli oderwać się od stanowiska. Wylecieli na własnych minach. Nie otworzyli drogi kolegom na Uniwersytet. Na Uniwersytet walki i chwały...

A za Wisłą była cisza. A za Wisłą była

Armia. A za Wisłą mieli gotowy plan zniszczenia i zagłady.

Niemcy wbijają się klinem poprzez Warszawę. Tunel zakorkowany pociągami, rozbitym przez Powstańców. Wierzchem nie można - korek. Nurkują Stukasy, walą się bomby, zapalające torpedy powietrzne wstrząsają miastem. O niezapomniane 63 dni!

Jakże denerwują mnie mędrkowania i dociekania, co było słuszne a co nie. Jakże mnie drażnią wszelkie teorie puste i spóźnione filozofie. Ja widziałem żołnierzy, żywych ludzi. Byłem z nimi. Z jednym przyszedłem aż tu, a innych grzebałem na warszawskich skwerach. Chorych kolegów zostawiłem w szpitalach niemieckich, z patrolu prasowego 1 plus 4 zostałem sam...

Nie wierzę, aby mogło się zdarzyć jeszcze coś większego, jakieś przeżycie piękniejsze i bardziej tragiczne.

Będę mówił o żołnierzach.

Pamiętam ten dzień, dzień ciszy i rozpacz - 24 godziny przed wymarszem do niewoli. Niszczyliśmy broń. Rozwaliłem swój pistolet (P38) o żelazny drąg na ulicy Frascatti. Szliśmy do niewoli według warunków kapitulacji: z karabinami, ale nie miały one zamków; z kaburami przy pasach ale nie było tam pistoletów. Za sobą zostawialiśmy miasto najdroższe, połowę swego życia, sen nie ziszczonej i ruiny...

Czasem żal człowiekowi i wstyd, że chodzi po świecie...

Może powinien zostać tam...

Pomimo całego patosu i wielkości tamtych dni, pragnę z całego serca, aby następne pokolenie Polaków mogło zamieszkać pod spokojnym niebem, w jasnych domach, przed którymi bawią się szczęśliwe dzieci. I żeby już nie było bomb, ani



"Dzieci Warszawy" — chłopcy w różnych mundurach i z różną bronią, często bez broni i bez mundurów

strachu... Chciałbym jeszcze chodzić z laską po nowej, pięknej Warszawie, jak to kiedyś inni powstańcy, przystawać, uśmiechać się i gładzić starczą ręką jasne główki dzieci...

Mówiłem o żołnierzach.

Bo walka nie skończona. Żołnierze Armii Krajowej, których jest tysiące w wolnym świecie, nie zawiodą. Trwamy na posterunkach. Milczymy. Czekamy.

* Pseudonim, który powstał z połączonych imion córeczek kapitana: Kry-styna, Bar-bara.

Sierpniowe Aleje

(Z książki **Katedra**, wydanej w Londynie w 1964 roku)

We wszystkich publikacjach, dotyczących Powstania Warszawskiego, przebija najczęściej tendencja ujmowania niezliczonych zagadnień i epizodów Powstania w jedną całość. W moim pojęciu jest to raczej błąd, gdyż tematu powstańczego nie można ująć w całość nawet w kilka książek, a coś dopiero w parę artykułów. Dlatego też uważam, że najlepszą metodą w naświetleniu zdarzeń powstańczych jest stopniowe pokazywanie poszczególnych epizodów, które dopiero kiedyś z dorobku ogólnego tych wszystkich, którzy poruszają sierpniowe tematy, stworzą pełny obraz Powstania Warszawskiego.

Rzecz będzie o Alejach. O Alejach Jerozolimskich, które zostały przemianowane w czasie Powstania na Aleje Sikorskiego. Bardzo wiele było w Walczącej Warszawie punktów ważnych i niezmiernie trudnych tak ze względów strategicznych jak i innych, ale Aleje Jerozolimskie były bezwzględnie pozycją kluczową, na której zdobyciu najbardziej zależało Niemcom, a na obronie - Polakom. Dlaczego? Jakiż był powód, że właśnie ten punkt, ta ulica (wykazana na szkicach) tak ważną rolę odgrywała w przebiegu walk powstańczych? Niemcy doskonale zdawali sobie sprawę, że stworzenie sobie linii przelotowej przez Warszawę ze wschodu na zachód jest kwestią zasadniczą, która może decydować o przebiegu walk. Przez 63 dni ustawicznie próbowali wszelkimi sposobami sforsować tę arterię z wielu względów. Siłom niemieckim, zaangażowanym w walkach o Warszawę chodziło głównie o przebicie drogi transportowej ze wschodu na zachód, zaś Aleje były taką arterią. Poza tym Polacy usadowieni pomiędzy ulicą Marszałkowską a Bracką mieli stałe połączenie - choć tak niezmiernie wąskie - między Warszawą Powstańczą - Południe a Warszawą Powstańczą - Północ. Gdyby Aleje zostały sforsowane, wówczas Śródmieście Walczące straciłoby ze sobą kontakt. Inny wzgląd był niemniej ważny: ponieważ Polacy, tkwiąc na tej pozycji, oraz obsadzając szpital

Czerwonego Krzyża u wylotu tunelu średnicowego "zakorkowali" ten tunel, unieruchamiając w nim niemiecki pociąg i w ten sposób zamknęli i tamtędy również droge niemieckim transportom. A tunel prowadził pod Alejami. Z jednej strony niemieckie oddziały, próbujące się przedostać z Pragi przez Most Poniatowskiego, docierały jedynie do Muzeum Narodowego i do Banku Gospodarstwa Krajowego. Ostatnim powodem ustawicznych ataków na cieniutką smużkę polskości w Alejach była chęć połączenia się głównych sił niemieckich z załogą Dworca Głównego, który był odcięty. (Załoga kontaktowała się jedynie z obsadą Hotelu Polonia, który był w niemieckich rękach, ale znowu Polonia również była odcięta).

Takie były przekonujące argumenty niemieckie za tym, aby przerwać powstańczy strumyk w Alejach.

Ze strony Powstańców dokonywało się nadludzkich wysiłków, ażeby jedyny korytarz przelotowy utrzymać za wszelką cenę. Nie od razu ludzie z Armii Krajowej przywiązywali taką wagę do tego odcinka, nie od razu zdawali sobie z jego ważności sprawę. W ciągu pierwszych paru dni Powstania Aleje były "ziemią niczyją", jednakże ta ziemia pozostawała ciągle pod ostrzałem niemieckich cekaemów z Banku Gospodarstwa Krajowego. Łączniczki przebiegały tę przestrzeń, zdejmując opaski i powiewając białymi chusteczkami, pozorując w ten sposób "przerażoną ludność cywilną". Ta sztuczka udawała się jednak krótko. W następnym okresie przybyli w Aleje saperzy. Pod ustawicznym ogniem niemieckim, przy ogromnych wysiłkach i przy dużych stratach w ludziach, udało się im stworzyć dwie pół-barykady, sięgające tylko skrajów chodnika z obu stron. Na jezdni, zasłanej splątanymi drutami tramwajowymi, w dalszym ciągu szalał niemiecki cekaem. (Faza I) W tym czasie nie tylko chodziło już o nawiązywanie łączności tą drogą, ale również o przerzucanie oddziałów powstańczych, a później przybyła jeszcze

jedna troska - kiedy ludność cywilna poczęła się gromadzić przy tym przesmyku, pragnąc dotrzeć do swoich miejsc zamieszkania. Dowódca odcinka i samorządnie saperzy zorganizowali jako-tako pewien system w przepuszczaniu ludzi z jednej strony ulicy na drugą. Odbывало się to w ten sposób, że na Południu (strona nieparzysta) w otworze, wywalonym do piwnicy domu nr. 17, stał dyżurny saper. Po drugiej stronie tkwił drugi w jakimś rozwalonym sklepie. Krzyczeli oni do siebie przez ulicę. Np.:

- Dziesięć osób ode mnie! Wolne?

- Trzymaj na razie! odpowiadał drugi. - U mnie łącznik ze sztabu! - Puszczaj! - krzyczał pierwszy.

Powoli przyjęto regułę, że najpierw wypuszcza Północ, a później Południe. Po jakimś czasie chłopcy w Alejach porobili sobie tuby z tektury, gdyż chrypli od krzyku. Niezależnie od tej akcji saperzy ustawicznie budowali barykadę. O różnych godzinach, najczęściej w nocy. Była to syzyfowa praca. Gdy tylko barykada posunęła się cokolwiek w stronę środka jezdni, od Mostu Poniatowskiego podchodził czołg i "kropił" z działka dotąd, dopóki nie popsuł całej roboty. Gdy "Tygrys" albo "Pantera" odchodziła, wystrzelawszy amunicję, zjawiali się znowu saperzy i rozpoczynali pracę. I tak już było do końca Powstania.

Wróć jednak jeszcze do systemu przepuszczania "amatorów". W dzień na ogół ruch był bardzo mały, bo Niemcy byli świetnie wstrzelani i czasem nie było możliwe nosa wystawić. Przechodziłem Aleje około 200 razy na przestrzeni Powstania, ale w pierwszym okresie w ciągu dnia tylko raz. I to ostrzegano mnie jeszcze przed tym, że na własną odpowiedzialność, że tylko na podstawie legitymacji sprawozdawcy prasowego. Chłopcy dodawali przy tym, żebym również pamiętał o ewentualnym pogrzebie, który się nie będzie mógł odbyć, bo trupy bardzo ciężko ściągać; leżało już ich tam kilka. No, jakoś przebiegłem.

Na ogół jednak czekało się do nocy. U przelotu była już oczywiście i żandarmeria. Jak to zwykle bywa w takich wypadkach, rozpoczęły się zatargi i nieporozumienia. Na przykład żandarmeria chciała kogoś przepuścić, nawet całą grupę czasem, a saperzy stwierdzali, że nie są gotowi. Sprzeczek było co niemiara. Wreszcie kłótnie te stały się powodem wynalazku. Żandarmeria postanowiła

porozumiewać się telefonicznie poprzez Aleje na temat regulowania "skaczących" transportów. Jakżesz jednak żandarmeria może założyć telefon? Musi to zrobić łączność z pomocą saperów. Jedni wymyślili, drudzy założyli - telefon był. Skończyły się tuby i krzyczenie przez szerokość ulicy, co ułatwiało niezmiernie zadanie.

Łącznicy, telefoniści i sanitariusze - nie licząc oczywiście wszędobylskiej prasy - znali już te Aleje na pamięć. Z cywilami jednak bywały tragedie. Ale o tym opowiem później.

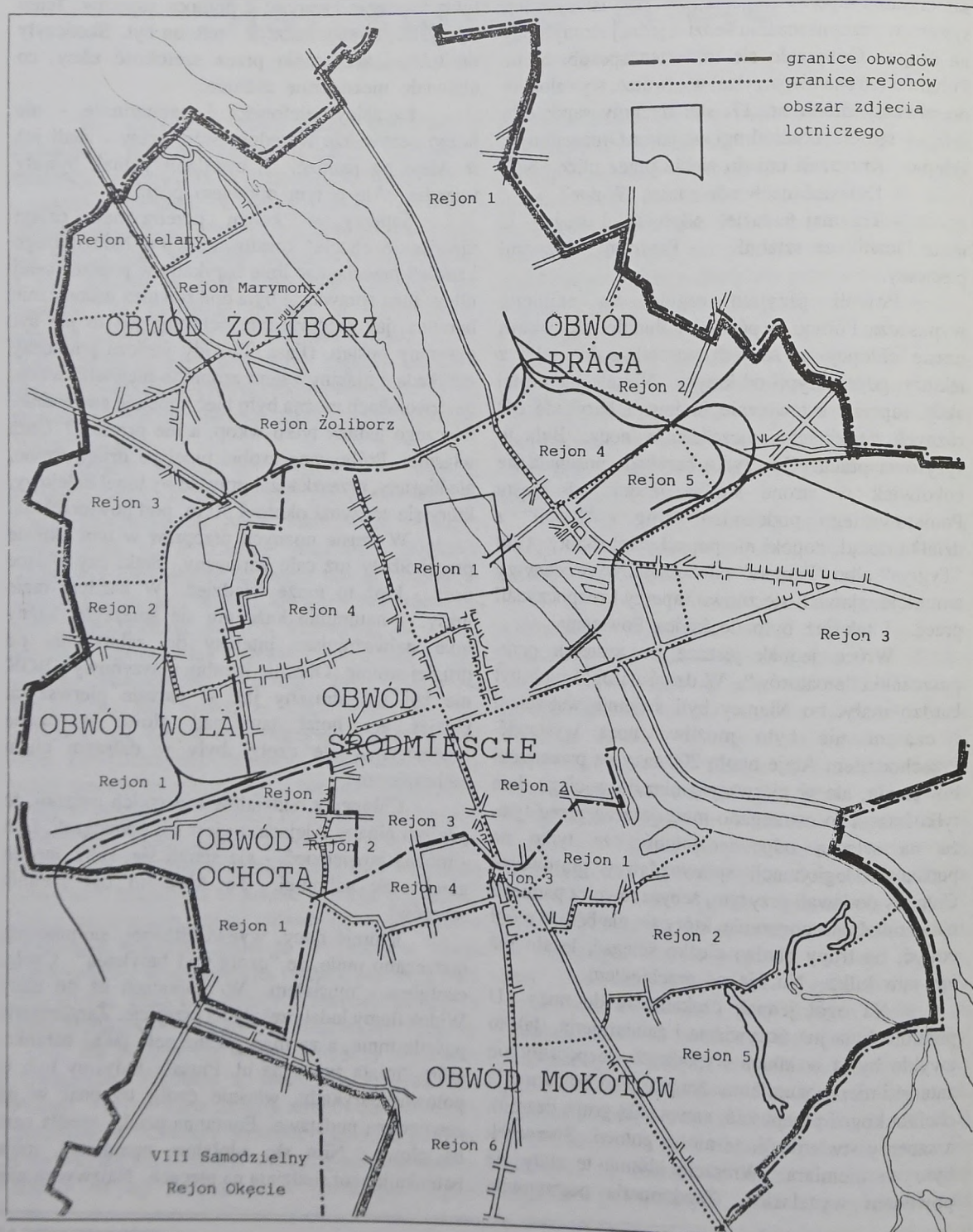
Saperzy w końcu przetrzymali czołgi niemieckie, chociaż kosztowało ich to bardzo drogo i zdołali przeciągnąć linie barykady w poprzek całej ulicy. Inna sprawa, że była ona również ustawicznie burzona, jak i poprzednie ochrony, ale to już był ogromny postęp. (Faza 2) Gdy jeszcze pomiędzy barykadą a niskim wałem zrobiono niewielki wkop, na czworakach można było biec zupełnie swobodnie. Dlaczego jednak tylko wkop, a nie przekop? Otóż właśnie! Próbowano zrobić tunel na drugą stronę, ale niestety, przeszkadzał prawdziwy tunel kolejowy, który się zaczynał około 1.50 m. pod powierzchnią.

W czasie nocnych przepraw w tym okresie przechodziły już całe karawany. Setki czy tysiące osób - ktoś to może wiedzieć. W każdym razie masy. I naturalnie każdemu się spieszyło, każdy miał najważniejsze interesy do załatwienia po drugiej stronie. Obecnie karabin maszynowy z BGK nie był tak straszny jak w okresie pierwszym. Gdzieś grzechotał tam nad głową w czasie przebiegania, ale czołgi były w dalszym ciągu niebezpieczne.

Chłopcy z oddziałów saperskich uważali, że gdy oni giną w Alejach, to jest ich obowiązek, fach - można powiedzieć, - ale starali się, żeby innych ginęło jak najmniej. Te Aleje to był pomnik saperów!

Którejś nocy, wygwieżdzonej, sierpniowej, ostrzegano mnie, że "czołg pod barykadą". Czołg, czołgiem - musiałem. W piwnicach aż do ulicy Widok tłumy ludzi czekały na przejście. Żandarmeria puściła mnie, a za mną przemknęła jakaś babinka, która "miała synka na ul. Piusa". Gdysmy byli w połowie barykady, właśnie czołg trzepnął w jej zewnętrzną podstawę. Fontanna piasku spadła nam na głowy. Nim się zdołałem opamiętać, moja babinka już mi siedziała na plecach. Najzwyczajniej

PODZIAŁ WARSZAWY NA OBWODY I REJONY AK **DIVISION OF WARSAW INTO DISTRICTS AND REGIONS OF THE HOME ARMY**



w świecie "na barana". Z tym ciężarem przymusowym i nieoczekiwanym dobrnąłem na drugą stronę. Prerażona niewiasta "zeszła ze mnie" dopiero w piwnicy. Oczywiście powiedzieliśmy sobie całą masę nieprzyjemnych rzeczy, a żandarm, który nas przyjmował, pokładał się ze śmiechu. Nie zawsze jednak było wesoło. Czasem jedna noc w Alejach pochłaniała i 20 osób.

Tymczasem inżynierowie powstańczy nie zasypiali w Alejach. Strasznie ich korcił ten tunel. Tunel przez tunel, czy tunel nad tunelem? Bez przerwy trwały na ten temat dyskusje i krzyżowały się rozmaite opinie. Wreszcie jacyś spryciarze wybadali, że tunel Dworca Głównego przechodzi bliżej nieparzystej strony Alej. Z tego wniosek, że po parzystej można będzie zrobić kryty przekop. (Faza 3) Prace nie trwały długo z tym, że odbywały się one w czasie bezustannych reperacji głównej barykady. Wreszcie przekop był. Niski, bo niski, ale w ten sposób już połowa ulicy była prawie bezpieczna. Z Północy na Południe wchodziło się teraz prosto do tunelu, a dopiero od połowy szerokości ulicy już tylko między dwoma barykadami. Gorzej oczywiście było przedostawać się w odwrotną stronę, zaczynając bez dachu nad głową.

Sama technika przechodzenia kawalkad przez Aleje została ulepszona: teraz już posługiwano się całą siecią telefonów. Dowódcy odcinków wydawali specjalne przepustki do przejścia Alej, a przepustki te musiały mieć pieczętę żandarmerii. Muszę się (przyznać, że nigdy nie byłem zwolennikiem biurokracji i kiedyś w Alejach również popełniłem oszustwo. Gdy czekałem na przejście po stronie nieparzystej, w piwnicy zawiązała się rozmowa. (Gdy kolejka do przejścia posuwała się niejednokrotnie parę godzin, można sobie było opowiedzieć wszystko od stworzenia świata). Jakiś żołnierz zwierzył mi się cichaczem, że nie ma przepustki na przejście, a właśnie wraca ze swoją żoną z własnego ślubu. Musi zdążyć na czas na swój odcinek. W dodatku jest z nimi babka panny młodej, która mieszka w rejonie barykady tego żołnierza. Bardzo mnie wzruszył ten wypadek i naradzaliśmy się wspólnie, jak załatwić przejście. Wreszcie, gdy byliśmy niedaleko wylotu, wyjąłem swoją przepustkę i dopisałem na niej "plus 3". Przy blasku latarki pokazałem żandarmowi dokument,

dodając: - Patrol sprawozdawczy!

Żandarm był śpiący, babcia była mała - pognaliśmy przez Aleje.

W historii tego przejścia ciekawe jest jeszcze zachowanie się obsługi niemieckich karabinów maszynowych w BGK. Kiedy została wybudowana mocniejsza barykada z przekopem, widocznie niemieccy strzelcy doszli do wniosku, że cekaem wyrządza minimalne straty, bo zaczęli "urzędować". Cały dzień puszczały systematyczne serie, ale od 12 do 1 była przerwa obiadowa. Oczywiście, jeżeli żadne natarcie nie szło bezpośrednio na BGK, niezależnie od przejścia w Alejach. Wieczorem od 8 do 9 była u Niemców kolacja. Tylko czołgi przychodziły o najróżniejszych porach, ale najczęściej tuż po zmroku i ostrzeliwały barykadę mniej-więcej do godziny 11-12 w nocy. Kiedyś w dzień podeszły one również pod osłoną polskich cywilnych kobiet i dzieci. Oddział szturmowy, który obsadził przejście, patrzył niezdecydowanie na swego dowódcę. Ale to niezwykle zagadnienie rozwiązały te kobiety, biegnące przed niemieckimi czołgami.

-Strzelajcie! - krzyczała żywa osłona. - Strzelajcie w nich i w nas! Wypadki te są znane, opisywane niejednokrotnie, są tragiczne i wspaniałe.

Wśród tych wszystkich zmagania, wśród ustawicznej pracy saperów i służby porządkowej, polska gardziel w Alejach przepuszczała tysiące ludzi. Istniała nieprzerwana łączność między walczącymi oddziałami polskimi.

Niezależnie od tego, co się działo na samym przejściu, ciągle ponawiane były próby zdobycia BGK, które nie zostały jednak do końca Powstania uwieńczone skutkiem. W tych wypadkach brały udział oddziały z odcinka Cristal, przedostające się aż na róg Nowego Świata i Alei Jerozolimskich, jak również oddziały lotne.

W ostatnich dwóch tygodniach Powstania natłok w Alejach był tak wielki, że niestrudzeni saperzy pomyśleli o ruchu dwukierunkowym, który by się odbywał jednocześnie. Tak wielkie ilości przechodzących stanowili ludzie, uciekający z rejonu Chłodnej, placu Żelaznej Bramy, wreszcie z Powiśla, które zostało już zajęte. Cała ta fala płynęła wąskim przesmykiem do Śródmieścia-Południe, gdzie było jeszcze stosunkowo "najspokojniej". Poza tym ustawicznie kursowały

w obydwie strony drużyny robocze, tzw. wielbłądy“, wyprawiające się po pszenicę do Haberbuscha, która była niemal że jedynym pożywieniem walczącej Warszawy. Któż nie pamięta słynnej “zupy - pluj!“ Poruszani tą ohydą papką żołnierze trwali na barykadach, walka trwała nadal.

Pomysły z drugim przelotem zostały urzeczywistnione (Faza 4).

Przy wybieraniu miejsca na drugie przejście dowiedziano się, że tunel średnicowy 10 m w stronę BGK obniża się w poziomie i dlatego tam zdecydowano zrobić całkowity przekop podziemny. Została wykorzystana chwila, gdy na vis-a-vis Banku Gospodarstwa Krajowego (w Cafe Clubie) rozgorzały zażarte walki. Cekaemy, trzymające w szachu barykadę, zostały użyte jako osłona ogniowa na Cafe Club i dlatego uwaga Niemców była odwrócona. Przekop udał się i powstał bardzo szybko. Od razu po kopaniu ciągnięto kabel telefoniczny, mając doświadczenie z poprzedniego przelotu.

Gdy tunel był gotowy, Niemcy wyparli nasze oddziały z Cafe Club do Cristalu, a później z Cristalu w głąb Brackiej. Ci, którzy budowali ostatni przekop, nie brali w rachubę obecności Niemców w Cristalu. Gdy się spojrzy na szkic, widać wyraźnie, jak się zmienił kąt ognia niemieckiego w chwili, gdy prócz BGK raził przelot w Alejach ogień z Cristalu. Skutek był tragiczny. Nowopowstały przekop użyto jako jednokierunkowy tylko z Północy na Południe (tzn. ze strony parzystej na nieparzystą). Gdy pierwsi ludzie zostali przepuszczeni, poza zasięgiem tunelu, gdzie biegli schyleni, stanęli w normalnych pozycjach, licząc się z tym, że są już bezpieczni. Tymczasem w głębi ulicy Kruczej na dużej jeszcze przestrzeni, zostali porażeni ogniem niemieckiego karabinu maszynowego. Straty były wówczas bardzo poważne. Kiedy szedłem tym przekopem po raz pierwszy (w parę godzin po tragicznej próbie), wisiała tam tabliczka u wylotu:

- “NIŻEJ! NIŻEJ!“

Tabliczka była umieszczona na wysokości 80 cm od ziemi.

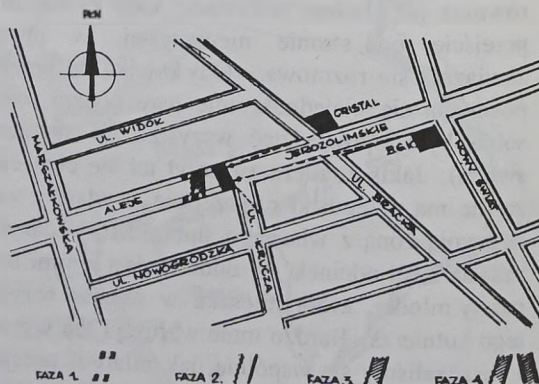
Na marginesie opisu trzeba zanotować rzecz zastanawiającą. Na przestrzeni całego okresu walk ani razu nie próbowano z tamtej strony obłożyć przelotu w Alejach ogniem granatników, który

przecież mógł amputować cały ruch na tym odcinku, mógł razić skutecznie w nieoczekiwanych momentach i wreszcie zablokować definitywnie przejście. Trudno powiedzieć, dlaczego nieprzyjaciel nie użył w tym wypadku ciężkiej broni piechoty - może po prostu na najbliższych odcinkach nie posiadał sekcji granatników, albo były trudności w ich podciągnięciu na pozycje. Sprawa ta pozostanie dla mnie zagadką. Bo to, że nie używano tam lotnictwa, nie może dziwić, gdyż nie pozwalała na to bliskość własnych pozycji oraz ewentualność, że bomby lotnicze mogłyby zniszczyć tunel kolejowy i tkwiący tam pociąg.

Faza czwarta była ostatnim stadium, w którym Aleje doczekały się kapitulacji. Aleje, ten węzeł nie do rozwiązania, tak ważny strategicznie punkt dla obu walczących stron. W momencie zawieszenia broni poszedłem jeszcze raz obejrzeć Aleje, mogiłę dzielnych saperów, słynny przesmyk polski wśród niemieckiego morza ognia i jakżeś dziwnie się czułem, chodząc normalnie środkiem jezdni, w tym miejscu, które kosztowało tyle ofiar... W oknie Banku, pamiętam, siedzieli ludzie z “Feldgrau“, przyglądali się nam ciekawie, a myśmy na nich spoglądali również z zainteresowaniem. To byli tamci, od cekaemów.

Nie mogłem zapamiętać wszystkich pseudonimów ludzi, którzy pracowali w Alejach, którzy tam zgineli. Jeżeli ktoś się mnie jednak spyta, jaką widziałem najlepszą w życiu saperską robotę, w której prócz rąk było jeszcze serce i poświęcenie, zawsze odpowiem:

- Sierpniowe Aleje.



*) Szkice sytuacyjne naniesione z planu miasta Warszawy (Zakł. Graf. B. Wierzbicki i Ska) przez autora.

Marian Brandys

Chłopiec z pociągu

Działo się to tuż przed wybuchem powstania warszawskiego, w czerwcu czy lipcu 1944 roku - dokładnie nie pamiętam. Dzień był duszny, chmurny. Człowiek przesądny mógłby powiedzieć, że w powietrzu od rana czaiło się coś niedobrego.

Żandarmi przychwycili nasz pociąg na małej stacyjce koło Częstochowy, a raczej jeszcze przed wjazdem na stacyjkę - w gołym polu pod sygnałem. Było ich dwunastu - jak w Powrocie taty¹ - pod dowództwem czarnego *SS-mana*² z psem. Zgodnie ze swoim zwyczajem, zaszli nas od dwóch stron i sprawdzali przedział po przedziale. Pasażerowie podawali dokumenty do kontroli, starając się wytrzymać bez drżenia spojrzenie *SS-mana*. Bali się wszyscy. W owych czasach nie było niewinnych. Po ostatnich klęskach na froncie hitlerowcy wzmoгли czujność i każda przypadkowa obława mogła się skończyć katastrofą.

Ta właśnie skończyła się katastrofą.

Kiedy dwie partie kontrolujących zbliżały się ku sobie, w końcu korytarza wybuchnął wrzask. To jeden z żandarmów pozostawionych przy drzwiach wszedł do ubikacji i znalazł tam ukryty za sedesem³ automat.

Wiadomo, czym groziło znalezienie w pociągu ukrytej broni. Hitlerowców ogarnął szal. Wrzeszcząc i tłukąc na oślep kolbami wyrzucali nas z pociągu. Pomagał im w tym spuszczone z kańczuga⁴ pies - czarna rozzarta bestia, kłusująca milczkiem i nienawistnie.

Po opróżnieniu wagonu ustawiono nas w dwuszerogu przed pociągiem. Naprzeciw, w odległości kilkunastu kroków, stanął *SS-man* z psem. Słowa oficera przekładał na polski żandarm Ślązak. Biły w nas jak kamienie: "Ten od automatu ma się zaraz przyznać. Inaczej, za pięć minut co piąty z całej bandy będzie rozstrzelany".

SS-man wyciągnął spokojnie rękę z zegarkiem i obwiodł nas powoli spojrzeniem.

Wierzcie, że było to najstraszniejsze pięć minut, jakie przeżyłem kiedykolwiek.

Do automatu nie przyznał się nikt.

Na krótkie warknięcie *SS-mana* dopadli nas żandarmi i uderzeniami luf zaczęli odliczać co piątego.

Starzec z siwą brodą, którego odliczono jako pierwszego, ze strachu osłabł. Inni przyjmowali wyrok w milczącym odrętwieniu. Jakiś młody, szczupły człowiek w binoklach zaczął głośno rozpaczliwie płakać. Wtedy właśnie wystąpił ten chłopiec.

Był to jeszcze zupełnie młody szpic⁵. Miał piętnaście, a może szesnaście lat, ale nie wyglądał nawet na tyle.

Dziś nie potrafiłbym już opisać dokładnie jego wyglądu. Pamiętam tylko, że w jego drobnej dziecinnej sylwetce było coś ujmującego - coś, co cechuje zazwyczaj chłopców bardzo nerwowych i bardzo nieśmiałych. A przecież zdobył się na śmiałość, kiedy my - dorośli, silni mężczyźni drżeliśmy ze strachu.

Ludzie tak byli zajęci procedurą⁶ odliczania, że początkowo nie wszyscy dostrzegli jego wystąpienia. Dopiero kiedy podszedł do oficera, zapadła zadyszana cisza. W tej ciszy chłopiec powiedział głośno i wyraźnie:

- Automat jest mój. Ja go wiozęm.

Żandarmi natychmiast skoczyli ku chłopcu i na chwilę zakryli go przed naszym wzrokiem. Dostrzegłem tylko, że *SS-man* pochylił się i odpiął kańczug od obroży psa. Nastąpiły dwa straszne ciosy. Chłopiec upadł, lecz zaraz szybko się podniósł. Chwiał się na nogach. Rękami zasłaniał twarz. Potem zabrali się do niego żandarmi.

O Boże, jak bardzo kochaliśmy wtedy tego chłopca! Jego postępek przywrócił nam utraconą odwagę. Byliśmy znowu mężczyznami. Jestem przekonany, że w owej chwili każdy bez wahania oddałby za niego życie.

Kiedy myśleliśmy, że nic już nie uchroni go od zguby - zelektryzował nas nagle przeraźliwy okrzyk.

- Herr Sturmfuhrer!⁷ Herr Sturmfuhrer!

Od końca pociągu biegła w naszą stronę grupa podnieconych ludzi. Trzech konduktorów wlokło za sobą opierającego się *Bahnschutza*.⁸ *Bahnschutz* był w rozpiętym mundurze, zupełnie pijany. Wirywał się, wierzgał i bełkotał coś nieprzypadnie.

W chwilę potem drżący i błądy jak śmierć starszy konduktor, salutując, składał po niemiecku meldunek oficerowi.

Nie mogliśmy zrozumieć słów, ale od razu domyśliliśmy się wszystkiego. To ten *Bahnschutz* - to pijane zwierzę - zostawił swój automat w ustępie polskiego wagonu. Schronił się tam zapewne w obawie przed partyzantami, a później - spiwszy się zupełnie - wrócił spać do niemieckiej części pociągu. Konduktorzy okazali się porządnymi, odważnymi ludźmi. Wiadomo zresztą, jak obsługa pociągów nienawidziła panoszących się *Bahnschutzów*.

Niemcy zupełnie zbaranieli. Dla nas to był ratunek, ale oni tę kaszę musieli jakoś zjeść. *SS-man* przez chwilę ważył w sobie decyzję. Potem - krzywiąc twarz w uśmiechu podszedł do chłopca, wyprężył się na baczność, zasalutował i wyciągnął do niego rękę. Ale rycerski gest zawisł w powietrzu. Chłopiec odwrócił się od hitlerowca i z twarzą zalaną krwią, macając przed sobą jak ślepiec, powłókł się w stronę pociągu.

Szczekliwy rozkaz zagnał nas z powrotem do wagonu. Tym razem nie trzeba było nam pomagać ani popędzać.

Dopiero kiedy pociąg ruszył spod fatalnego sygnału, zajęliśmy się chłopcem. Leżał na ławce z zamkniętymi oczami, a wyglądał tak, że strach było na niego patrzeć. Kiedy kobiety starły mu

krw z twarzy chustkami zmoczonymi w occie, dorwaliśmy się do niego my i poczęliśmy wołać jeden przez drugiego:

- Chłopcze, dlaczegoś to uczynił!? Po coś się przyznawał? Przecież nie miałeś z tym nic wspólnego!

Wtedy on spojrzał na nas i z trudem poruszając rozciętymi wargami, rzekł:

- Ja mogłem, bo nie należę do żadnej organizacji. Nikogo bym nie wyspał.

- I jakby zwalając z siebie wstyd, co gniótł go od dawna, dodał ciszej:

Nie jestem w organizacji, bo szkopy rozwalili mi dwóch braci. Musiałem przysiąc mamie, że nie będę się narażał.

¹ Powrót Taty - wiersz Mickiewicza pod tym tytułem, w którym występuje dwunastu zbójców.

² *SS-man* (niem. *Schutzstaffel*) - nazwa członków specjalnych oddziałów hitlerowskich, zajmujących się nadzorem politycznym i wywiadem.

³ *Sedes* - miska klozetowa.

⁴ Kańczug (z tureckiego) - bicz z grubego rzemienia służący też jako smycz.

⁵ Szpic - niedorostek, młodzik.

⁶ Procedura (z łac.) - tu: czynność.

⁷ Herr *Sturmfuhrer*! (niem. czyt. *szturmfirer*) - panie szturmowy (*Sturmfuhrer* niższy stopień oficerski w oddziałach *SS*).

⁸ *Bahnschutz* (niem. czyt. *banszuc*) - żołnierz niemieckich oddziałów ochrony kolei.

Żołnierze Warszawskiego Okręgu A.K.!

I. Po wypełnieniu naszego żołnierskiego zadania do końca, pokonani nie przez nieprzyjaciela, lecz przez niedostatek i głód — musimy przerwać walkę. Złożenie broni jest dla bitnego żołnierza najcięższą chwilą w życiu.

Pamiętajmy zawsze, że karność obowiązuje do końca. I ta właśnie karność będzie dla potomnych świadectwem, że Powstanie 1944 roku miało najdziel-

MŁODZI I NAJMŁODSI W POWSTANIU WARSZAWSKIM

Poniższe fragmenty Pamiętnika ukazały się w niewychodzących już "Wiadomościach" w 1974 r.

W ostatnim tygodniu przed powstaniem Warszawa przedstawiała dziwny widok. Dziewczeta i chłopcy z paczkami, paczuszkami szybko posuwali się w różnych kierunkach. Na twarzach wyraz zdecydowania, zaciętości, od czasu do czasu dziwny błysk oczu. Fryzjerzy damscy oblegani — obcinają dziewczętom włosy.

— I ty obciąsa?

— Tak.

— I ty?

— I ty?

Pogotowie...

Kościół pełne. Do konfesjonałów długie szeregi młodzieży, dzieci od lat czternastu. Spowiednicy proszą, by starsi ustępowali kolejke młodzieży. Wyraz skupienia i dziwnej powagi w tych dziecinnych nieraz twarzyczkach. Gotują się na śmierć... Z tarczą lub na tarczy... Między sobą nie rozmawiają — nie wolno, ale wszyscy wiedzą...

Wygląd zewnętrzny młodzieży też się zmienił. Buty wysokie u

chłopców, półbuty u dziewcząt, szerokie wygodne spódniczki, wiatrówki. Geste patroli niemieckie krążą po mieście. Coraz to wybucha gdzieś strzelanina. To Niemcy przy rewizjach ulicznych często natrafiają na broń. "Taki" nie da się wziąć

żywcem. Położy przynajmniej paru szwabów i ucieknie lub palnie sobie w łeb. Niemcy czują się niepewni. Front szybko zbliża się do Wisły, wielu cywilnych Niemców ucieka z Warszawy. Wokoło siebie widzą tylko nienawiść i wzrastającą wrogość.

Wszystkie krzywdy, krzywdy długich pięciu lat stają przed nami...

Kiedy wreszcie?

Ale nie ma czasu na rozmyślanie. Chłopcy wyciągają broń, smarują, szykują. Dziewczeta noszą i noszą... Broń, naboje, materiały sanitarne i tyle, tyle rzeczy. Wieczorem szykują opaski biało-amarantowe i ubranie "bojowe."

Wreszcie nadszedł pierwszy sierpnia. Godzina "W" wyznaczona na 5-tą!! Łapie ryksze i jadę do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na Plac Małachowski, skąd punkt



Trzynastoletni powstaniec

W chwilę potem drżący i blady jak śmierć starszy konduktor, salutując, składał po niemiecku meldunek oficerowi.

Nie mogliśmy zrozumieć słów, ale od razu domyśliliśmy się wszystkiego. To ten *Bahnschutz* - to pijane zwierzę - zostawił swój automat w ustępie polskiego wagonu. Schronił się tam zapewne w obawie przed partyzantami, a później - spiwszy się zupełnie - wrócił spać do niemieckiej części pociągu. Konduktorzy okazali się porządnymi, odważnymi ludźmi. Wiadomo zresztą, jak obsługa pociągów nienawidziła panoszących się *Bahnschutzów*.

Niemcy zupełnie zbaranieli. Dla nas to był ratunek, ale oni tę kaszę musieli jakoś zjeść. *SS-man* przez chwilę ważył w sobie decyzję. Potem - krzywiąc twarz w uśmiechu podszedł do chłopca, wyprężył się na baczność, zsalutował i wyciągnął do niego rękę. Ale rycerski gest zawisł w powietrzu. Chłopiec odwrócił się od hitlerowca i z twarzą zalaną krwią, macając przed sobą jak ślepiec, powłókł się w stronę pociągu.

Szczekliwy rozkaz zagnał nas z powrotem do wagonu. Tym razem nie trzeba było nam pomagać ani popędzać.

Dopiero kiedy pociąg ruszył spod fatalnego sygnału, zajęliśmy się chłopcem. Leżał na ławce z zamkniętymi oczami, a wyglądał tak, że strach było na niego patrzeć. Kiedy kobiety starły mu

krw z twarzy chustkami zmoczonymi w occie, dorwaliśmy się do niego my i poczęliśmy wołać jeden przez drugiego:

- Chłopcze, dlaczegoś to uczynił!? Po coś się przyznawał? Przecież nie miałeś z tym nic wspólnego!

Wtedy on spojrzał na nas i z trudem poruszając rozciętymi wargami, rzekł:

- Ja mogłem, bo nie należą do żadnej organizacji. Nikogo bym nie wysypał.

- I jakby zwalając z siebie wstyd, co gniótł go od dawna, dodał ciszej:

Nie jestem w organizacji, bo szkopy rozwalili mi dwóch braci. Musiałem przysiąc mamie, że nie będę się narażał.

1 Powrót Taty - wiersz Mickiewicza pod tym tytułem, w którym występuje dwunastu zbójców.

2 *SS-man* (niem. *Schutzstaffel*) - nazwa członków specjalnych oddziałów hitlerowskich, zajmujących się nadzorem politycznym i wywiadem.

3 *Sedes* - miska klozetowa.

4 *Kańczug* (z tureckiego) - bicz z grubego rzemienia służący też jako smycz.

5 *Szpic* - niedorostek, młodzik.

6 *Procedura* (z łac.) - tu: czynność.

7 *Herr Sturmfuhrer!* (niem. czyt. *szturmfiirer*) - panie szturmowy (*Sturmfuhrer* niższy stopień oficerski w oddziałach *SS*).

8 *Bahnschutz* (niem. czyt. *banszuc*) - żołnierz niemieckich oddziałów ochrony kolei.

Żołnierze Warszawskiego Okręgu A.K.!

I. Po wypełnieniu naszego żołnierskiego zadania do końca, pokonani nie przez nieprzyjaciela, lecz przez niedostatek i głód — musimy przerwać walkę. Złożenie broni jest dla bitnego żołnierza najcięższą chwilą w życiu.

Pamiętajmy zawsze, że karność obowiązuje do końca. I ta właśnie karność będzie dla potomnych świadectwem, że Powstanie 1944 roku miało najdziel-

MŁODZI I NAJMŁODSI W POWSTANIU WARSZAWSKIM

Poniższe fragmenty Pamiętnika ukazały się w niewychodzących już "Wiadomościach" w 1974 r.

W ostatnim tygodniu przed powstaniem Warszawa przedstawiała dziwny widok. Dziewczeta i chłopcy z paczkami, paczuszkami szybko posuwali się w różnych kierunkach. Na twarzach wyraz zdecydowania, zaciętości, od czasu do czasu dziwny błysk oczu. Fryzjerzy damscy oblegani — obcinają dziewczętom włosy.

— I ty obcielaś?

— Tak.

— I ty?

— I ty?

Pogotowie...

Kościół pełne. Do konfesjonałów długie szeregi młodzieży, dzieci od lat czternastu. Spowiednicy proszą, by starsi ustępowali kolejkę młodzieży. Wyraz skupienia i dziwnej powagi w tych dziecinnych nieraz twarzyczkach. Gotują się na śmierć... Z tarczą lub na tarczy... Między sobą nie rozmawiają — nie wolno, ale wszyscy wiedzą...

Wygląd zewnętrzny młodzieży też się zmienił. Buty wysokie u

chłopców, półbuty u dziewcząt, szerokie wygodne spódniczki, wiatrówki. Geste patroli niemieckie krążą po mieście. Coraz to wybucha gdzieś strzelanina. To Niemcy przy rewizjach ulicznych często natrafiają na broń. "Taki" nie da się wziąć

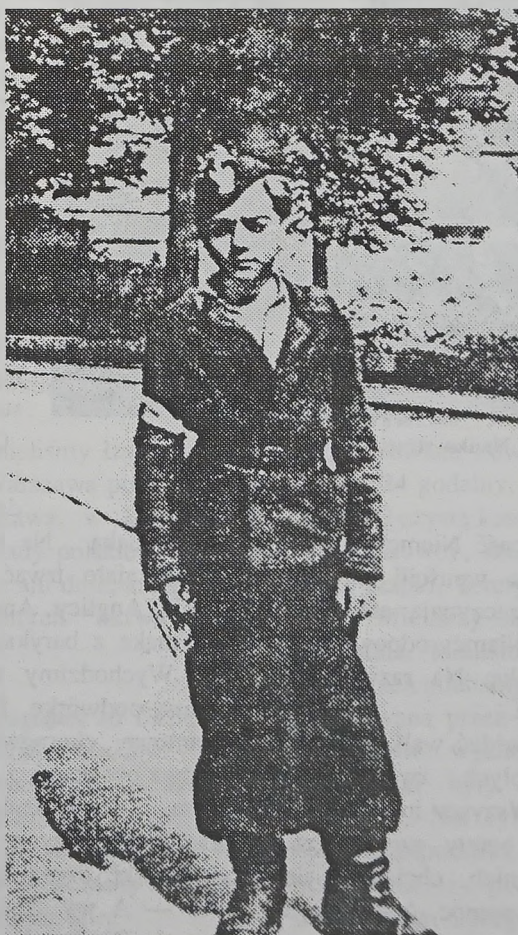
żywcem. Położy przynajmniej paru szwabów i ucieknie lub palnie sobie w łeb. Niemcy czują się niepewni. Front szybko zbliża się do Wisły, wielu cywilnych Niemców ucieka z Warszawy. Wokoło siebie widzą tylko nienawiść i wzrastającą wrogość.

Wszystkie krzywdy, krzywdy długich pięciu lat stają przed nami...

Kiedy wreszcie?

Ale nie ma czasu na rozmyślanie. Chłopcy wyciągają broń, smarują, szykują. Dziewczeta noszą i noszą... Broń, naboje, materiały sanitarne i tyle, tyle rzeczy. Wieczorem szykują opaski biało-amarantowe i ubranie "bojowe."

Wreszcie nadszedł pierwszy sierpnia. Godzina "W" wyznaczona na 5-tą!! Łapie ryksze i jęde do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na Plac Małachowskiego, skąd punkt



Trzynastoletni powstaniec

wyjściowy miały moje patrole: wszystko w porządku, jeszcze parę rad na drogę, poleceń i zaczynamy wypuszczać dziewczęta. Mają iść pojedynczo lub we dwie na Plac Dąbrowskiego 2/4 gdzie mają swoje m.p.; jedna Mazowiecką, druga Jasną, aby nie zwracać uwagi.

Pierwsze dwie wychodzą, dochodzą do wyjścia i salwa... salwa z karabinów. Tyraliera niemiecka naciera od Królewskiej na Mazowiecką, na Małachowskiego, na gmach. Tow. Kredytowego na jedyne wyjście na Pl. Małachowskiego. Na parterze jest Arbeitsamt — pełno tam urzędników niemieckich, którzy nie zdążyli wyjść do domów.



Nauka strzelania

Lada chwila mogą na górę wpaść Niemcy.

Niemcy z Arbeitsamtu wpuścili na dół oddziały S.S. Nasi chłopcy zaczynają atakować gmach sąsiedni od podwórka. Niemcy odpowiadają strzałami i związują ich walką. Na razie mają zwrócić uwagę na podwórze.

Z okien od podwórza widać walkę. Widać naszych chłopczków szczupłych, zwinnych z bronią krótką i karabinkami. Wszyscy mają opaski biało-amarantowe, niektórzy berety powstańcze. Serce kołacze, rwie się do nich, chciałoby się oknem skoczyć i lecieć im na pomoc. A tu ruszyć się nie można.

Koło 4-tej głosy naszych chłopców najpierw na podwórzu, potem na parterze. Zbiegamy na dół, w tej chwili dwa wybuchy, czarno, ciemno, kurz, dym... Niemcy ustawili artylerię na Pl. Małachowskiego i walą w nas. Pierwsze dwa pociski nad naszymi głowami. Zasłonił nas od pocisków występ kolumny.

— Spokój, spokój, nie uciekać, nie bać się — spokojny, donośny głos naszego oficera zwracającego się do swoich chłopców.

Pierwszemu chłopcu, który do nas podszedł omal że nie rzuciłyśmy się na szyję.

— Co druhny tu robią?

— Ano siedziałyśmy “w niewoli”, ale pokażcie nam drogę na punkt, lecimy.

— Przydział wasz?

— Komenda Okręgu, patrole sanitarne.

— No to zbierać manatki i jazda, tam sanitariuszki potrzebne.

Zbieramy rzeczy. Wtem buch, buch — coś wali w nasz dom. To “Tygrys” — dźwięk ostry, płytki w murach, bardzo przykry. Dom się trzęsie.

— To nic, druhny, to tylko “Tygrys” — uspokaja porucznik — Ściany mocne, nic nam nie będzie i prędko go stąd wykurzymy.

Chłopcy rzucają się do okien i robią barykady z czego się da, idą książki, meble, nawet

worki z mąką.. Na nic nie zważano. Powstanie przecież miało trwać trzy dni — mieli przyjąć Rosjanie, Anglicy, Amerykanie... Potem wyciągało się tę mąkę z barykad...

Wychodzimy przez dziurę w murze na sąsiednie podwórko. Boże! Tu już Polska! Biało-amarantowe chorągwie z każdego okna, nasi chłopcy z opaskami, z orzełkami, nasze dziewczęta: Rakietka, — Urszula — Joanna. Wszystkie zapracowane. Czynne już kuchnie, szwalnia — szyją opaski, organizuje się pralnia.

— A wy skąd, druhny?

— Z niewoli.

Z takiej niewoli kilkanaście patroli nie wróciło. Tak samo zaskoczone jak my, dostały się w ręce Niemców i od razu zostały rozstrzelane.

Sanitariuszki zapracowane. Rannych dużo, o odsyłaniu do szpitala nie ma mowy — wszystkie szpitale są poza naszym zasięgiem. Trzeba operacje robić w warunkach prowizorycznych... Spotyka mnie dr Joanna — dentystka. Chirug z jej punktu nie dotarł.

— Wie pani, robiłam wczoraj sama amputacje ręki, nie było rady.

— Narkoza? — Nie, na żywo, tu mamy przecież tylko chlorek etylu. Chłopak nawet nie jęknął.

Tacy oni już byli, nie jęczeli, nie stękali, nie wymagali niczego, lecz gdy im się trochę rany podgoiły, uciekali ze szpitali by dalej "pruć Niemca."

Gdy zdobywano "Pastę" na Zielnej (P.A.S.T.), z okolicznych punktów sanitarnych wszyscy lżej ranni uciekali do walki.

3.8.44

Radio Londyn podało wiadomość o wybuchu powstania w Warszawie. Godzina 6 wieczór sygnał Londynu: "Tu mówi polskie radio Warszawa — Lwów — Wilno — Katowice na falach Londynu: w Warszawie wybuchło powstanie" — hymn, — nic więcej.

Słuchając wszyscy mieliśmy łzy w oczach. Tak, Warszawa powstała: Warszawa poniewierana, gnebiona łapankami, Warszawa, w której wróg starał się zatrzeć wszelkie ślady polskie przez pięć lat, gdzie nikt nie był pewien ani dnia, ani godziny. Warszawa krwią niewinnych skrwawiona... Warszawa powstała!

*Jak maskę zdjąłś uśmiech. Spoglądał na Ciebie
Płochy syreni grodzie, wróg nagle zdumiony...
Tak walczyłaś Warszawo! Powinnaś mieć w herbie
Krew rozlaną jak rzeka — i płomień czerwony.
Twoje dzieci najmłodsze — z dziecinnym uporem —
Szły w bój — szły w bój z uśmiechem i marły z honorem!
Marły z wiarą, że kiedyś wyjdą na ulicę
Przyczajone, tętniące jak serce człowieka*

*Gdy się łoskot granatów wśród murów rozkrzyczy
Chrystus stanie w szeregach nie z krzyżem lecz z mieczem!*

(Marta Reszczyńska)

A nasze oddziały, oddziały idące w bój, chłopcy i dziewczęta... Dzieci wychowane w niewoli, dzieci jeszcze, już rozważne, uważne, wiedzące że za każde nieopatrne słowo zginąć mogą oni, zginąć mogą koledzy. O nieograniczonej zdolności do poświęceń. Marły z uśmiechem, wierząc że to przyniesie Polsce wolność. Marły stale, nie tylko w czasie powstania.

Marły w więzieniach, w obozach, na ulicach Warszawy. Lecz w czasie powstania marły z bronią w rękę — marły z honorem. Dlatego może marły tak radośnie...

Ten, kto nie przeżył lat pod okupacją niemiecką nie może zrozumieć, jak wielka jest radość nasza: jesteśmy wolni. Jesteśmy nareszcie wolni, mamy swoje ujawnione wojsko, swoje pisma. Na ulicach powiewają białe-czerwone chorągwie, możemy swobodnie mówić, swobodnie śpiewać. To nic że wali nam się na głowy, że możemy lada chwila zginąć, ale możemy zginąć wolni, wolni i u siebie.

Już od pierwszej chwili w czworoboku między Kredytową, Świętokrzyską, Mazowiecką i Pl. Dąbrowskiego mieliśmy zorganizowane wszystko: szpitalik, kuchnię, szwalnię, pralnię, wytwórnię amunicji. Potem rozrastało się to w miarę opanowywania większych obszarów. Mieliśmy zorganizowane również apteki, fryzjernie, łaźnie czynną 24 godziny, gdzie każdy żołnierz po kąpieli dostawał czystą koszulę. Zgłosiły się do współpracy cechy, krawcy, szewcy. Szyto bieliznę, mundury, buty, czapki, berety.

Mieliśmy też filmy robione w czasie powstania. Mieliśmy kino i orkiestre. Po dwóch tygodniach mieliśmy świetnie zorganizowaną pocztę obsługiwaną przez harcerzy. Mieliśmy kilkanaście dzienników wychodzących podczas powstania. Kolporterki były wszędzie oczekiwane, pisma rozrywane. Nie było takiego miejsca, gdzieby nie dotarła kolporterka. Zmęczona, po gruzach, przez podziemia i piwnice, docierała wszędzie. Oczekiwana, upragniona. Taki był sierpień.

Nie było innego sposobu przenoszenia

wszelkich rzeczy jak plecy ludzkie. Barykady, wąskie przejścia piwniczne uniemożliwiały inny rodzaj transportu. Cała Warszawa była połączona piwnicami. Poprzebijane przejścia z domu do domu — można było przejść w ten sposób ogromne przestrzenie. Piwnice były przeważnie oświetlone, na skrzyżowaniach stali harcerze informując o kierunku.

— Kolega dokąd?

— Na Zielną.

— To tu. A Kolega?

— Na Złotą.

— To tamtędy, i.t.d. i.t.d. Na Śliską. Chmielną lub Czackiego.

10.8.44

Tego dnia wieczorem zostaje na punkcie sanitarnym, Jasna 10, na noc. Poprzednią noc spędzałam w podziemiach PKO.

Cudowne wrażenia powstańcze — godzina 6-8 wieczór, modlitwy wieczorne oddziałów; z sąsiednich podwórek dochodzą słowa modlitwy i pieśni: "Kto się w opiekę...", "Boże coś Polskę..."

Potem odprawy oddziałów, słysząc słowa komend. Jedne oddziały utrudzone po walkach dnia idą na spoczynek, inne szykują się do walki w nocy. Oddział zuchów-harceryzy w szyku maszeruje ze śpiewem i trąbką — udają się na swój harcerski kominek.

Jest to również godzina wieczery, której odgłosy do nas dochodzą — radosne lub niecierpliwe wołanie o zupe.

Godzina dziewiąta — oddziały odmaszerowują na pozycję, do walk nocnych. Widzę ich spokojne, zdecydowane twarze, napięte jak do skoku: idą oddziałkami po dwudziestu ludzi w szyku — na czele dowódca. Mrok zapada. Do odgłosów walki dołączają się efekty świetlne. Jaskrawo widać łuny pożarów. Wybuchy, światła: rozrywające się pociski. Jest widno od pożarów. Hałas się wzmaga, karabiny maszynowe, granaty, zenitówki, gdzieś za Żelazną — działo kolejowe.

Mijają godziny, nie śpie. Siedzimy w oknie z pielęgniarkami i nasłuchujemy. Jaka dziś będzie noc? Ilu przyniosą?

Raptem z oddali słysząc warkot motoru.

Motoru? Czy to nasi? Tak, nasi z Anglii, na pewno nasi, motory się zbliżają. Lecą. Zrzuty! Boże, Boże! Broń, broń, amunicja, tak strasznie potrzebne! Nasłuchujemy z bijącym sercem. Warkot motoru coraz bliższy, bliższy, już, już, nadlatują... Są. Łoskot szalony, samoloty zniżają się nad same dachy. Obrona niemiecka przeciwlotnicza gra na całego, artyleria i serie karabinów maszynowych. Chwile szalonego łoskotu, tysiące świateł. Przelecieli... Co spadło? Gdzie i czy w nasze ręce? Czy oni nie mieli strat? Szalona radość że przylecieli — radość nie dająca się opisać i niepokój co z nimi, czy wrócą do swoich baz. Odgłosy walki milkną trochę — noc jest dosyć spokojna.

Od sanitariuszek dowiaduję się że w jednym ze szpitali leży Maja M., która przed 8 dniami wyszła od nas z Zośką P. w charakterze łączniczki. Dowiaduję się o ich losach. Wyszędłszy z PKO dotarły do Mokotowa z rozkazami. Wtedy część miasta od Pl. Zbawiciela do Rakowieckiej była w rękach niemieckich. Kazano im wracać z rozkazami z Mokotowa. Wracały przez Pole Mokotowskie. Ostrzelane ze szpitala mokotowskiego — obie zostały ranne. Zaczęły czołgać się z powrotem w kierunku Rakowieckiej. Natknęły się na dwóch niemieckich żołnierzy, którzy widząc ranne dziewczyny zaproponowali im pomoc i założenie opatrunku.

Zaprowadzili je do okopu i tu dobili. Zośka zginęła na miejscu. Maja została ranna w głowę. Żołnierze sądząc że "spełnili swój obowiązek" odeszli. Maja sądziła, że koniec jej bliski, zrobiła rachunek sumienia i czekała na śmierć. Lecz śmierć nie nadchodziła. Postanowiła się ratować. Ułożyła Zośkę, włożyła jej w ręce obrazek święty, położyła kartkę z jej imieniem i nazwiskiem na piersiach i zaczęła czołgać się w kierunku naszych placówek. Czołgała się dziesięć godzin i doczołgała się na Polną. Tam w ręce pierwszego żołnierza A K, którego spotkała złożyła meldunek i zemdlą. Została odznaczona Krzyżem Walecznych.

Ksieża od pierwszej chwili powstania są w szeregach między nami. Dwoją się i troją. Towarzyszą oddziałom, są w szpitalach, na punktach sanitarnych. Są tam, gdzie mogą być umierający — to znaczy wszędzie. Odprawiają msze św. o każdej porze dnia, udzielają absencji i rozdają Komunię św., do której przystępuje cała młodzież, całe A K,

całe społeczeństwo. Każdej chwili każdy może zginąć.

20.8.44

Wychodzę rano z PKO i widzę wielkie podniecenie wokół: chłopcy obiecują że dziś zdobędą PASTĘ, wykurzą Niemców. Ruch. szykowanie, cały dzień pytania:

— Jak tam przy PAŚCIE?

— Coraz lepiej, dziś będzie nasza — Na Jasnej spotykam kilku kulejących rannych chłopców. Pytam dokąd idą.

— Koleżanko, dziś zdobywają PASTĘ, musimy tam być, musimy tam pomóc!

— Skąd idziecie?

— Z punktu na Jasnej, uciekliśmy, pielęgniarki zamknęły nas, aleśmy i tak uciekli — przecież musimy pomóc!

I co z takimi robić? Nie ma siły, by ich utrzymać.

Koło 4-ej krzyki, hałasy, okrzyki "hurra, hurra"! Twarze rozradowane, roześmiane.

— Zdobyliśmy PASTĘ!

Dziś radio podało, że zdobywany jest Paryż. Tam gdzieś na Zachodzie wielkie armie w wielkich zmaganiach odniosły swoje "wielkie zwycięstwo". Gdy odezwałam się do jednego z maszerujących oddziałów:

— Wiecie, chłopcy, Paryż został zdobyty! — usłyszałam:

— Ale u nas, koleżanko, została zdobyta PASTA!

22.8.44

Coraz gorsze wiadomości ze Starówki. Rynek, katedra podobno całkowicie zniszczone. Komunikację mamy kanałami. Posyłamy im ciągle broń, amunicję i środki lekarskie. Codziennie wieczorem szykujemy paczki.

23.8.44

Pierwsza partia ewakuowana ze Starówki. Lekko ranni. Wychodzą całkowicie wyczerpani, brudni, cuchnący. Organizujemy punkt odbiorczo-sanitarny przy ul. Wareckiej, przy "wyłazie." Rannych opatruje się, myje, zmienia się ubranie, poi



gorącą kawą.

Ze Starówki ciągną chmury. Wyłażą cały dzień i całą noc. Na trzy zmiany odbieramy ich. Myjemy, poimy, opatrujemy, Myjemy, poimy...

24.8.44

Wody zabrakło. Filtry zostały uszkodzone. Dziś rannych przybyszów nie możemy już myć, rozchodzą się od nas brudni. Dostają czyste ubrania. Ale już też nie wszyscy. Ubrań zaczyna brakować.

Wracam po południu do PKO. Mówią mi, że ktoś na mnie czeka, że mam gościa. Patrzę — postać w niemieckiej "panterce" w hełmie. Przyglądam się — Jurek Buszewski przyszedł ze Starówki. Bratanek mój. Nic nie wiedziałam co się z nim dzieje od początku postania. Rzucamy się sobie w objęcia. Jest lekko ranny w rękę, mizerny,

bardzo zmęczony, ale bardzo dzielny, widać, że już wiele przeszedł. Wysoki chłopak, wydaje się wyższy jeszcze i szczuplejszy. Na szyi ma chustkę związaną w sposób harcerski, hełm angielski — rzutowy — z którego jest bardzo dumny. Chustki na szyi nosiliśmy wszyscy. Chroniły nas od kurzu.

Jurek odznaczony jest Krzyżem Walecznych. Na Starówce ocalał sam jeden ze swego oddziału, wszyscy koledzy zginęli. Byli to jego koledzy jeszcze z ławy szkolnej, koledzy z konspiracji, z którymi walczył w Kedywie. Pomimo radości z naszego spotkania przeziara z niego smutek.

— Wiesz, Ciociu, zginął Janek, Stasiek, Romek. Ostatnia bomba w kwaterę położyła wszystkich... I nasze dziewczęta zginęły... Nie było już nawet po co odkopywać — runęły na nich cztery piętra. Ja byłem wtedy na posterunku i ocalałem.

Opowiada mi swoje pierwsze przeżycia na Woli. Jak walczyli z Tygrysem. Rzucali węń granatami. Jeden granat trafił w łufę, lufa się skrzywiła.

— To wtedy oni już nasi, nie mogli się bronić. Ale trzeba go “dobić”. Zbieramy więc kamienie i zaczynamy bombardować go kamieniami. Niemcy myślą, że to karabiny maszynowe, wyskakują z rękami do góry. My w śmiech i zabieramy ich do niewoli.

Jurek zginął na Sadybie.

Patrol Niki Wyleżyńskiej zginął gdzieś w okolicy Długiej. Dziewczynki zostały przysypane już po jednym z ostatnim wybuchów. Przysypane w ten sposób, że chociaż żyły nie mogły się spod gruzów wydostać o własnych siłach. Wojsko już odeszło. Ludność była otoczona przez Niemców i szycowała się do ewakuacji. Jedna z sanitariuszek, najmniejsza, wydostała się spod gruzów, ale pomocy nikąd sprowadzić nie mogła. I dziewczynki po kolei umierały. Mała siedziała przy nich, podawała im wodę, podawała zastrzyki. Odeszła dopiero, gdy zmarła ostatnia.

28.8. 44

Dowiadujemy się o oficjalnym uznaniu nas przez aliantów za kombatantów! Wielka radość. Może nareszcie Niemcy przestaną mordować naszych rannych i jeńców.

1.9. 44

Po upadku Starówki nasze dzielnica jest coraz bardziej bombardowana.

W hallu PKO uroczyste nabożeństwo w rocznicę wybuchu wojny. Stoimy wszyscy w szeregu. Podniesienie. Kłękamy i w tej chwili huk, dym, wszystko się trzęsie, szkło się sypie — zamieramy w bezruchu. Zamarł też na chwilę w zupełnym bezruchu ksiądz z podniesionym kielichem. Szepty: spokój, spokój... nic się nikomu nie stało, “Krowa” uderzyła w szczytową ścianę PKO.

2.9. 44

Przychodzą ostatnie oddziały. Starówka padła.

Wyprowadzano ze Starówki wszystkie oddziały i wszystkich lżej rannych. Ciężko ranni zginęli. Zostali na Starówce i Niemcy ich zamordowali.

4.9. 44

U nas coraz goręcej i goręcej. Dom “chodzi” od wybuchów. Karbidówki co chwila gasną od wstrząsów. Światła elektrycznego już nie ma. Wczoraj została rozbita bombami lotniczymi elektrownia.

Godzina druga. Alarm.

Pali się pierwsze piętro. Do wody! Wszyscy rzucamy pracę, szybko robimy łańcuch. Zapas wody mamy w piwnicy. Szybko podajemy sobie z rąk do rąk kubelki z wodą. Ja stoję na parterze. Pracujemy gorączkowo, jest gorąco od sąsiednich płonących domów. Wtem wybuch na pierwszym piętrze. Ciemno, dym...

Przerażona myślę ile znów ofiar. Ludzie zbiegają z góry, krztusząc się od dymu. Po chwili schodzi z góry czarny jak kominarz jeden z członków naszej ochrony.

— Wszystko w porządku, ten drugi pocisk podmuchem ugasił pożar. Nic się nikomu nie stało.

— Chwała Bogu!

Roboty jak zawsze bardzo dużo, ale pracujemy już mniej wydajnie. Głód i zmęczenie robią swoje.

Zabieramy się do robienia bandaży. Zaczyna brakować środków opatrunkowych, a wobec braku wody i pranie jest utrudnione. Potrzebujemy mniej więcej 2 000 bandaży dziennie. I każdy kto ma

wolną chwilę - zwija.

Bandaże są w kropki, ciapki i kratki, kolorowe. Mieliśmy przed bombardowaniem fabrykę bandaży, maszyny do zwijania — wszystko się spaliło.

Zastanawiamy się jak długo można w gruzach się trzymać i dochodzimy do wniosku, że jednak do wszystkiego można się przyzwyczaić i dostosować, byleby była żywność i amunicja. Jest coraz gorzej, ale musi być tak jak jest.

— Wiesz Hanko, trzeba było zdobyć sobie futerko w sierpniu, tyle tego było przed spalaniem Warszawy Północnej.

— Po co nam futerka?

— No przecież będziemy bronić Warszawy pewnie jeszcze w listopadzie i w grudniu, będzie zimno.

— Et, pleciesz, a zresztą może urządzimy sobie tu w ruinach gwiazdkę? Ale jak zdobędziemy choinki?

— Gdyby nam tak zrzucali żywność i amunicję, możemy siedzieć, czemu nie?

Takie rozmowy toczą się między dziewczętami w chwilach odpoczynku. Nie tracimy pogodnego nastroju, w najgorszych chwilach żartujemy. Boli nas tylko strata bliskich, ale nie wolno pozwolić sobie na długi żal.

Żywności coraz mniej. Jest dużo cukru, miodu, itd. ale nie ma już rzeczy podstawowych: mąki, kaszy. Konie dawno zjedliśmy. Jest jeszcze trochę psów i kotów, ale nie mamy na nie apetytów. Ostatnio zdobyto na Ceglanej składy z pszenicą i z jęczmieniem.

Wobec tego nosimy tę pszenicę z Ceglanej... na plecach, biorąc pod uwagę przejścia piwnicami, nie można wziąć więcej jak 25 kg. Ciągną sznury kobiet i mężczyzn z workami. Wojsko daje 25 + zboża za noszenie. Zgłasza się wiele ochotników. Ale wszystko mało.

Chodzą po pszenicę sanitariuszki, aby zabezpieczyć chorych przed głodem. Więc oprócz noszenia wody dochodzi jeszcze noszenie zboża.

Pszenica w jedzeniu jest wcale niezła. Znajdujemy sporo młynków domowych i kręcimy mąkę. Teraz wszędzie w piwnicach słychać kręcenie młynków, jeden wielki młyn. Kręci się na kaszę, na mąkę. Jemy przeważnie papkę z mąki z cukrem. Tłuszczów już nie mamy od dawna.

Pszenica się jednak kończy. Zostaje jęczmień. Z jęczmieniem gorzej, bo nie można oddzielić łuski. Przepłukujemy kaszę na młynku przesuwamy, ale nic nie pomaga — łuski są. Robi się z tego krupnik, tak zwana "plujka" — trzeba łuski wypluwać.

28.9.44

Słyszymy, że prowadzone są rozmowy o kapitulację.

Poddać się? Nie, raczej zginąć.

2.10.44

Kapitulacja podpisana.

Wojsko ma wyjść czwartego i piątego z Warszawy.

Zbieramy ubranie, żywność, menażki, łyżki itd., choć to chcemy zrobić, by wyszli zaopatrzeni.

Dziewcząt dużo chce iść do niewoli. Wiele z nich ma mężów, narzeczonych, braci w A K.

Odbywa się bardzo wiele ślubów. Idę razem z X. pożegnać odchodzące nasze oddziały przed Politechniką. Obie zostajemy.

O sto m. za nami już Niemcy. Ukazują się nasze oddziały w ulicy Śniadeckich. Na czele oddział warty honorowej — niosą sztandar.

Potem generał Bór, sam na czele. Ubrany po cywilnemu.

Potem generałowie, sztab, kobiety pracujące w sztabach, oddziały. Na końcu kroczy nasz dziekan polowy.

Idą skupieni w szeregiach.

Niemcy salutują.

*Wiem, że jak Feniks znów się odrodzisz Warszawo,
Że ruiny i zgliszcza zaleczysz jak rany...*

*Wierzę, że znów się dźwigniesz. W Twoje karty krwawe
Nowe, wielkie Szaleństwo zostało wpisane.*

*Hasło, co brzmi: zwyciężysz lub na tarczy wrócisz
Po Krzyż drewniany — najwyższe Virtuti.*

(Marta Reszczyńska)

Po powstaniu w szpitalu w Pruszkowie spotkałam sanitariuszkę Ewę z amputowaną nogą.

— Pani Halino, nic a nic nogi nie żałuję. Cieszę się, że zostałam ranna w ostatnim tygodniu powstania i że mogłam być w nim przez cały czas.

Aleksander Kamiński

Fragmenty z książki

Zośka i Parasol

Zamach na Kutschere

1 lutego 1944 roku.

Jest ciepły, słoneczny, niemal wiosenny ranek. Na ulicach ani śladu śniegu. Lekki wiatr porusza nieznacznie gałęzie drzew parku Ujazdowskiego. Promienie słońca odbijają się w oknach pałacyku stojącego frontem do Alei Ujazdowskich i jednym skrzydłem opartego o ulicę Piusa XI. Pałacyk ten - Aleje Ujazdowskie nr 23 - to miejsce urzędowania generała Kutschery. Mieszka Kutschera, jak podały informacje wywiadu, w alei Róż i stamtąd codziennie, z wzorową niemiecką punktualnością, między dziewiątą a dziewiątą piętnaście rano przyjeżdża wielką limuzyną. Towarzyszy mu zwykle adiutant.

Ta część miasta jest "dzielnicą niemiecką" - dzielnicą niemieckich mieszkań i urzędów. Wysiedlono stąd przed trzema laty wszystkich Polaków. Przed co drugim, co trzecim domem - budka wartownika. W ulicy Piusa, przy wylocie Wiejskiej, siedziba żandarmerii; pareset metrów na południe Alejami - potężny gmach policji kryminalnej i aleja Szucha. Wśród przechodniów sporo agentów hitlerowskich po cywilnemu.

Agenci ci nie zwracają uwagi na wytworny samochód, który zatrzymał się tuż przed godziną dziewiątą na rogu Piusa i Alei, naprzeciw pałacowego urzędu Kutschery. Samochód jest tak elegancki, a siedzący przy kierownicy ze znudzoną miną młody człowiek jest tak nobliwy, że wydają się czymś najzupełniej naturalnym w tej dzielnicy.

Przy przystanku tramwajowym w Alejach, po tej samej stronie, z której stoi pałacyk Kutschery, i w bezpośrednim pobliżu tego pałacyku oczekuje na tramwaj pięciu młodych ludzi. Nie znają się. Stoją od siebie dość daleko. Jeden czyta gazetę, dwóch innych o czymś rozmawia - ale jest ich aż pięciu! Przyszli na parę minut przed dziewiątą i całą

nadzieję pokładają w punktualności Kutschery, gdyż tak liczna grupka nie może stać długo bez zwrócenia uwagi.

A naprzeciwno, po drugiej stronie Alei, przy budce z papierosami - Bronek Lot. Bronek wpatrzony jest uważnie w lewo, w kierunku ulicy Chopina, gdzie widać stojącą wywiadowczynię - młodziutką dziewczynę z długimi warkoczami - Dewajtis. Tym razem dziewczyna jest ucharakteryzowana na uczennicę niemiecką: białe, długie skarpetki, gołe kolana, głowa bez nakrycia, warkocze w koszyczek. Dewajtis jest dokładnie poinstruowana przez szefa wywiadu, Rayskiego, i parokrotnie już obserwowała samochód Kutschery i samego generała; ma, wraz z wywiadowczynią Kamą, patrolującą u wylotu alei Róż, sygnalizować Bronkowi pojawienie się auta Kutschery przez przejście na drugą stronę jezdni. Wówczas Bronek ma zdjąć kapelusz z głowy i to jest rozkaz dla Misia-szofera i pięciuosobowej grupy na rozpoczęcie akcji.

Dziewiąta pięć ... dziewiąta siedem ... Od strony placu Trzech Krzyży zbliża się grupa czterdziestu SS-mannów - przeszli ... Dziewiąta jedenaście ... Nareszcie!

"Uczennica" w białych skarpetkach przechodzi koło wylotu ulicy Chopina przez jezdnię. Wielka, błyszcząca w słońcu, ciemnostalowa limuzyna Opel-Admiral szybko i bezgłośnie pędzi Alejami. Bronek Lot zdejmując kapelusz - w tej samej chwili elegancki Miś, siedzący przy kierownicy auta, włącza gaz i wóz jego powoli wysuwa się z ulicy Piusa XI.

Wszystko to, co się teraz dzieje, trwa zaledwie kilkadziesiąt sekund.

Wóz Misia, prowadzony z niezwykłą przytomnością umysłu, zatacza łuk w kierunku nadjeżdżającej limuzyny akurat w tym momencie, gdy limuzyna, hamując, skręca ku pałacykowi. Maski dwóch wozów zbliżają się ku sobie. Wóz Kutschery staje, by przepuścić intruza. Intruz też hamuje, jakby starając się zrobić miejsce dla przejazdu generała. Hamuje jednak tak "niezręcznie", że zatrzymuje się w poprzek drogi limuzyny. Równocześnie z dwóch różnych stron do limuzyny zbliżają się dwaj młodzi ludzie - Bronek i Kruszyńska. Mają już płaszcze rozpięte ... Pistolety ... Podchodzą.



Harcistrz Tadeusz Zawadzki "Zośka" — jeden z przywódców Szarych Szeregów

Adiutant Kutschery, prowadzący limuzynę, zorientował się. Chwyta za broń. Kutschera - wysoki, szczupły, ubrany w skórzany płaszcz - niespokojnie wciska się w głąb wozu.

Bronek pierwszy nacisnął spust pistoletu. Bije w otwarte okno samochodu, chwyta za rączkę drzwiczek. Adiutant mierzy w brzuch Bronka i naciska spust pistoletu. Suchy trzask! Rozżarzony ołów szarpie wnętrzości. Bronek jednak, mocując się ze swym przeciwnikiem o drzwiczki samochodu, strzela dalej, kierując pistolet ku piersiom i głowie Kutschery.

Kruszynka z drugiej strony daje ognia do adiutanta, który zdołał wyskoczyć z wozu. Oficer pada. Wówczas Kruszyńska otwiera drzwiczki auta i strzela, wypuszczając serię około dwudziestu pocisków. Kutschera, wciśnięty w przerażeniu w kąt wozu, zakrywa twarz rękoma.

Na ulicy po paru minutach zamarłej ciszy - piekło strzałów. Strzelają "wachy" wszystkich

sąsiednich urzędów. Strzelają z okien cywilni i wojskowi. Częste i nerwowe serie strzałów broni maszynowej dochodzą od strony placu Trzech Krzyży, z ulicy Piusa od Wiejskiej i z dalekiej perspektywy Alei Ujazdowskich.

Czterooosobowe ubezpieczenie rozsypało się po ulicy i ustrzeliwszy wartownika przy pałacyku Kutschery bije teraz we wszystkich nadbiegających umundurowanych oraz ostrzeliwuje otwierające się okna.

Gdy krwawiący i slaniający się Bronek, podtrzymywany przez Alego, który podbiegł doń z pomocą, zmierza powoli do naszych aut ewakuacyjnych w ulicy Chopina, Kruszyńska wykonuje dalej swoje zadanie. Jest wielkim, silnym mężczyzną - więc kilkoma mocnymi szarpnięciami wyciąga z wozu ciało Kutschery. Rewiduje kieszenie, szukając dokumentów. Podbiegł doń z pomocą Miś-szofer, który wyskoczył z auta. Obydwaj obszukują zabitego.

Z Wiejskiej ku Alejom wyłania się grupa zielonych mundurów żandarmerii. Juno zza drzewa bije bez przerwy w tym kierunku. Szofer-Miś rzuca filipinkę. Wybuch! Cofnęli się. Skryli.

Strzały gęstnieją. Diabelne okna z nieoczekiwaniem wychylającymi się rękoma zbrojnymi w pistolety! Cichy dostaje w brzuch od strony placu Trzech Krzyży. Olbrzymek chwyta się rękoma za piersi. Mdleje.

Nie wolno ani sekundy przedłużać groźnej sytuacji! Miś jest ranny w głowę. Krew zalewa mu twarz. Zrywa się i biegnie jak błędny do aut. Na szczęście dokumenty Kutschery już są! Odskok.

Dobiegają do wlokącego się z trudem w kierunku samochodów Cichego. Chwytają go pod ręce. Ktoś pomaga mdlejącemu Olbrzymkowi. Gęsty ogień ze wszystkich stron - na szczęście niecelny. Juno ani na chwilę nie przestaje trzymać w szachu wyłaniających się z dala mundurów. Miś ściera krew zalewającą oczy, aby dojrzeć auta ewakuacyjne. Są!

Dwa auta na ulicy Chopina, zwrócone ku Mokotowskiej, już od minuty są gotowe. Nagle wybiega z sąsiedniego kasyna grupa SS-mannów i staje na rogu niezdecydowana z pistoletami w dłoniach. Nie wolno ich tu tolerować - lada chwila zaczną przybywać ludzie z akcji. Jeden z szoferów, Sokół, ostrożnie wyjmuje filipinkę. Wychodzi

niepiesznie z auta i - zbliżywszy się nieco do SS-mannów, silnym zamachem rzuca im pod nogi granat. Potężna eksplozja! W dymie i kurzu rozlegają się głosy przerażenia i jęki. W tej samej niemal chwili wyłania się spoza rogu Bronek, podtrzymywany przez Alego. Po paru sekundach - następni.

Ranni - do jednego wozu! Słabszych układają koledzy na dnie auta Sokoła, któryś wczołguje się sam. Juno osłania ewakuację i stojąc za samochodem strzela do żandarmów, ulokowanych koło alei Róż.

Gotowe! Wszyscy ranni załadowani! Kruszyńska i Ali wskakują do drugiego wozu. Juno, gdy auta już ruszyły, dobiega do wozu z rannymi. Jeszcze teraz ostrzeliwuje się. Po paruset metrach oba wozy oddalają się od siebie i pędzą różnymi drogami.

Auto z Kruszyńską i Alim, prowadzone przez Bruna, wyszło cało i bezpiecznie. Natomiast auto z rannymi ...

Tylko szofer i Juno są w tym aucie przytomni. Na najbliższym zakręcie mignęła im twarz Pługa, który niespokojny podszedł na skraj chodnika i niemal przechyła się nad pędzącym wozem, aby zobaczyć, co się w nim dzieje. Rozbita karoseria, powybijane szyby. Sokół prowadzi auto na pełnym gazie. Jak najprędzej dowieźć rannych do szpitala. Trzej - niebezpiecznie ranni w brzuch i w pierś, czwarty ma całą twarz zalaną krwią. Nie wiadomo, co mu właściwie jest. Na szczęście już Senatorska i Szpital Maltański, w którym ranni mają być - stosownie do umowy - umieszczeni.

Niestety, szpital przyjmuje tylko dwóch: rannego w piersi Olbrzymka i rannego w głowę Misia. Dwaj ranni w brzuch nie mogą być przyjęci. - Dlaczego nie mogą? - denerwuje się Juno. Nie ma warunków do tak poważnej operacji, która musi być w obu wypadkach przeprowadzona niezwłocznie. Doktor Maks, lekarz kompanii wydzielonej, wsiada do samochodu z rannymi i dysponuje jazdą do szpitala Ujazdowskiego, gdzie odpowiedni ludzie są uprzedzeni i przygotowani do przyjęcia ran brzucha. Ranni jednak, słysząc nazwę szpitala, rozpaczliwie przeczą głowami: nie tam, tylko nie tam. W pobliżu była przecież przed pół godziną ich akcja, pełno żandarmów... Doktor Maks decyduje się więc pośpiesznie na szpital Przemienienia Pańskiego na

Pradze, w którym praktykuje. Szpital nie jest uprzedzony, nigdy tam nie dawano rannych z dywersji - ale nie ma wyboru.

Wóz pędzi w kierunku mostu Kierbedzia. Na ulicach jakiś gorączkowy niepokój. Widocznie wieść o zgładzeniu Kutschery już się rozeszła. Doktor Maks pod osłoną marynarki przeprowadza wstępny opatrunek Cichego.

Most. Ulica Zygmuntowska. Wielki gmach szpitala.

Niemal siłą ulokował tu doktor Maks rannych. Wbrew protestom kierownictwa szpitala wniesiono ich do sali. - Będę zmuszony zawiadomić policję, że tu są ranni. Taki mnie obowiązuje nakaz - wykrzykuje jakiś mężczyzna w białym kitlu. - Nie mogę przez pana narażać szpitala i siebie. Muszę zatelefonować. Muszę. Rozumie pan?

Doktor Maks stara się opanować i uporczywie powtarza tylko jedno zdanie: - Na razie, szybko operacja, a o reszcie pomówimy potem.

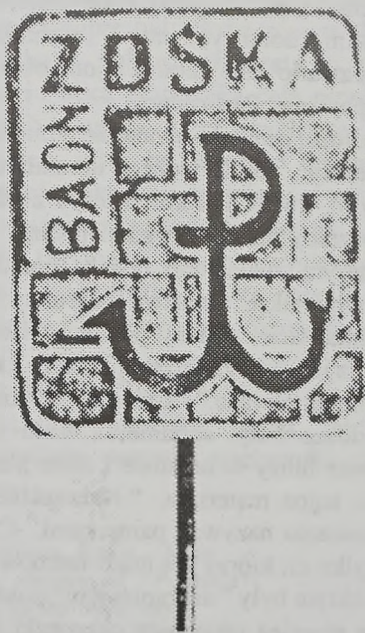
Juno i Sokół nie czekają dalej. Koledzy są pod opieką Maksa - można wracać. Najwyższy zresztą czas na powrót, gdyż koło wozu ze śladami krwi i odpryskami kul na karoserii zaczynają przystawać przechodnie.

Zawrócili szerokim łukiem przed szpitalem i szybko ruszają ku mostowi Kierbedzia, na drugą stronę Wisły. Wjeżdżają na pełnym gazie na most i nagle ...

Sokołowi jeżą się włosy na głowie. W dali, po drugiej stronie mostu, aż gęsto od zielonych mundurów. Zatrzymują wszystkie wozy i wszystkich przechodniów.

Ostry zgrzyt hamulców i próba wymanewrowania wozu ku tyłowi na wąskiej przestrzeni mostu. Beznadziejne, wóz utyka. Już policjanci niemieccy zauważyli podejrzaną manewrowanie samochodu. Biegną. Od praskiej strony odzywają się strzały, stamtąd też widać nadbiegających Niemców. Otoczeni!

Wyskakują z wozu i usiłują krótkimi, urywanymi zdaniami porozumieć się i coś wspólnie postanowić. Są zbyt doświadczeni, aby nie zdawać sobie sprawy, że z tej sytuacji nie ma wyjścia. Nie ma wyjścia? A Wisła? Jedna szansa na tysiąc, ale jednak szansa! Wprawdzie dziś 1 lutego, ale rzeka płynie i nie ma na niej kry. Jeszcze parę słów - postanowili. Przez chwilę uśmiechają się do siebie



wyłoniła, ale wnet zanurza się znowu.

Tym razem ostatecznie...

Obrona Jeńca

Przygoda z dwiema Panterami miała następnego dnia swoje dopełnienie, które rozegrało się na placówce plutonu "Sad". Placówka zajmowała domek pana Klimka przy ulicy Sołtyka, koło wylotu tej ulicy w Młynarską. Służbę objęła właśnie drużyna dowodząca przez Bonawenturę. Czujka leżąca w dole za domem zaalarmowała: ulicą Młynarską zbliża się ku nim kolumna samochodów ciężarowych. Bonawentura krzyknął kilka słów rozkazu i zgarbiony popędził do czujki. Pięć czy sześć wozów ciężarowych, prowadzonych przez osobowego Peugeota, posuwało się bardzo wolno, może 10 km na godzinę, zmierzając Młynarską ku ulicy Leszno.

Bonawentura w zdumieniu i podnieceniu obserwował kolumnę jadącą wprost na nich, jadącą ostrożnie, jakby w obawie przed minami, lecz bez należytego ubezpieczenia. W miarę zbliżania się Peugeota pulsy na skroniach Bonawentury biły coraz mocniej. Teraz Peugeot jest na wprost. Bonawentura odbezpiecza granat. Jeszcze parę sekund. Twarz prowadzącego oficera niemieckiego jest w tej dwudziestometrowej odległości widoczna w każdym szczególe. Już! Wrzask komendy - natychmiastowy ogień wszelkiej broni. Bonawentura zrywa się i pedząc przez zieleń kartofliska ku jezdni, z rozmachem rzuca granat. Wybuch! Maską Peugeota staje w ogniu! Naprzód, naprzód!

Konwój niemiecki bronił się słabo. Część uciekła. Sześciu żołnierzy i oficera wzięto do niewoli. Nowina. A w wozach znalazły się skarby: moc amunicji, kilka karabinów maszynowych, dużo karabinów i pistoletów oraz stosy paczek z jedzeniem i bielizną. Bitwa była dla strony polskiej prawie bezkrwawa, jedyną ranę odniósł Bonawentura. Znow w rękę.

Gdy Nowina prowadził jeńców do dowództwa zgrupowania, któryś z powstańców, podniecony tym widokiem i może wspomnieniem osobistej ciężkiej krzywdy, podbiegł do Niemca i klnąc uderzył oficera, po czym wyszarpywać zaczął z kabury pistolet. Bonawentura, jakby tknięty prądem, rzucił się ku jeńcom i wymachując skrwawionym

życziwie, jakby ściskali sobie dłonie. A potem odwracają się do siebie plecami - jeden w kierunku Pragi, drugi w kierunku Warszawy - i kryjąc się za samochód i żelazne wiązania mostu zaczynają strzelać, celując możliwie starannie. Niemcy po chwili wahania znów zbliżają się skokami, wyzyskując każdą możliwą zasłonę mostowych konstrukcji. Filipinką w nich! Wybuch i znów trzask broni maszynowej. Sokół strzela coraz oszczędniej. Juno po chwili zaprzestaje ostrzeliwać się - koniec z amunicją.

Tak jak postanowili - szybko zrzucają jesionki, marynarki i ku poręczom mostu, i przez nie! Chwila zawisnięcia na rękach nad przepaścią - skok!

W oczach tłumu ludzi, którzy obserwują na obu brzegach spoza murków i zasłon tę zacieklą i nierówną walkę, dwa ciała odrywają się od nawierzchni mostu i dziwnie powoli spadają z wielkiej wysokości w nurty rzeki.

- Są! Są!

Dwie głowy wyłoniły się z wody i płyną z prądem. Kilkadziesiąt luf pistoletów i ręcznych karabinów maszynowych zieleje w te dwie głowy nieustannym ogniem. Mijają okropne chwile. Jedna - zniknęła. Druga oddala się powoli. Dwadzieścia metrów, trzydzieści... I niknie wśród bryzgów wody wyrzucanych przez pociski. Jeszcze raz się

ramieniem, wrzeszczał:

- Opuść broń! Opuść broń, durniu! Czy nie widzisz, że to jeniec? My ciebie pod sąd wojenny...

- Czego kolega tak się rozwrzeszczał? Jest o co!

Powstaniec opuścił wprawdzie visa, lecz patrzył twardo na Bonawenturę. Jego koledzy, którzy zbliżyli się do miejsca awantury, zaczęli głośno domagać się rozstrzelania Niemców. - Znęcali się nad nami pięć lat.

Nowina zdjął z ramienia pistolet maszynowy i stanął koło Bonawentury.

- Koledzy, odejdźcie stąd. To są nasi jeńcy. Sam ich wziąłem. Dałem im słowo honoru, że nic złego z nimi nie będzie.

Nowina mówił to spokojnym, życzliwym głosem, lecz równocześnie odbezpieczył trzymany w rękach "rozpylacz". Nadbiegli inni chłopcy "Sadu".

Powstaniec, który uderzył jeńca, splunął i schował do kabury broń. Oficer niemiecki odetchnął głośno. Nowina uśmiechnął się i rozkazał jeńcom maszerować. Rumieńce wracały na twarz Bonawentury, oczyma szukał Marty, która przed minutą zaczynała mu bandażować rękę. Był zły na siebie: wstydził się swego wrzasku i przekleństw. Z zazdrością myślał o zachowaniu Nowiny.

"Panterki" na Woli

I oto na Woli sensacja. Trzeciego czy czwartego dnia powstania pojawiają się na jej ulicach czołgi powstańcze. Tym różne od niemieckich, że zdobi je wielki znak lilii harcerek, wymalowany na bokach oraz monogram Grupy Szturmowych: duża litera "G" z przecinającą ją błyskawicą w kształcie ostrej litery "S". Czołgi niekiedy wspierają natarcia. Niekiedy - gdyż mają bardzo mało amunicji. Ale za to jakim entuzjazmem wzbudzają wśród młodych żołnierzy i wśród ludności, gdziekolwiek się pokażą. Czołgiści powstańczy mają na sobie czarne mundury czołgistów niemieckich (nie pytajmy skąd i jak zdobyte), tyle że na ich ramionach barwią się białe-czerwone opaski, a na beretach błyszczą orzelki.

Prócz czołgów pojawiają się na Woli coraz liczniejsze samochody ciężarowe i osobowe oraz sanitarki, motocykle, również ze znakami lilii i

monogramem GS. To wszystko zdobyczne, skupione w taborze samochodowym przy "Telefunkenie". "Gazuja" jak zwariowane ulicami rejonu obsadzonego przez zgrupowanie Radosława.

Zazdrość, jaką odczuwała nie umundurowana masa żołnierska Zośki wobec umundurowanych pancerniaków, trwała krótko. Któryś z oddziałów zajął na bocznicę przed Stawkami pociąg "Waffen SS", w którym znaleziono tysiące mundurów, a między innymi także mnóstwo ochronnych bluz i celt. W kilkanaście godzin później "Zośka", "Parasol" oraz inne oddziały zgrupowania Radosława zostały umundurowane. Chłopcy i dziewczęta otrzymali dobre buty, spodnie, a nade wszystko ciemnozielone bluzy w brązowe i żółte plamy oraz czapeczki z tegoż materiału. "Nakrapiane" bluzy z miejsca zaczęto nazywać panterkami. Czapeczki nakładali tylko ci, którzy nie mieli hełmów. Hełmy zresztą też okryte były "nakrapianymi" pokrowcami. Dziewczęta również otrzymały czapeczki i orzekły jednogłośnie, że są one bardzo twarzowe. Chłopcy "Parasola" przyszywać sobie zaczęli do panterek oznakę w postaci czerwonej parasolki.

Byli szczęśliwi. Wyglądali w tych panterkach ładnie i bojowo. Mieli mimo wszystko więcej broni niż jakikolwiek inny oddział powstańczy. Deszcze przestały padać i rozpoczął się okres pięknej, sierpniowej pogody. Ataki czołgów niemieckich w części poskromiono, a co ważniejsze - zdarto z nich nimb grozy. Lotnictwo niemieckie gdzieś się od dawna zapodziało. Artyleria grała niezbyt dokuczliwie. Coraz więcej ludzi spacerowało ulicami, uśmiechając się do żółtawych samochodów z furczącymi chorągiewkami, pełnych żołnierzy w panterkach. No i to uczucie spełnionego obowiązku: każdy wykonuje jakiś rozkaz, każdy gdzieś spieszy, każdy pełni jakąś potrzebną dla powstania funkcję. Robotnicza Wola w tych dniach słońca i powstańczego ruchu była piękna w swym ożywieniu, w swej nadziei i jedności narodowej. Jakże serdeczni byli tu w stosunku do powstańców wszyscy ludzie.

Wprawdzie chłopcy "Zośki" i "Parasola" już wiedzieli, że na Pradze powstanie zostało zduszone w zarodku, orientowali się także, że przedostawanie się z Woli do Śródmieścia staje się coraz trudniejszym wyczynem, widzieli również tu i ówdzie na niebie gęste dymy, ale tamte wszystkie

sprawy zdawały się jakieś odległe i mniej ważne. Wiadomości dobre były dostępnejsze dla ich dusz i opowiadanie kolporterek prasy o tym, że w Śródmieściu ulica Kopernika cała płonie w biało-czerwonych flagach zwisających ze wszystkich niemal okien, albo że Dworzec Pocztowy ponad torami kolejowymi linii średnicowej został zdobyty - takie właśnie wiadomości chłoneli wszyscy.

W owym to czasie zwycięskich walk z czołgami i radością, jaką dawało poczucie wyzwolenia z nienawistnej okupacji, pieśniarz "Parasola", Ziutek, skomponował pod dachami pałacyku Michla (Wolska 12), gdzie stacjonowała jego drużyna, piosenkę, która jakże wiernie odzwierciedlała nastroje większości powstańczej młodzieży:

*Pałacyk Michla, Żytia - Wola
Bronią jej chłopcy od "Parasola".
Choć na Tygrysy mają wisy,
To warszawiaki fajne urwisy są.
Czuwaj, wiara, i wyteżaj słuch,
Pręż swój młody duch, pracując za dwóch,
Czuwaj wiara, i wyteżaj słuch,
Pręż swój młody duch jak stal.
Każy chłopaczek chce być ranny,
Sanitariuszki - to śliczne panny,
Więc gdy cię trafi kula jaka,
Poprosisz pannę, da ci buziaka, hej!
Czuwaj, wiara...
Z tyłu za linią dekowniki,
Intendentura, różne umrzyki
Gotują zupe, czarną kawę,
Takim sposobem walczą o sprawę.
Czuwaj, wiara...*

Autor piosenki był nie tylko pieśniarzem. Był także strzelcem wyborowym. Wyszukał dogodne okna wysokiego pietra z wglądem w teren nieprzyjacielski. W oknie zawiesił zasłonę z części damskiej garderoby (bardzo już sfatygowanej) i nazwawszy to stanowisko "barykadą pod majtkami babci" - polował stąd na pojedynczych Niemców. Z "barykady" Ziutka kpiono we wszystkich plutonach "Parasola".

Miłość czy koleżeństwo?

Jasia, łączniczka dowództwa "Parasola", miała osiemnaście lat. Jej żywiołowa wesołość, dowcip i promieniująca kobiecość sprawiły, iż

przyciągała ku sobie spojrzenia dziewcząt i chłopców. Najbardziej uderzającym rysem jej twarzy były wielkie szaroniebieskie oczy. Najcharakterystyczniejszym sposobem postępowania - życzliwy, uczynny stosunek do ludzi. Nie miała w sobie nic z zaborczości i ostrości, a jeśli na jasnych włosach nosiła w sposób zawadiacki czapeczkę powstańczą, było to przejawem dziewczęcej kokieterii, a nie nonszalancji.

W tym wszystkim pewną niespodziankę stanowił fakt, że Jasia żywo interesowała się zagadnieniami narodowymi. Przy tym interesowała się w sposób inteligentny: sporo czytała i zapamiętywała, umiała odróżniać fakty bardziej podstawowe od mniej istotnych. Rzeczy przeczytane lub zasłyszane potrafiła ściśle streścić. Jeremi kiedyś powiedział żartując, że przy całej swej kobiecości posiada inteligencję męską.

Właśnie - Jeremi ...

To była z dawna ukryta radość i ukryta troska Jasi. Miłość "od pierwszego wejrzenia", jak w poezji? Jasia strząsała z siebie tę myśl. Miłość? Raczej koleżeństwo, raczej przyjaźń. Ale czy może być "koleżeństwo od pierwszego wejrzenia" lub "przyjaźń od pierwszego wejrzenia"? Nie była tego pewna.

Fakty zaś miały przebieg następujący:

Poznali się na zebraniach samokształceniowych Petu. Wstąpienie do tego konspiracyjnego zespołu młodzieży licealnej było pierwszym samodzielnym, pozarodzinnym i pozaszkolnym, krokiem wychuchanej córki generała, przebywającego w dalekiej Anglii. Od razu na pierwszym zebraniu usłyszała referat "starszego" żoliborskiej grupy, kolegi Jeremiego. Prawde mówiąc, był to pierwszy młody człowiek, którego zauważyła! I to jak zauważyła! Nie mogła oderwać swoich wielkich oczu od tej smukłej sylwetki, od bujnych włosów gładzonych co pewien czas porządkującym ruchem dłoni, od energicznego zarysu warg, brody, szczupłego nosa. A treść referatu? Wprawdzie Jasia po raz pierwszy słyszała rozważania o charakterze narodowym Polaków, ale czyż nie odczuła od razu, że właśnie ten temat jest tematem najdonioślejszym, który musi jak najszybciej i gruntownie opanować. Czy to miłość? Chyba nie. Raczej objawione nagle poczucie głębokiego koleżeństwa. Właśnie od pierwszego wejrzenia!

ramieniem, wrzeszczał:

- Opuść broń! Opuść broń, durniu! Czy nie widzisz, że to jeniec? My ciebie pod sąd wojenny...

- Czego kolega tak się rozwrzeszczał? Jest o co!

Powstaniec opuścił wprawdzie visa, lecz patrzył twardo na Bonawenturę. Jego koledzy, którzy zbliżyli się do miejsca awantury, zaczęli głośno domagać się rozstrzelania Niemców. - Znęcali się nad nami pięć lat.

Nowina zdjął z ramienia pistolet maszynowy i stanął koło Bonawentury.

- Koledzy, odejdźcie stąd. To są nasi jeńcy. Sam ich wziąłem. Dałem im słowo honoru, że nic złego z nimi nie będzie.

Nowina mówił to spokojnym, życzliwym głosem, lecz równocześnie odbezpieczył trzymany w rękach "rozpylacz". Nadbiegli inni chłopcy "Sadu".

Powstaniec, który uderzył jeńca, splunął i schował do kabury broń. Oficer niemiecki odetchnął głośno. Nowina uśmiechnął się i rozkazał jeńcom maszerować. Rumienice wracały na twarz Bonawentury, oczyma szukał Marty, która przed minutą zaczynała mu bandażować rękę. Był zły na siebie: wstydził się swego wrzasku i przekleństw. Z zazdrością myślał o zachowaniu Nowiny.

"Panterki" na Woli

I oto na Woli sensacja. Trzeciego czy czwartego dnia powstania pojawiają się na jej ulicach czołgi powstańcze. Tym różne od niemieckich, że zdobi je wielki znak lilii harcerek, wymalowany na bokach oraz monogram Grup Szturmowych: duża litera "G" z przecinającą ją błyskawicą w kształcie ostrej litery "S". Czołgi niekiedy wspierają natarcia. Niekiedy - gdyż mają bardzo mało amunicji. Ale za to jakież entuzjazm wzbudzają wśród młodych żołnierzy i wśród ludności, gdziekolwiek się pokażą. Czołgiści powstańcy mają na sobie czarne mundury czołgistów niemieckich (nie pytajmy skąd i jak zdobyte), tyle że na ich ramionach barwią się biało-czerwone opaski, a na beretach błyszczą orzełki.

Prócz czołgów pojawiają się na Woli coraz liczniejsze samochody ciężarowe i osobowe oraz sanitarki, motocykle, również ze znakami lilii i

monogramem GS. To wszystko zdobywcze, skupione w taborze samochodowym przy "Telefunkenie". "Gazuja" jak zwariowane ulicami rejonu obsadzonego przez zgrupowanie Radosława.

Zazdrość, jaką odczuwała nie umundurowana masa żołnierska Zośki wobec umundurowanych pancerniaków, trwała krótko. Któryś z oddziałów zajął na bocznicę przed Stawkami pociąg "Waffen SS", w którym znaleziono tysiące mundurów, a między innymi także mnóstwo ochronnych bluz i celt. W kilkanaście godzin później "Zośka", "Parasol" oraz inne oddziały zgrupowania Radosława zostały umundurowane. Chłopcy i dziewczęta otrzymali dobre buty, spodnie, a nade wszystko ciemnozielone bluzy w brązowe i żółte plamy oraz czapeczki z tegoż materiału. "Nakrapiane" bluzy z miejsca zaczęto nazywać panterkami. Czapeczki nakładali tylko ci, którzy nie mieli hełmów. Hełmy zresztą też okryte były "nakrapianymi" pokrowcami. Dziewczęta również otrzymały czapeczki i orzekły jednogłośnie, że są one bardzo twarzowe. Chłopcy "Parasola" przyszywać sobie zaczęli do panterek oznakę w postaci czerwonej parasolki.

Byli szczęśliwi. Wyglądali w tych panterkach ładnie i bojowo. Mieli mimo wszystko więcej broni niż jakikolwiek inny oddział powstańczy. Deszcze przestały padać i rozpoczął się okres pięknej, sierpniowej pogody. Ataki czołgów niemieckich w części poskromiono, a co ważniejsze - zdarto z nich nimb grozy. Lotnictwo niemieckie gdzieś się od dawna zapodziało. Artyleria grała niezbyt dokuczliwie. Coraz więcej ludzi spacerowało ulicami, uśmiechając się do żółtawych samochodów z furczącymi chorągiewkami, pełnych żołnierzy w panterkach. No i to uczucie spełnionego obowiązku: każdy wykonuje jakiś rozkaz, każdy gdzieś spieszy, każdy pełni jakąś potrzebną dla powstania funkcję. Robotnicza Wola w tych dniach słońca i powstańczego ruchu była piękna w swym ożywieniu, w swej nadziei i jedności narodowej. Jakże serdeczni byli tu w stosunku do powstańców wszyscy ludzie.

Wprawdzie chłopcy "Zośki" i "Parasola" już wiedzieli, że na Pradze powstanie zostało zduszone w zarodku, orientowali się także, że przedostawanie się z Woli do Śródmieścia staje się coraz trudniejszym wyczynem, widzieli również tu i ówdzie na niebie gęste dymy, ale tamte wszystkie

sprawy zdawały się jakieś odległe i mniej ważne. Wiadomości dobre były dostępnejsze dla ich dusz i opowiadanie kolporterek prasy o tym, że w Śródmieściu ulica Kopernika cała płonie w białoczerwonych flagach zwisających ze wszystkich niemal okien, albo że Dworzec Pocztowy ponad torami kolejowymi linii średnicowej został zdobyty - takie właśnie wiadomości chłonełi wszyscy.

W owym to czasie zwycięskich walk z czołgami i radością, jaką dawało poczucie wyzwolenia z nienawistnej okupacji, pieśniarz "Parasola", Ziutek, skomponował pod dachami pałacyku Michla (Wolska 12), gdzie stacjonowała jego drużyna, piosenkę, która jakże wiernie odzwierciedlała nastroje większości powstańczej młodzieży:

*Pałacyk Michla, Żytnia - Wola
Bronią jej chłopcy od "Parasola".
Choć na Tygrysy mają visy,
To warszawiaki fajne urwisy są.*

*Czuwaj, wiara, i wyteżaj słuch,
Pręż swój młody duch, pracując za dwóch,
Czuwaj wiara, i wyteżaj słuch,
Pręż swój młody duch jak stal.*

*Każdy chłopaczek chce być ranny,
Sanitariuszki - to śliczne panny,
Więc gdy cię trafi kula jaka,
Poprosisz panne, da ci buziaka, hej!*

Czuwaj, wiara...

*Z tyłu za linią dekowniki,
Intendentura, różne umrzyki
Gotują zupe, czarną kawę,
Takim sposobem walczą o sprawę.
Czuwaj, wiara...*

Autor piosenki był nie tylko pieśniarzem. Był także strzelcem wyborowym. Wyszukał dogodnie okna wysokiego piętra z wglądem w teren nieprzyjacielski. W oknie zawiesił zasłonę z części damskiej garderoby (bardzo już sfatygowanej) i nazwawszy to stanowisko "barykadą pod majtkami babci" - polował stąd na pojedynczych Niemców. Z "barykady" Ziutka kpiono we wszystkich plutonach "Parasola".

Miłość czy koleżeństwo?

Jasia, łączniczka dowództwa "Parasola", miała osiemnaście lat. Jej żywiołowa wesołość, dowcip i promieniująca kobiecość sprawiły, iż

przyciągała ku sobie spojrzenia dziewcząt i chłopców. Najbardziej uderzającym rysem jej twarzy były wielkie szaroniebieskie oczy. Najcharakterystyczniejszym sposobem postępowania - życzliwy, uczynny stosunek do ludzi. Nie miała w sobie nic z zaborczości i ostrości, a jeśli na jasnych włosach nosiła w sposób zawadiacki czapeczkę powstańczą, było to przejawem dziewczęcej kokieterii, a nie nonszalancji.

W tym wszystkim pewną niespodziankę stanowił fakt, że Jasia żywo interesowała się zagadnieniami narodowymi. Przy tym interesowała się w sposób inteligentny: sporo czytała i zapamiętywała, umiała odróżniać fakty bardziej podstawowe od mniej istotnych. Rzeczy przeczytane lub zasłyszane potrafiła ściśle streścić. Jeremi kiedyś powiedział żartując, że przy całej swej kobiecości posiada inteligencję męską.

Właśnie - Jeremi ...

To była z dawna ukryta radość i ukryta troska Jasi. Miłość "od pierwszego wejrzenia", jak w poezji? Jasia strząsała z siebie tę myśl. Miłość? Raczej koleżeństwo, raczej przyjaźń. Ale czy może być "koleżeństwo od pierwszego wejrzenia" lub "przyjaźń od pierwszego wejrzenia"? Nie była tego pewna.

Fakty zaś miały przebieg następujący:

Poznali się na zebraniach samokształceniowych Petu. Wstąpienie do tego konspiracyjnego zespołu młodzieży licealnej było pierwszym samodzielnym, pozarodzinnym i pozaszkolnym, krokiem wychuchanej córki generała, przebywającego w dalekiej Anglii. Od razu na pierwszym zebraniu usłyszała referat "starszego" żoliborskiej grupy, kolegi Jeremiego. Prawde mówiąc, był to pierwszy młody człowiek, którego zauważyła! I to jak zauważyła! Nie mogła oderwać swoich wielkich oczu od tej smukłej sylwetki, od bujnych włosów gładzonych co pewien czas porządkującym ruchem dłoni, od energicznego zarysu warg, brody, szczupłego nosa. A treść referatu? Wprawdzie Jasia po raz pierwszy słyszała rozważania o charakterze narodowym Polaków, ale czyż nie odczuła od razu, że właśnie ten temat jest tematem najdonioślejszym, który musi jak najszybciej i gruntownie opanować. Czy to miłość? Chyba nie. Raczej objawione nagle poczucie głębokiego koleżeństwa. Właśnie od pierwszego wejrzenia!



prywatnych.

Cóż mogła uczynić więcej Jasia, niż postarać się, w sposób dla siebie samej jakby nie-uświadomiony, o przydział na stanowisko łączniczki dowództwa "Parasola", aby jej związek z Jeremim otrzymał stałą, codzienną pożywkę w postaci konkretnych prac.

Więc jak to ostatecznie było z nimi? Miłość czy koleżeństwo? Gdyby Jeremi chciał dopomóc Jasi w wyjaśnieniu tej niepewności. Ale Jeremi, zabiegany, zaaferowany, zaniedbany, pochłonięty przez walkę i obowiązki dowódcy, z sercem wiernym swym męskim przyjaźniom, Bronkowi Lotowi, Rafałowi, traktował serdeczne oddanie Jasi

Gdy Jeremi zainicjował w swej żoliborskiej grupie akcję małego sabotażu, dla Jasi stało się jasne, że jej udział w małym sabotażu jest tym, o czym od dawna skrycia marzyła. Podobnie gdy Jeremi z Petem włączył się w Szare Szeregi i podobnie gdy rozpoczął akcje dywersyjne... A kiedy ostatniej wiosny zwierzył się jej z marzeń o spadochroniarstwie i usłyszała po raz pierwszy intrygujący kryptonim: "Parasol", przystąpiła niezwłocznie do gromadzenia literatury lotniczej w trzech znanych sobie językach. Pomyślała co prawda w porywie samokrytycyzmu, że gdyby Jeremi razu pewnego zainteresował się malarstwem, przystąpiła by niezwłocznie do uczenia się historii malarstwa, ale czy miała przez to uważać się za głupią geś i wpadać w irytację?

Było tak miło interesować się tym wszystkim, czym żył Jeremi.

Niestety, owe zainteresowania z biegiem czasu stawały się coraz bardziej jednostronne. Młody człowiek awansował szybko w służbie szaroszeregowej i dywersyjnej. Na jego głowę zwała się masa zadań i coraz szerszych poczynąń organizacyjnych. Na życie osobiste zaczynało brakować czasu. Czasu brakowało Jeremiemu nie tylko na niefrasobliwy spacer czy towarzyską rozmowę. Nawet na myślenie o sprawach

jako coś naturalnego, zrozumiałego samo przez się. Była towarzyszem Z biegiem czasu nawet przyjacielem, wobec którego chętniej i szerzej niż przed Rafałem czy Andrzejem Morro zwierzał się ze swoich najskrytszych myśli i pragnień i którego wierności oraz oddania był pewien bardziej niż kogokolwiek.

Nie wiadomo, jak długo trwałaby ta - miłość? przyjaźń?, gdyby nie oszałamiające pierwsze dni powstania, kiedy wiele dziewcząt i chłopców ogarnęły uczucia bliskie egzaltacji. Tak właśnie stało się z Jasią. Zabiegana w nieprzerwanej służbie, w służbie jawnej, w mundurze, w czapeczce żołnierskiej żyła jak wuniesieniu. Drobnе osiągnięcia przeżywała jak tryumfy, a poważnych nawet kłopotów nie dostrzegała.

I gdy wieczorem drugiego dnia powstania Jeremi wpadł na kwatere z jakąś radosną wiadomością, Jasia zapomniała o świecie całym. Byli wówczas w izbie dowództwa tylko we dwoje. Dziewczyna wyciągnęła ramiona, objęła młodego człowieka i przytuliwszy się doń zaczęła... płakać. Jeremi był oszołomiony: zawsze pogodna Jasia - płacząca? Musiało się stać coś niezwykłego. Przygarnął do siebie dziewczynę i zaczął głaskać jej włosy. A gdy zrozumiał, że płacz Jasi jest radością, jest współradością z nim, gdy wyczuł, jak

drży w jego ramionach, i gdy, zdumiony, zaskoczony, zażenowany, szczęśliwy, odczuł nagle do tego dziewczęcego towarzysza tkliwą czułość, a zarazem poryw płomiennego żaru - zrozumiał.

Koniec powstania na Woli

W pewnym momencie grupa Orszy wyszła na duży ogród między kilkoma domami i stanęła niezdeterminowana. Ogród był zatłoczony przez biwakującą na nim masę ludzi, z płaczącymi dziećmi, zdenerwowanymi głosami kobiet, klątwami mężczyzn, jękami i szlochaniem. Ubrania tej ludzkiej masy przesycone były dymem, uwalane wapnem i sadzą, upstrzone puchem, pierzem. Zwarte grupy otaczały kilka postaci w białych kitlach pielęgniarskich - to właśnie stąd rozlegały się zawodzenia i jęki i stąd niekiedy promieniowały przykre zapachy.

- Co tu się dzieje? Skąd państwo jesteście?
- spytała Irka jakiejś kobiety.

- Z Płockiej, z Górczewskiej. Niemcy mordują tam ludzi, palą domy.

- Kiedy to było?

- Jak to "kiedy było"? Teraz! Cały dzień, cały wieczór. Najpierw w dzień rzucali bomby z samolotów i niszczyli domy czołgami, a potem chodzili z wielkimi bańkami na plecach i tryskali ogniem na to, co jeszcze stało nie ruszone. A inni wywlekali ludzi z domów i mordowali. I znikąd ratunku, o Boże, Boże...

Irka tłumiąc zdenerwowanie rozpytuje dalej:

- A Szpital Wolski? (Do ogromnego tego szpitala przy Płockiej w pierwszych dniach powstania odsyłano rannych "Zośki" i "Parasola").

- Szpital Wolski? Nie ma go już.

- Nie ma szpitala?

Do rozmawiających podchodzą inni. Patrzą ponuro i teraz oni się z kolei dziwią.

- To nic nie wiecie o Szpitalu Wolskim?

I zaczynają opowiadać o czymś, co wydaje się tak nieprawdopodobne, tak nierzeczywiste, że Orsza kilkakrotnie przerywa, aby się upewnić, co opowiadający widzieli na własne oczy, a o czym tylko słyszeli i od kogo. Po kilkudziesięciu minutach dla nikogo już nie ulega wątpliwości, że stoją wobec jednego z najokrutniejszych faktów wojny: SS-manni wpadli do szpitala i wyprowadzili

na dziedziniec personel lekarski oraz pielęgniarki i wszystkich pomordowali. Dyrektor szpitala, doktor Piasecki, miał na sobie rękawiczki operacyjne oraz fartuch gumowy, oderwano go od przeprowadzanej operacji. Potem wypędzali z sal chorych i rannych mogących się poruszać i mordowali bezlitośnie. Tylko niektórym udało się schronić lub zbiec. Także część tych, co się nie mogli ruszać, pozabijano w łóżkach.

Mężczyzna, który zaczął swe opowiadanie stosunkowo spokojnym głosem, ostatnie zdanie krzychał przejmującym falsetem, potrząsając pięścią. W tym głosie wyczuwało się taką nienawiść i ból, że zogniskował on uczucia słuchających, którzy patrzyli na krzyczącego jak zahipnotyzowani.

Gdy Orsza i jego towarzysze wyszli z tłumu biwakującego na zniszczonych grzędach wielkiego warzywnika, usiłowali przypomnieć sobie, kto spośród rannych "Zośki" i "Parasola" był w Szpitalu Wolskim. Jakiś mężczyzna, który przyłączył się do nich, gdy opuszczali warzywnik, w pewnej chwili odezwał się:

- Szpital Wolski! Przecież nie on jeden. A szpital Karola i Marii na Lesznie? Nawet dzieci z oddziału dziecięcego wytłukli granatami w piwnicy. I byli tam ranni żołnierze niemieccy, którymi w szpitalu opiekowano się na równi z naszymi. To ci Niemcy ujeli się za Polakami - tyle pomogło, co kot napłakał: ocalili tylko trochę personelu.



Patrol powstanczy w dniu 1 sierpnia 1944 r.

Harcerki w powstaniu

(Fragmenty z książki Pełnić służbę)

Inicjatywa harcerek dopełniających, korygujących i zapoczątkowujących od pierwszych dni wojny aktywność przeciwniemieckiego oporu oraz narodowej samopomocy - jest podobnie uderzającym dowodem patriotycznej samodzielności jak to stwierdzano u harcerzy i w całym polskim społeczeństwie. Byliśmy w tamtych czasach społeczeństwem, które już w toku wrześniowej klęski ujawniło zdumiewająco szeroki front inicjatyw służby narodowej i woli dalszej walki. Gdy się czyta relacje niniejszego zbioru - uderza samodzielność poszczególnych drużyn, z których każda na swój sposób realizuje podejmowane zadania.

Szczególnie interesująca jest spontaniczność zastępów, drużyn i hufców harcerek w zakresie reaktywowania zniszczonych i zdeorganizowanych przez wojnę placówek samopomocy i opieki. Harcerki, podobnie jak harcerze, są czynne w Małym Sabotażu, propagandzie przeciwniemieckiej (N) oraz w służbie wywiadowczej, ale wyprzedzały harcerzy w różnorodności inicjatyw i wytrwałej konsekwencji prac opiekuńczych na rzecz rodzin najbardziej dotkniętych przez wojnę, dzieci, starców, jeńców, więźniów. Inicjatywy opiekuńcze harcerek ujawniane w tym zbiorze pokazują, jak wrażliwe było wyczulenie instruktorek i ich dziewcząt na nieszczęścia gnębiące zniewolony naród i jak bardzo liczyła się rzeczywista pomoc, a nie pozory; w działalności opiekuńczo-wychowawczej rozliczano się z każdego dziecka, każdej rodziny branej pod opiekę. A że było w tym sporo nut filantropii - to naturalne dla tamtych lat.

Uderza samorządność organizowanych poczynañ harcerek. Ich inicjatywy i podejmowane poczynania mają zwykle charakter zespołowy, dużo tu wymiany myśli, zbiorowego poszukiwania najlepszych rozwiązań podejmowanego zadania. A przy tym realizacja zadań sabotażu, samopomocy, opieki odbywa się z reguły w otocze wartości moralnych, którym pragnie się służyć, wartości

zwerbalizowanych w Przyrzeczeniu i Prawie Harcerskim. Ileż zaskakująco silnych wzruszeń związanych z treściami ideowymi harcerstwa przewija się w dziennikach i pamiętnikach, gdy mówią o przeżyciach związanych z Przyrzeczeniem Harcerskim, z gawędami i dyskusjami.

Dziewczętom częściej i liczniej niż chłopcom udawało się realizowanie tradycyjnie harcerskiego stylu życia - typowo harcerskich ćwiczeń, wycieczek i nawet mini-oboźów, nawet konspiracyjnych defilad w stolicy! Jak mocno przeżywały swą siostrzaną wspólnotę w owych dniach i tygodniach zespołowego identyfikowania się z wywoływanym przez wyobraźnię wzorcem harcerki. Fascynacja harcerstwem wojennym pochłaniała, oczarowywała niektóre z tych dziewcząt.

...tamte dziewczęta stały się chlubą naszej historii. Dowiodły w swej masie niezwyklej mocy ducha, twardej woli obowiązku, nieustępliwego poczucia odpowiedzialności. Były jednakowo ofiarne i gotowe do służby w walkach powstańczych - jak i do prac w ratowaniu niemowląt ginących wówczas bez mleka, w gotowaniu posiłków dla ludności przewalającej się z jednych dzielnic do drugich, w kierowaniu ruchem na terenie podziemnego labiryntu piwnicznych przejść, we wzbudzającej lęk i wstręt służbie łączności kanałami ścieków...

My, którzy wyszliśmy żywi z tych czasów i miejsc oraz wy, którzy otworzyliście oczy na świat już po latach wojny - schylmy nisko głowy przed dziewczętami z tamtych lat.

...Wartościom narodowym dały pierwszeństwo nad ponętami osobistych satysfakcji. Szczęście własne zespoliły ze szczęściem swej Ojczyzny. Niech pozostaną na wieki w pamięci ludzkiej te córki niewolonego narodu, służące jego swobodzie i wspierające go opiekuńczą pomocą.

Aleksander Kamiński
(wyjątki z przedmowy)



Szkoła charakterów

Sytuacja okupacyjna, pociągająca za sobą zakonspirowany charakter harcerstwa, miała też zasadniczy wpływ na rodzaj pracy w drużynie. Odpadły wszystkie zewnętrzne, a tak bardzo nęcące formy: mundur, odznaki, naszywki za sprawności, głośne śpiewania, letnie obozy, ogniska - jednym słowem cała zewnętrzna barwna szata. Została sama istota - Prawo Harcerskie i Przyrzeczenie. W tej ściszonej atmosferze punkt ciężkości przesunięty został z umiejętności gromadnego życia na wyrobienie indywidualne. Zastęp stał się podstawową jednostką, a każda harcerka miała w nim ściśle określoną pozycję i zadania. Zastępy starały się być oryginalne, a wszystkie harcerki marzyły o niezwykłych czynach. Toteż zdarzały się one nieraz. Kiedyś na przykład dwie harcerki z zastępu Ogarów, jadąc pustym tramwajem obcięły pijanemu Niemcowi epolety od munduru, by swej ukochanej drużynowej zrobić z nich etui do wiecznego pióra.

Takie i tym podobne wyczyny przysparzały zapewne starszyźnie niemało troski i przyczyniały się do szukania nowych form pracy drużyny. Kształcenie charakteru to pierwszy i najważniejszy jej punkt. Kształcenie zmysłów i umysłu to drugi, nie mniej ważny. Nim bowiem dopuszczono nas do sprawności harcerskich minęły długie miesiące pracy nad sobą. Dzienniczki dobrych uczynków, dobra nauka i zachowanie, umiejętność wzajemnego współżycia - była to szkoła, przez którą nie wszystkie przebrnęły - część młodzieży odpadła, lecz te, która pozostała, czekały dni o wiele barwniejsze. Przygotowywano nas przecież, jeszcze bez naszej świadomości, do zadań, o których nie śmiałyśmy marzyć - do prawdziwej walki z okupantem.

W służbie dla innych

... W barakach mieszkali przeważnie bezrobotni, jedną izbę przedzieloną przesłonami z materiału zajmowało kilka rodzin. Bójki, pijatyki i prostytutka były zjawiskami codziennymi. W tej

atmosferze wyrastały dzieci, przejmując najgorsze cechy od rodziców.

Nasz pierwszy tajny zastęp postanowił zorganizować tam naukę czytania i pisania, potem kontynuowaną przez drużynę. Realizację tego zadania, którego podjęły się Iwa Celarska, Lidka Konarska i Roma Zdziarska, ułatwiało w pewnym stopniu to, że punkt RGO w barakach wydawał gorące zupy, chleb i kawę. Dożywianie przyciągało sporą gromadkę dzieci, które czekały nieraz na upragniony posiłek parę godzin. Oczekiwanie wypełnialiśmy im nauką. Nie było to łatwe zadanie - dzieci były raczej tępe, obciążone dziedzicznie, dokuczliwe i przemądrzałe w sensie życiowym. W zimie, gdy szron pokrywał wnętrze baraku, frekwencja spadała nieraz do kilku osób.

Danuta Cichocka - Anielka

W hufcu Mokotów

10 VIII 44 - czwartek

Wszyscy mieszkańcy się pakują, bo Niemcy opróżniają domy i ludzi gdzieś ewakuują. Dzisiaj zrzucili z samolotu ulotki, w których stawiają ultimatum ludności Warszawy. Piszą w nich, że Powstanie zostało stłumione, że powstańców już nigdzie nie ma, żeby opuszczać miasto. Nikt nie wie co robić, ludzie siedzą w bramie na walizkach. My na szczęście niewiele mamy z sobą. Z apteczki zostały mi tylko pincety, nożyczki i torba. Prócz tego mam jedną zmianę bielizny, ręcznik, mydło, szczotkę do zębów, grzebień, zapasowe sandały i spódniczkę oraz bluzę narciarską.

Chodzę z lekarką po domach. Dostałam do zmiany opatrunków kobietę po porodzie, ze skrzepem w nodze. Dziecko jest takie słabe! Jedna sklepikarka rozdaje za darmo wszystkie produkty. Poczciwa kobieta. Inni grube pieniądze na tym robią.

12 VIII 44 - sobota

Rano zdobyłyśmy trochę drzewa w wielkich kłodach, za które drogo zapłaciłyśmy, ale przynajmniej będzie na czym gotować, bo gazu ani

elektryczności nie ma. Jednak krótko potem przyszły sanitariuszki z punktu PPS, przebrane jak patrol i zabrały na noszach Marka. Szybko podjęłyśmy decyzję i w ciągu pół godziny byliśmy gotowe do drogi. Było nas osiem: lekarka, punktowa, pielęgniarka, sprzątaczką, Wacka, Fifi, Irka i ja. Szłyśmy pustymi ulicami z białą chorągwią, niepewne, czy zastaniemy swoich w Śródmieściu. Na Sandomierskiej leżał jeszcze ten pierwszy zabity. Domy są popalone, niektóre jeszcze się tliły. Wypalone, dziwne tramwaje, głucho, pusto, niesamowicie.

Idziemy wolno, jak kondukt żałobny, nic nie mówimy, nie mamy odwagi spojrzeć na siebie. Czy zawrócą nas do Pruszkowa, gdzie podobno jest przejściowy obóz, do którego wszystkich kierują? Do placu Unii nikogo nie spotkałyśmy. Jakiś patrol zawrócił grupę ludzi, którzy wchodzili do bramy. Nas nie dojrzeli i poszli boczną ulicą. Doszłyśmy do Litewskiej. Tu, z prawej strony, za okopami siedzą Niemcy. Pytamy, czy możemy iść dalej? Śmieją się, mówią po co?, i pozwalają iść. To był ostatni posterunek. Dalej, do placu Zbawiciela, był teren niczyj.

Na placu Zbawiciela widzimy, że wszystkie ulice są zabarykadowane. Przy Mokotowskiej na barykadzie sztandar biało-czerwony. Nic nie rozumiemy. Czyżby Niemcy zostawili polską chorągiew? Gdzie iść, żeby dostać się do swoich? Na placu widzimy trupy, grupy ludzi, jakiś mężczyzna w kapeluszu, kobieta, i nie wiem już kto, bo nie mogłam patrzeć na te popuchnięte, rozkładające się ciała. Obok leży biała chorągiew. Nie mamy odwagi spojrzeć na siebie. Wtem za nami z ulicy Litewskiej padają strzały. To dlatego tak chętnie nas puścili. Rzuciłyśmy się w stronę jednej z barykad. Musimy ryzykować. Przypuszczaliśmy, że powstańców tu nie ma, ale może w domach są jeszcze jacyś ludzie i wpuszczają nas. Naraz z domu narożnego po lewej stronie ulicy Marszałkowskiej usłyszałyśmy pukanie w okno któregoś piętra. Jakiś mężczyzna wysunął się ostrożnie, tak aby się nie wychylić poza okno i zawołał wskazując na barykadę przy ul. Marszałkowskiej: Tu, prędco przejdźcie barykadę, tu są nasi! Rzuciłyśmy się w stronę barykady, a tu przez szczeliny wystawione lufy karabinów. Czyżby podstęp? Stałyśmy, ale ten człowiek

zachęcał nas powtarzając: Prędco, prędco! Wpadłyśmy więc za barykadę zbudowaną z płyt chodnikowych, złożoną z dwóch zachodzących na siebie części tworzących w ten sposób przejście.

Po drugiej stronie barykady byli powstańcy w granatowych kombinezonach i beretach, z biało-czerwonymi opaskami na lewej ręce.

Powstańcza msza

13 VIII 44 - niedziela

Rano, w podziemiach drapacza chmur (jedyne 16-piętrowy dom w przedwojennej Warszawie, zwany Prudentialem, wzniesiony przez angielskie towarzystwo ubezpieczeniowe Prudential, przy placu Napoleona 9 - obecnie plac Powstańców Warszawy) odprawiona została Msza święta. Ołtarz był przykryty biało-czerwonymi sztandarami z ryngrafem. Zebrani tu, przeważnie harcerze, niektórzy z bronią, w tygrysyich płachtach, polskie sztandary, polskie pieśni po tylu latach nie w ukryciu, ale głośno i oficjalnie śpiewane. Wszystko to tak nas wzruszyło, że z trudem hamowałyśmy łzy. Kiedy jednak na zakończenie, w postawie na baczność, odśpiewali gromko: *Boże, coś Polskę...*, rozbiegałam się nie mogąc dłużej opanować wzruszenia i szczęścia. Poczułam, że stoimy na małym skrawku wolnej Polski, wśród samych swoich, dobrych i życzliwych.

Harcerska poczta

“Wacka” poszła jako sanitariuszka do oddziałów GS, my z “Fifiną” zostajemy na pocztce. Listy - to małe karteczki, które trzeba segregować według dzielnic, a następnie dostarczyć do punktu harcerskiego danej dzielnicy. Nie wszędzie można się dostać, ale trzeba szukać okazji. Poznałyśmy cały zastęp pocztowy i zakwaterowałyśmy się u nich w drapaczu.

... Wieczorem, w tym samym lokalu, gdzie rano była Msza św., odbył się kominek harcerski, taki prawdziwy, głośny, oficjalny, z miłą, serdeczną, atmosferą. Harcerstwo żeńskie nie ujawniło się. My, jako pocztciarki, podlegamy komendzie męskiej i wolno nam się ujawnić, to znaczy nosić przypięte krzyże harcerskie. Bardzo dumne jesteśmy z tego.

Krzyż oczywiście zabrałam i mam go przy sobie.

14 VIII 44 - poniedziałek

Dziś pierwszy dzień pracowałyśmy na poczcie w gmachu "drapacza". Zaczynamy o 6:30 rano, bo pracy jest bardzo dużo. Stołujemy się w stołówce harcerskiej przy "drapaczu", prawie naprzeciw Pasieki. Pasieka jest przy Świętokrzyskiej 38. Produkty żywnościowe, które dostałyśmy od Toli na Mokotowie, oddałyśmy dla Komendy Pasieki.

Wieczorem był znowu kominek, prowadzony przez druha Jerzego. Na kominki przychodzą wszyscy harcerze: GS-y z pierwszej linii w hełmach i z bronią, Zawiszacy, których nigdzie nie brak - robią wszystko. Mamy tu fortepian, na którym druh Jerzy gra nasze harcerskie piosenki. Ja też musiałam dziś trochę grać, bo Fifina i druh Jerzy zdradzili, że gram.

16 VIII 44 - środa

Dziś poczta jest nieczynna, więc dłużej spałyśmy, żeby odespać.

Wysłałam dziś do Biuletynu Informacyjnego ogłoszenie, żeby ewentualnie w domu dowiedzieli się o mnie. Druh Jerzy obiecał załatwić, żeby przedzej poszło.

W nocy przenosiłam pocztę za Aleje Jerozolimskie. Jest duży ostrzał. Pocztę przenieśliśmy do gmachu Poczty Głównej. Dostałyśmy specjalne przepustki pocztowe, bez których nie wpuszczają na teren poczty, a także legitymacje łączniczek - małe, niebieskie karteczki z pseudonimem i z poleceniem wszystkich komórek AK, by nam ułatwiali zadania. Trzeba je nieraz pokazywać przy barykadach, na przykład na Nowym Świecie. Zgoda 15 zostało całkowicie zajęte dla nas. Mają tu być chorzy, poza tym przyszło tu też trochę GS-ów i BS-ów. Okropne jest sprzątanie tych pomieszczeń pełnych gruzów, przy braku wody i bez wielu potrzebnych przyrządów. Zwłaszcza, że nie wiadomo na jak długo. Może za kilka godzin pocisk wszystko rozwali. Czasami mamy dyżury na szczycie drapacza. Zapisujemy wszystko, co widzimy, przede wszystkim na Pradze. Czasem, zwłaszcza na początku, widać było samochody i czołgi, prawdopodobnie radzieckie.

17 VIII 44 - czwartek

Dziś pracowałyśmy już w gmachu poczty. Przed południem było bardzo dużo pracy. Każda dzielnica ma swój worek, ale dzielnice są wyznaczone według możliwości dojścia do nich, więc trzeba się orientować, gdzie znajduje się dany numer domu, żeby do odpowiedniego worka list włożyć. Listów są setki. Te listy nie mogą czekać, są nieraz pierwszą wiadomością, że syn żyje i walczy. Równie często, że poległ. Spieszyłam się, nie byłam nawet na obiedzie. Kiedy zostałam sama, zrobiło się cicho i myszy powychodziły z dziur, przebiegały po podłodze, siadały, przyglądały mi się, zupełnie nie wystraszone.

Niektóre listy są cenzurowane. Cenzura jest u pp. Góreckich. Te listy przychodzą już ze stemplem: cenzurowane. Mamy też nasze stemple poczty polowej, a także różne stemple harcerskie. Kilkoma my stemplujemy, a niektóre listy przychodzą już z innymi stemplami. Po skończonej pracy podstemplowałam kilka pocztówek i kopert naszymi stemplami. Schowam na pamiątkę, będą dla Zdzicha, bo on zbiera znaczki.

18 VIII 44 - piątek

Rano jak zwykle zaniósłam pocztę na Powiśle. Po drodze widzę w bramie przy ul. Wareckiej księdza biskupa Adamskiego, odprowadzającego Mszę świętą. Za patenę służy mu spodeczek, a za kielich - zwykły kieliszek do wina. Opłatki są maleńkie jak dwugroszówki.

Przedpołudnie upłynęło mi na poczcie. Szyfrowałyśmy listy, które ktoś przepływając Wisłę dostarczy na Pragę. Druh "Jerzy" tylko dwie z nas wtajemniczył w szyfr, więc musiałyśmy wszystko same zaszyfrować. Listów było dość dużo. Dlatego miałyśmy polecenie szyfrowania bardzo krótkich wiadomości (na przykład, że żyje) i opuszczania wszystkich innych, które list zawierał. Ale jak nie podać takich zawartych w listach wiadomości, jak wieści o znajomych i krewnych, prośby o coś lub nawet kilku gorących, serdecznych słów, jakie adresat skreślił do rodziny? Siedzimy więc długo, bo nie możemy zdecydować, co opuścić, i prawie wszystko tłumaczymy na język szyfru. Te listy i tak przeważnie nie są długie, skreślone w pośpiechu, na kolanie, może w krótkiej przerwie w czasie walki.

Po południu wskoczyłam na chwilę do pp.

elektryczności nie ma. Jednak krótko potem przyszedł sanitariuszki z punktu PPS, przebrane jak patrol i zabrały na noszach Marka. Szybko podjęłyśmy decyzję i w ciągu pół godziny byliśmy gotowe do drogi. Było nas osiem: lekarka, punktowa, pielęgniarka, sprzątaczką, Wacka, Fifi, Irka i ja. Szliśmy pustymi ulicami z białą chorągwią, niepewne, czy zastaniemy swoich w Śródmieściu. Na Sandomierskiej leżał jeszcze ten pierwszy zabity. Domy są popalone, niektóre jeszcze się tliły. Wypalone, dziwne tramwaje, głucho, pusto, niesamowicie.

Idziemy wolno, jak kondukt żałobny, nic nie mówimy, nie mamy odwagi spojrzeć na siebie. Czy zawrócą nas do Pruszkowa, gdzie podobno jest przejściowy obóz, do którego wszystkich kierują? Do placu Unii nikogo nie spotkałyśmy. Jakiś patrol zawrócił grupę ludzi, którzy wchodzili do bramy. Nas nie dojrzeli i poszli boczną ulicą. Doszliśmy do Litewskiej. Tu, z prawej strony, za okopami siedzą Niemcy. Pytamy, czy możemy iść dalej? Śmieją się, mówią po co?, i pozwalają iść. To był ostatni posterunek. Dalej, do placu Zbawiciela, był teren niczyj.

Na placu Zbawiciela widzimy, że wszystkie ulice są zabarykadowane. Przy Mokotowskiej na barykadzie sztandar biało-czerwony. Nic nie rozumiemy. Czyżby Niemcy zostawili polską chorągiew? Gdzie iść, żeby dostać się do swoich? Na placu widzimy trupy, grupy ludzi, jakiś mężczyzna w kapeluszu, kobieta, i nie wiem już kto, bo nie mogłam patrzeć na te popuchnięte, rozkładające się ciała. Obok leży biała chorągiew. Nie mamy odwagi spojrzeć na siebie. Wtem za nami z ulicy Litewskiej padają strzały. To dlatego tak chętnie nas puścili. Rzuciłyśmy się w stronę jednej z barykad. Musimy ryzykować. Przypuszczałyśmy, że powstańców tu nie ma, ale może w domach są jeszcze jacyś ludzie i wpuszczają nas. Naraz z domu narożnego po lewej stronie ulicy Marszałkowskiej usłyszałyśmy pukanie w okno kogoś piętra. Jakiś mężczyzna wysunął się ostrożnie, tak aby się nie wychylić poza okno i zawołał wskazując na barykadę przy ul. Marszałkowskiej: Tu, predko przejdźcie barykadę, tu są nasi! Rzuciłyśmy się w stronę barykady, a tu przez szczeliny wystawione lufy karabinów. Czyżby podstęp? Stałyśmy, ale ten człowiek

zachęcał nas powtarzając: Predko, predko! Wpadliśmy więc za barykadę zbudowaną z płyt chodnikowych, złożoną z dwóch zachodzących na siebie części tworzących w ten sposób przejście.

Po drugiej stronie barykady byli powstańcy w granatowych kombinezonach i beretach, z białoczerwonymi opaskami na lewej ręce.

Powstańcza msza

13 VIII 44 - niedziela

Rano, w podziemiach drapacza chmur (jedyne 16-piętrowy dom w przedwojennej Warszawie, zwany Prudentialem, wzniesiony przez angielskie towarzystwo ubezpieczeniowe Prudential, przy placu Napoleona 9 - obecnie plac Powstańców Warszawy) odprawiona została Msza święta. Ołtarz był przykryty biało-czerwonymi sztandarami z ryngrafem. Zebrani tu, przeważnie harcerze, niektórzy z bronią, w tygrysy płachtach, polskie sztandary, polskie pieśni po tylu latach nie w ukryciu, ale głośno i oficjalnie śpiewane. Wszystko to tak nas wzruszyło, że z trudem hamowałyśmy łzy. Kiedy jednak na zakończenie, w postawie na baczność, odśpiewali gromko: *Boże, coś Polskę...*, rozbeczałam się nie mogąc dłużej opanować wzruszenia i szczęścia. Poczułam, że stoimy na małym skrawku wolnej Polski, wśród samych swoich, dobrych i życzliwych.

Harcerska pocztą

“Wacka” poszła jako sanitariuszka do oddziałów GS, my z “Fifiną” zostajemy na poczcie. Listy - to małe karteczki, które trzeba segregować według dzielnic, a następnie dostarczyć do punktu harcerskiego danej dzielnicy. Nie wszędzie można się dostać, ale trzeba szukać okazji. Poznałyśmy cały zastęp pocztowy i zakwaterowałyśmy się u nich w drapaczu.

... Wieczorem, w tym samym lokalu, gdzie rano była Msza św., odbył się kominek harcerski, taki prawdziwy, głośny, oficjalny, z miłą, serdeczną, atmosferą. Harcerstwo żeńskie nie ujawniło się. My, jako poczeciarki, podlegamy komendzie męskiej i wolno nam się ujawnić, to znaczy nosić przypięte krzyże harcerskie. Bardzo dumne jesteśmy z tego.

Krzyż oczywiście zabrałam i mam go przy sobie.

14 VIII 44 - poniedziałek

Dziś pierwszy dzień pracowaliśmy na poczcie w gmachu "drapacza". Zaczynamy o 6:30 rano, bo pracy jest bardzo dużo. Stołujemy się w stołówce harcerskiej przy "drapaczu", prawie naprzeciw Pasiaki. Pasiaka jest przy Świętokrzyskiej 38. Produkty żywnościowe, które dostałyśmy od Toli na Mokotowie, oddałyśmy dla Komendy Pasiaki.

Wieczorem był znowu kominek, prowadzony przez druha Jerzego. Na kominki przychodzą wszyscy harcerze: GS-y z pierwszej linii w hełmach i z bronią, Zawiszacy, których nigdzie nie brak - robią wszystko. Mamy tu fortepian, na którym druh Jerzy gra nasze harcerskie piosenki. Ja też musiałam dziś trochę grać, bo Fifina i druh Jerzy zdradzili, że gram.

16 VIII 44 - środa

Dziś poczta jest nieczynna, więc dłużej spałyśmy, żeby odespać.

Wysłałam dziś do Biuletynu Informacyjnego ogłoszenie, żeby ewentualnie w domu dowiedzieli się o mnie. Druh Jerzy obiecał załatwić, żeby przedzej poszło.

W nocy przenosiłam pocztę za Aleje Jerozolimskie. Jest duży ostrzał. Pocztę przenieśliśmy do gmachu Poczty Głównej. Dostałyśmy specjalne przepustki pocztowe, bez których nie wpuszczają na teren poczty, a także legitymacje łączniczek - małe, niebieskie karteczki z pseudonimem i z poleceniem wszystkich komórek AK, by nam ułatwiali zadania. Trzeba je nieraz pokazywać przy barykadach, na przykład na Nowym Świecie. Zgoda 15 zostało całkowicie zajęte dla nas. Mają tu być chorzy, poza tym przyszło tu też trochę GS-ów i BS-ów. Okropne jest sprzątanie tych pomieszczeń pełnych gruzów, przy braku wody i bez wielu potrzebnych przyrządów. Zwłaszcza, że nie wiadomo na jak długo. Może za kilka godzin pocisk wszystko rozwali. Czasami mamy dyżury na szczycie drapacza. Zapisujemy wszystko, co widzimy, przede wszystkim na Pradze. Czasem, zwłaszcza na początku, widać było samochody i czołgi, prawdopodobnie radzieckie.

17 VIII 44 - czwartek

Dziś pracowaliśmy już w gmachu poczty. Przed południem było bardzo dużo pracy. Każda dzielnica ma swój worek, ale dzielnice są wyznaczone według możliwości dojścia do nich, więc trzeba się orientować, gdzie znajduje się dany numer domu, żeby do odpowiedniego worka list włożyć. Listów są setki. Te listy nie mogą czekać, są nieraz pierwszą wiadomością, że syn żyje i walczy. Równie często, że poległ. Spieszyłam się, nie byłam nawet na obiedzie. Kiedy zostałam sama, zrobiło się cicho i myszy powychodziły z dziur, przebiegały po podłodze, siadały, przyglądały mi się, zupełnie nie wystraszone.

Niektóre listy są cenzurowane. Cenzura jest u pp. Góreckich. Te listy przychodzą już ze stemplem: cenzurowane. Mamy też nasze stemple poczty polowej, a także różne stemple harcerskie. Kilkoma my stemplujemy, a niektóre listy przychodzą już z innymi stemplami. Po skończonej pracy podstemplowałam kilka pocztówek i kopert naszymi stemplami. Schowam na pamiątkę, będą dla Zdzicha, bo on zbiera znaczki.

18 VIII 44 - piątek

Rano jak zwykle zaniósłam pocztę na Powiśle. Po drodze widzę w bramie przy ul. Wareckiej księdza biskupa Adamskiego, odprowadzającego Mszę świętą. Za patenę służy mu spodeczek, a za kielich - zwykły kieliszek do wina. Opłatki są małeńkie jak dwugroszówki.

Przedpołudnie upłynęło mi na poczcie. Szyfrowaliśmy listy, które ktoś przepływając Wisłę dostarczy na Pragę. Druh "Jerzy" tylko dwie z nas wtajemniczył w szyfr, więc musiałyśmy wszystko same zaszyfrować. Listów było dość dużo. Dlatego miałyśmy polecenie szyfrowania bardzo krótkich wiadomości (na przykład, że żyje) i opuszczania wszystkich innych, które list zawierał. Ale jak nie podać takich zawartych w listach wiadomości, jak wieści o znajomych i krewnych, prośby o coś lub nawet kilku gorących, serdecznych słów, jakie adresat skreślił do rodziny? Siedzimy więc długo, bo nie możemy zdecydować, co opuścić, i prawie wszystko tłumaczymy na język szyfru. Te listy i tak przeważnie nie są długie, skreślone w pośpiechu, na kolanie, może w krótkiej przerwie w czasie walki.

Po południu wskoczyłam na chwilę do pp.

Góreckich umyć się.

20 VIII 44 - niedziela

Poległ druh "Piotr" i dzisiaj był apel żałobny. Druh "Piotr" był, zdaje się, zastępcą Naczelnika Harcerzy.

Nasza kwatera na Zgoda spaliła się, więc przeniosłyśmy się na Szpitalną. Ruch odbywa się w większości piwnicami. Są one wyznakowane, tzn. podane są numery domów, wskazane przejścia na drugą stronę ulicy, trzeba wyjść z bramy i przebieć wzdłuż barykady lub przekopem. Ponieważ przejścia są tylko tam możliwe, często trzeba spory kawał drogi nadrobić, żeby się przedostać do domu na przeciw.

"Myszka" i "Fifina" są nadal chore, więc po południu zajmowałam się nimi.

Nocami przenosimy pocztę i prasę za Aleje. Jak dotąd zawsze szczęśliwie. Czasami, jak jest silny ostrzał, musimy długo czekać na przejście. Wtedy wracamy nad ranem, a najpóźniej o 7 musimy być już na poczcie, więc czasem się nam oczy kleją.

23 VIII 44 - środa

Od 5 rano był bardzo silny ostrzał placu Napoleona i Nowego Świata. Ostrzeliwują tzw. "krowami" i wszelkimi pociskami. Ranę wstąpiłam do kościoła. Szkło i gruzy sypały się na ołtarz, a krzyż spadając skaleczył księdza w głowę. Ciągłe huki, wybuchy pocisków, nieustanne detonacje i serie z broni automatycznej powodują taki hałas, że chwilami trudno się porozumieć. Przed wybuchem "krów" - słychać "nakręcanie pocisków". Wszyscy wtedy chowają się do bram i liczą. Po ośmiu sekundach jest tyle wybuchów, ile było nakręceń. Dzisiaj chcąc gdzieś przejść nie można się chować i uciekać, bo pociski rozrywają się bez przerwy. Kiedy tam szłam, spotkałam kuzyna "Baśki", który mnie siłą wciągnął do bramy, bo nie zwracałam uwagi na "nakręcanie". Brama chroni tylko przed odłamkami. Pocisk uderzył w bramę na przeciw. Nie widziałam wtedy, że tam zasypało druha "Jerzego" i "Fifinę". Na szczęście jakoś się wygrzebali.

Potem byłam z pocztą na Powiślu. Po drodze wstąpiłam po bluzkę. Po południu segregowaliśmy rozkazy druha "Wojtka", który

zastępuje teraz druha "Piotra". Postanowiliśmy każdą wolną chwilę wykorzystywać na ratowanie zasypanych.

Będziemy chodziły z BS-ami jako patrol sanitarny. Uzyskałyśmy na to pozwolenie. Oczywiście obsługa poczty jest naszym pierwszym zadaniem. Tylko czas pozostający poza pracą pocztową wykorzystamy na to. W okolicy strasznie wałęsają się i jest bardzo wiele zasypanych.

Zginął na barykadzie druh "Jacek", w sposób identyczny jak jego poprzednik, w 24 godziny po objęciu po nim stanowiska. Stał na barykadzie i roztrzaskali mu głowę. Leżał w trumnie w pokoju przybranym żałobnie, z mnóstwem kwiatów (skąd je wzięli?). Harcerze trzymali straż przy trumnie. Późnym popołudniem był pogrzeb. Za trumną przez piwnice, przekopy, dziury w płotach wił się nieskończenie długi wąż harcerzy i harcerek, wśród ciągłych ogłuszających detonacji i wstrząsów. Pogoda była śliczna, słońce grzało i zachodząc ostatnimi promieniami żegnało znowu jednego, który odszedł na wieczną wartę. Druhu Irka, jego żona, była bardzo spokojna i opanowana. Tak krótko żyli razem.

25 VIII 44 - piątek

Nadal okropny ostrzał. Oni systematycznie wykańczają dzielnicę po dzielnicy, dom po domu. Teraz przyszła kolej na Śródmieście.

29 VIII 44 - wtorek

Nie pisałam kilka dni, bo dosłownie nie ma chwili spokoju, żeby można było usiąść i pisać.

Dano nam do wyboru rozmaite funkcje. Poczta już nie czynna, bo dostęp już mało gdzie jest możliwy, a pomieszczenie, gdzie pracowałyśmy, zupełnie zdemolowane. Przypadkowo, i na szczęście nikogo z nas tam nie było. W pokoju zostały gołe cegły, brak okien i drzwi a na środku leży kupa gruzu. Wpadły dwa pociski. Nawet nie zdążyłybyśmy wyskoczyć, chociaż właściwie i tak nigdy nie wychodziłyśmy jak słyszałyśmy "nakręcanie". Stołówkę też rozwalili i był jeden dzień przerwy. Teraz już trochę uprzątnęli. Z żywnością już całkiem krucho, panuje biegunka, brak wody.

Zdecydowałam się być kurierką, miałyśmy wyjść z Warszawy z rozkazami. Tym czasem

polecono nam dokładnie przestudiować mapy okolic Warszawy.

Byliśmy też z BS-ami "Mietka", które awansowały na GS-y, odkopywać rannych przysypanych po drugiej stronie Marszałkowskiej. Wszędzie chaos i zamieszanie. Załamani ludzie, którzy nam wygrażali jak obłąkani, staruszka, która ciągle szukała jakichś dokumentów, młody człowiek, który z bucikiem żony w ręce siedł środkiem ulicy i wołał na barykady, matka spazmująca nad popielatymi zwłokami córki, wyciągniętej spod gruzów z powykręcانymi nad głową rękami, które nie dały się ułożyć wzdłuż ciała, i wiele podobnych widoków. Ludzie patrzą na nas z niechęcią, nas winią zamiast Niemców. Chłopcy dokazywali cudów wydobywając spod gruzów, z narażeniem życia, niestety same trupy.

Powstańczy wrzesień

2 IX 44 - sobota

Co się z nimi dzieje, czy żyją? Zginęła "Zenka" przy przejściu przez Aleje. Kiedy przeskakiwała przez rurę wodociagową w przekopie, wystawiła głowę i przestrelili jej skroń. Musieli wiedzieć o tym niebezpiecznym miejscu. Był podobno przy tym przypadku jej kuzyn, ale nic nie udało się zrobić. "Mirka", "Danka" i "Nusia" poszły na drugą stronę Marszałkowskiej. "Mirka" i "Danka" wróciły ranne. "Nusia" nie wróciła. Strasznie tam rąbią. Poszłam z "Mirką" szukać "Niusi". Znalazliśmy tylko jej torebkę. Boimy się najgorszego. Same ledwo szczęśliwie stamtąd wróciłyśmy. Nieustający huk, świst, walące się domy, krzyki i nawoływania, lecące bomby, zamęt i zamieszanie towarzyszą wykańczaniu tej dzielnicy przez Niemców. Ludzie biegiem wynoszą na noszach rannych, usuwając ich z zagrożonych ulic. Ledwo weszliśmy tam, przebiegło obok nas dwóch ludzi z noszami. Jęczał na nich mężczyzna z raną w głowie, z której zwieszał się płat kory mózgowej i podskakiwał przy każdym ruchu. Widok był okropny, chociaż już niejedno widziałam. Potem już coraz więcej rannych, zabitych, części ciał ludzkich i zwierzęcych porzrzucanych wokoło. Tak chyba wygląda piekło.

Rozwalili nam kuchnię. Śniadania nie było, obiad na stojąco na podwórzu stołówki, a kolacja

w Pasiece. Podziwu godne są te kucharki, które w takich warunkach jednak coś przygotowały.

Dziś rozpoczął się dla kurierów i łączniczek kurs samochodowy. Przyznam szczerze, że nie wiem po co i pierwszy raz zwątpiłam w rozsądek niektórych ważniaków.

3 IX 44 - niedziela

Piekło zaczyna się i u nas. Dostałyśmy rozkaz, by się spakować i czekać w korytarzu domu, w którym mamy kwaterę. Trwa okropne bombardowanie pociskami wszelkiego kalibru. Chciałam wyjść na ulicę z apteczką, ale mi nie pozwolono. A na placu Napoleona huk nieustanny rozrywających się pocisków, ogień, krzyki, nawoływania szukających się członków rodzin, jęki rannych, na wpół oszaleli ludzie biegną bez ubrań, które im podmuch zdarł, bez celu, byle dalej. W zaspanych bramach co silniejsi wydostają się po trupach, po rannych i żywych tratując z całą bezwzględnością słabszych, by cali od stóp do głów popielaci, z czerwonymi strużkami krwi uciekać, nie wiadomo często dokąd i po co.

Dreczę mnie niepewność, co z moją rodziną. Dlaczego nie przeszli, jak inni, kanałami? Kiedy ostatnio byłam z "Fifiną" u pp. Góreckich i z okien ich domu patrzyłam na palące się Stare Miasto, powiedziałam "Fifinie", że mam przecucie, że domu już nie zobaczę i nigdy do niego nie wrócę, bo go już nie ma.

Wieczorem ostatecznie przeszliśmy za Aleje. Setki ludzi czekało na przejście, by wydostać się z tego piekła. My, jako wojskowi, mieliśmy pierwszeństwo, niedługo czekaliśmy na przejście.

4 IX 44 - poniedziałek

...Z braku czegokolwiek do gryzienia (jemy same zupy) bolą nas zęby. Najbardziej odczuwamy brak jakichkolwiek jarzyn, również ziemniaków, które wydają się niedoścignym marzeniem. Podobno przy Instytucie jest ogród i "Janka" miała nadzieję, że może tam coś dostanie. Największym jednak naszym marzeniem jest znaleźć się w lesie, położyć na zielonej trawie, patrzeć na czyste, pogodne niebo i wsłuchiwać się w ciszę. Nie doceniałam dotychczas, jak wielkim szczęściem jest posiadanie pod dostatkiem wody do mycia, czystej pościeli na łóżku i czegokolwiek do jedzenia, choćby

ziemniaków z solą, a przede wszystkim ciszy i braku poczucia zagrożenia. Wydaje mi się, że jeśli to będę miała, to powinno mi wystarczyć. Teraz mi się tak wydaje.

Dzięki działalności "Peżetek" z żywnością jest tu trochę lepiej. U "Peżetek" zawsze można w południe dostać filiżankę zupy, a co najważniejsze kawę o każdej porze. Nieraz dokuczało nam pragnienie, ta kawa jest więc bardzo ważna. Wody brakuje wszędzie. Od drugiej w nocy ludzie czekają w kolejce po wodę, która gdzieś tam kapie po kropli z jakiegoś kranu na podwórzu. Napełnienie jednego wiadra trwa 20 do 30 minut, a dziesiątki wiader stoją szeregiem i czekają swojej kolejki.

...Drużyny żeńskie, chociaż się nie ujawniły, spełniają wiele bardzo pożytecznych funkcji. Wszędzie spotykamy ślady ich działalności. Opiekują się dziećmi w piwnicach, zajmują się nimi, dostarczają żywność. Kręcą się między ludźmi, dodają otuchy, zajmują się chorymi, łagodzą spory, dostarczają gazetki. Wykonują setki drobnych pomocniczych prac, zupełnie anonimowo. Kiedyś zdziwiłyśmy się widząc wzorowo utrzymane toalety w kwaterze harcerskiej. Przy całym braku wody było to zadziwiające. Powiedziano nam, że zgłosiła się taka jedna harcerka i sama zaproponowała, że się tym zajmie. Trochę mnie zatkało, kiedy to usłyszałam. Wiele słyszy się obecnie, o takich poświęceniach. Zaimponowała mi. Kiedy jest tyle innych efektownych prac, ona wybrała te niewdzięczną, ale jakże pożyteczną. Może i trochę czułam wstydu, bo nie jestem taka pewna, czy ja też bym tak zrobiła, gdybym była na jej miejscu.

Harcerki nie noszą żadnych znaczków, nawet lilijek. Czasami mają jakieś znaczki umowne, nic nie znaczące dla otoczenia, po których się poznają. Tak samo przed Powstaniem poznawali się harcerze w Warszawie. Czasem były to szpileczki z kolorowymi główkami wpięte po trzy do kłapy ubrania. Pierwsza miała kolor hufca, druga drużyny, trzecia zastępu. W okresie żałoby po gen. Sikorskim nosiłyśmy przy bluzeczkach lub sukienkach czarne aksamitki. Czasem znowu w tramwaju, na ulicy czy w innych jakichś miejscach składało się trzy palce trzymając uchwyt w tramwaju, niby przypadkowo, a zastępowało to ukłon harcerski, polegający na podniesieniu trzech palców prawej ręki.

Przejście kanałami

12 IX 44 - wtorek

Na Czerniakowie spodziewają się końca. Na nich teraz kolej. Niemcy są bardzo systematyczni, wykańczają po jednej dzielnicy, koncentrując na niej ogień z wszystkich możliwych rodzajów broni. Jest tu również "Mietek" ze swoimi chłopcami. Niestety jednego z nich rozszarpał granat, z którym obchodził się nieostrożnie. Dostałyśmy skarpety, chusteczkę do nosa, bawełniany sweter, rękawiczki i po dwa koce. Potem jeszcze coś niecoś żywności, map i innych potrzebnych drobiazgów, i z tłumoczkami z przodu i z tyłu poszliśmy do wjazdu kanałowego. Torebkę z papierami i znaczkami umieściłam sobie wysoko pod szyją. Przed wejściem do kanału oglądano nas. Mnie nie chcieli wpuścić, bo przejście jest rzekomo zbyt trudne, a ja jestem za słaba i albo zostanę w kanale, albo co najmniej rzucę w nim bagaże, co jest niedopuszczalne, bo zapycha kanał. Z wielkim trudem udało się porucznikowi "Filowi" przekonać tego wojskowego, który wpuszczał do kanału, żeby się zgodził na moje przejście, ja zaś zapewniłam, że na pewno bagażu nie rzucę. Co do tego, czy nie zapcham kanału własnym ciałem, nie mogłam oczywiście nic powiedzieć. Z wielką niechęcią zgodził się na moje przejście.

Wchodziliśmy do kanału o godzinie 12, pojedynczo, z uzbrojoną obstawą z przodu i z tyłu. Zabroniono rozmawiać i palić światła. Wejście do kanału było tak zamaskowane, że nikt nie orientował się, gdzie się ono znajduje, na jakiej jesteśmy ulicy. Po zejściu do ciemnego otworu stanęłam na desce, z której trudno było zejść do wody sięgającej do pasa. A tu ciemno, trudno się zorientować, jak głęboko i jak wysoko. Skoczyłam na oślep do wody. Oczywiście poślizgnęłam się na śliskim dnie, upadłam i skapałam się po szyję w wodzie. Potem szłam wolno za innymi z rozstawionymi na całą długość rękoma, dotykając palcami ścian kanału, co pozwalało łatwiej utrzymać równowagę i orientację co do kierunku. Nierówne, okrągłe, śliskie dno powodowało dość częste upadki, zwłaszcza że było zupełnie ciemno i nie było nic widać. Woda szumiała, a ciągnięcie nóg po niej potęgowało ten szum. Co pewien czas stawaliśmy i szeptem odliczaliśmy. W niektórych



miejscach pokazywano nam światełka w odnogach kanału. Były to włazy pod aleją Szucha, nad którymi stali Niemcy. Te odcinki przechodziliśmy pojedynczo. Potem zaczęły się różne budowane przez Niemców przeszkody, w których nasi saperzy robili przejścia. Miejscami poziom wody gwałtownie się wznosił, w innym miejscu prąd był tak silny, że zwałł z nóg i zmywał. Trzeba tam było przy pomocy liny wciągnąć się na pomosty pochyłe i śliskie, umieszczone nad poziomem wody. Godziny wlokły się nieskończenie. Jeszcze drewniana barykada zasłaniająca całkowicie przejście, u szczytu której był wyrąbany otwór. Jakim cudem, z ciężkimi tobołkami, pochwycona przez kogoś dostałam się tam na górę i przecisnęłam się otworem - nie wiem. Pod koniec jeszcze szeroki słup wody lejący się z siłą z góry i przytłaczający do dna, przemoczył nas całkowicie. Ostatni odcinek stanowił mały kanał, przez który przechodziło się w kucki. Na szczęście był suchy. Te otwory, liny, ułatwienia - to dzieło naszych saperów.

Gdy podchodziliśmy do wyjścia, nie mieliśmy siły samodzielnie wyjść z włazu. Dwóch silnych żołnierzy wyciągało nas pod pachy. Ziemiste, zielonosine cery były wynikiem zatrucia wyziewami, zmęczenia i przemarznięcia. I tu brak wody, więc mycie było bardzo pobieżne. Wyruszyliśmy na poszukiwanie kwatery harcerskiej. Okazało się jednak, że tu bawią się jeszcze w biurokrację (na razie działania są minimalne), i bez przepustek nie wolno nam się ruszać. Zaczął mżyć deszcz. Przemarznięci, w mokrych ubraniach czekaliśmy na przepustki. Nim je otrzymaliśmy, było już ciemno. W kanale byliśmy 5 do 6 godzin.

Wreszcie odnaleźliśmy kwaterę harcerską z druhem "Olgiardem" i po kolacji (z jarzynami) poszliśmy spać.

14 IX 44 - czwartek

Dowiedziałam się, że "Sawa", drużynowa Czerwonej Trójki, nie żyje. Zginęła pod gruzami. Ojciec jej przyniósł piękne czerwone kwiaty i położył na gruzach. Te małe wille mokotowskie trafione przez pocisk lub bombę rozsypują się całkowicie i zasypują ludzi tak, że najczęściej nie można ich już odkopać.

Po południu byliśmy znowu w kwaterze harcerskiej na podwieczorku z piernikami. Odnalazłam moją kuzynkę z mężem. Dali mi buty Mariana, bo Zosia miała tylko na wysokim obcasie. Moje sandały mają dziury na wylot. Zapychałam je złożonym papierem, ale wszędzie pełno szkła i gruzu, więc nie na długo to wystarczało. Półbuty po kanale musiałam wyrzucić. Buty Mariana są sporo za duże, ale wypchałam czubki papierem i wygodnie mi się chodzi.

Podobno Praga zajęta jest przez Rosjan. No, jeśli tak, to już pewnie niedługo.

Spotkałam "Marka" (naszego rannego), obydwaj z "Tadeuszem" są już zupełnie zdrowi i walczą dalej. We wtorek spotkałam Inkę Rozanowicz z naszej klasy. Jest łączniczką. Nie wiedziałam, że pracowała w konspiracji.

Wieczorem był harcerski kominek.

Podobno po naszym przejściu kanały zostały zniszczone ...

Z PAMIĘTNIKA ŁĄCZNICZKI

(Fragmenty z książki *Pamiętnik Inki*, wydanej w roku 1986 w Londynie)

...Noce są straszne, krwawe od łun płonącego miasta, rozbrzmiewają hukami nieustannym artylerii, łomotem "Tygrysów" i "Goliatów". Coraz więcej gruzów przybywa, coraz szerszy pas ognia wokoło. Czekamy na niewiadomą przyszłość, jesteśmy jak w klatce. Wyjścia stąd nie mamy. Nasza przestrzeń życiowa - to kilkanaście bloków.

Rano rozpoczynamy nową pracę. Zasadniczo mamy zająć się opieką nad ludnością cywilną, pilnować stanu higienicznego schronów (!) i piwnic, specjalnie doglądać dzieci i matek, a poza tym mamy sporządzać różne statystyki dla starostwa warszawskiego.

Odbywamy beznadziejne wędrówki po zburzonych domach, po schronach i piwnicach, rozmawiamy z ludźmi. Przy wybuchach artylerii pytamy, spisujemy, obiecujemy pomoc, wyjaśniamy. Ewidencje dla starostwa, wykazy dla Ośrodka Zdrowia i Opieki Społecznej - ale każda godzina zmienia stan faktyczny. Przybywają nowi ewakuowani, giną dziesiątkami zasypani w piwnicach. Smutne, przeraźliwe smutne obrazy stoją nam przed oczami. Ludzka nędza, taka straszna, brudna, przerażona i zacięta. Już tak mało człowieczeństwa pozostało w tych ludziach. Patrząc na nas wilkiem - bo to przez nas, powstańców, stało się całe nieszczęście. A oni cierpią najwięcej. Słychać narzekania, skargi, często przekleństwa rzucane w naszą stronę.

Czyż można im się dziwić? Ludzie ci od pierwszego dnia Powstania nie wyjrżeli poza piwnice. Są głodni, zmęczeni, brudni, mają małe dzieci obok siebie, lub gryzą się z troski o pozostawione w innych dzielnicach miasta rodziny.

Chodzimy po zawalonych gruzami ulicach, chowamy się co chwila przed niemieckimi strzelcami wyborowymi, wpadamy do bram w czasie nalotów. W górze zadymione stale słońce, niebo czarne, pełne kłębiastych chmur dymu.

Jak wygląda czysty, sierpniowy błękit? Jak

wygląda zielona łąka, jak las, pole? I co to jest cisza?

Atak niemiecki na Stare Miasto potęguje się stale. Którejś nocy zaczęły na Miodową spadać nieznane jeszcze pociski. Koszmarna noc. W szpitalach konali przynoszeni ranni i poparzeni. To miotacze min zaczęły swoją niszczycielską robotę nad resztkami Starego Miasta.

Z przeraźliwym, charakterystycznym wyciem przy nakręcaniu - nazywaliśmy to "przesuwaniem szaf" ... raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć - liczyło się obroty - a teraz: gdzie upadną? Padały blisko, bardzo blisko, zasypywały nas gruzem i pyłem, przyginały setki ludzi w bramach, w piwnicach, w schronach. Nie było ratunku przed tymi minami. Właściwie wszelka praca nie miała celu, ni sensu.

W nocy z 18 na 19 sierpnia rozpoczął się skoncentrowany, piekielny atak na Starówkę. Waliły moździerze, miotacze min, artyleria, pancernik z Dworca Gdańskiego. A od wczesnego rana szalały nad dachami i ruinami sztukaszy. Ale walczyliśmy - już o gruz, ale walczyliśmy.

Wracamy na dawną kwaterę na Długą 23. Przygnębienie i niepokój: czy uda się nam wydostać z tej pułapki? Jeszcze jedna szansa mniej. Wiemy dobrze, że jesteśmy ściśnięci na niewielkim skrawku Starego Miasta i wyjścia właściwie nie ma. Ale decyzyjnie też nie ma.

Rozpoczął się koszmarny dzień 1 września. Siedzę na materacu pod ścianą i czekam na rozkazy. Podłoga zasypana gruzem. Jesteśmy wszyscy siwi od kurzu i pyłu, który zgrzyta między zębami, pali w oczach. Zmęczenie nieludzkie, zdenerwowanie, otepienie. Normalny zresztą obrazek po niedawnej serii sztukasów.

To pierwszy września 1944 roku. Od wczesnego ranka Niemcy szaleją nad Starówką. Co dwadzieścia minut nalot bombowy, artyleria wali bez przerwy, "szafy" zgrzytają, "Tygrys" z Miodowej bije w stronę placu Krasińskich.

Z Pasażu Simonsa przychodzą tragiczne wiadomości: setki ludzi znalazło się pod gruzami solidnej, żelazobetonowej konstrukcji. Tak przywaleni, że mowy nie ma o wydostaniu ich spod ruin. Proszą o pomoc, dają znać, że żyją, jęczą, konają powoli z braku powietrza ... straszna śmierć.

Tego dnia zginął "Kiełbasa" - Mietek Podgórski - najdzielniejszy żołnierz majora "Sosny". Przynieśli go koledzy, ciężko rannego. Dostał z granatnika, miał moc okaleczeń na całym ciele i jeden, niewinnie wyglądający odłamek w lewym boku.

Major kazał zanieść "Kiełbasę" do szpitala na Miodowej 24, skreślił sam kilka słów do lekarza z poleceniem zrobienia wszystkiego, aby chłopiec został uratowany. Powierzył mi opiekę na rannym. Dwóch kolegów wzięło nosze i poszliśmy do szpitala. Przedzieraliśmy się przez gruzy i rumowiska, pod barykadami, nie zważając na obstrzał i na naloty - takie to było nieważne wobec faktu, że tu, obok, cierpi nasz kolega, że trzeba mu jak najspieszej pomóc.

Bniemy na Miodową 24, ale tu już cały szpital ewakuowany. Jest tylko dr "Klaudiusz" - daje rannemu uspokajające środki i skierowuje nas na Długą 7, do szpitala, gdzie jest jeszcze chirurg. Mietek bredzi, rzuca się na noszach, błaga o wodę. Nic nie możemy pomóc. Na Długiej odnajdujemy "salę operacyjną" - w piwnicy. Jest pielęgniarka, jest chirurg i są liczni ranni czekający na swoją kolejkę "na stół". Proszę pielęgniarkę, aby obejrzała jak najprędzej Mietka. Ale nadszedł już chirurg, zbadał go i powiedział po prostu:

- Nie ma co operować...najwyżej dwie godziny jeszcze.

Wydał pielęgniarce polecenie zastrzyknięcia morfiny i odszedł do innych rannych.

Nadchodzi wieczór. Jeszcze jeden wieczór płonący łuną pożarów, napełniony trzaskiem walących się murów, padających domów, wybuchów i strzałów. Jeden z najcięższych dni Powstania kończy się powoli.

Czerwone niebo stanowi niesamowite tło, na którym rysują się fantastyczne ruiny Starego Miasta.

Jesteśmy w pogotowiu do wymarszu. Tej nocy mamy przejść kanałami do Śródmieścia. Uda się? To już ostatnia nasza szansa - i ostatnia chwila.

Właz do kanału jest pod obserwacją Niemców. Ludzie w plutonie pogodzeni ze śmiercią.

"Miś" mówi: - Krysiu, zatrzymuję w pistolecie dwa ostatnie naboje, czy zgadzasz się?

Wiem, o co chodzi. Jest mi wszystko jedno, kto wie, co nas spotka, jeżeli nie dojdziemy do Śródmieścia. A śmierć nie jest straszna po tym wszystkim... Czyż może być coś przerażającego po tym piekle kilkutygodniowym? Żal trochę, że może już nie zobaczę błękitnego, pogodnego nieba i zielonych łąk. Ale chyba będzie lepiej? Kto wie co jest przede mną - nawet jeśli wyjdę cało z Powstania?

Ostatni nasz dzień na Starówce kończy się. Po szczytowym ataku Niemców musimy opuścić Stare Miasto, gdzie broniliśmy się przez 30 dni. Nic tu już nie zostaje: ruiny, gruzy dymiące, płonące, trupy zasypane żelastwem i kamieniami. I ci, co nie mogą być ewakuowani kanałami.

Północ. Plac Krasieńskich oświetlony ogniem. Tutaj znajduje się wejście, właz do kanałów.

Ciche cienie pełzną w tę stronę. Zbliżamy się powoli, jedno za drugim, bez szmeru, bez słowa. Każdy ma tylko chlebak w rękę i broń - nic więcej zabierać nie wolno.

Zostawiamy płonące zgłiszcza naszej reduty. Ciche cienie nikną kolejno w otworze włazu. Nadchodzi moja kolej. Na kolanach czołgam się popod barykadą. Rakiety niemieckie oświetlają plac. Widzę okrągły otwór i słyszę szept "Misia": - Uwaga, staraj się znaleźć drabinę!

Zaczepiam się rękoma o krawędź, a nogami szukam pierwszego szczebla. Spuszczam się w ciemność. Dobrych parę metrów głębokości. Drabinka kończy się - trzeba skoczyć. Trafiam na twardy grunt - i wpadam zaraz w bystry prąd zimnej, brudnej, śmierdzącej wody. Duszący zapach siarkowodoru. Oddycham z trudnością, ciemno, nic nie widać. Posuwam się i dołączam do kolegów. Czekamy na resztę i wszyscy razem rozpoczynamy marsz podziemny. Posuwamy się wolno, jedno za drugim, trzymając się za ubrania lub za pasy. Nie wolno zapalać światła, nie wolno rozmawiać.

Miejscami kanał jest bardzo niski: 60 cm. Trzeba się zgiąć wpół, kark boli, plecy drętwią, głowa uderza od czasu do czasu o oślizgły, mokry mur. Każdy krok rozbrzmiewa chłupotem i rozlega

Z PAMIĘTNIKA ŁĄCZNICZKI

(Fragmenty z książki *Pamiętnik Inki*, wydanej w roku 1986 w Londynie)

...Noce są straszne, krwawe od łun płonącego miasta, rozbrzmiewają hukami nieustannym artylerii, łomotem "Tygrysów" i "Goliatów". Coraz więcej gruzów przybywa, coraz szerszy pas ognia wokoło. Czekamy na niewiadomą przyszłość, jesteśmy jak w klatce. Wyjścia stąd nie mamy. Nasza przestrzeń życiowa - to kilkanaście bloków.

Rano rozpoczynamy nową pracę. Zasadniczo mamy zająć się opieką nad ludnością cywilną, pilnować stanu higienicznego schronów (!) i piwnic, specjalnie doglądać dzieci i matek, a poza tym mamy sporządzać różne statystyki dla starostwa warszawskiego.

Odbywamy beznadziejne wędrówki po zburzonych domach, po schronach i piwnicach, rozmawiamy z ludźmi. Przy wybuchach artylerii pytamy, spisujemy, obiecujemy pomoc, wyjaśniamy. Ewidencje dla starostwa, wykazy dla Ośrodka Zdrowia i Opieki Społecznej - ale każda godzina zmienia stan faktyczny. Przybywają nowi ewakuowani, giną dziesiątkami zasypiani w piwnicach. Smutne, przeraźliwe smutne obrazy stoją nam przed oczami. Ludzka nędza, taka straszna, brudna, przerażona i zacięta. Już tak mało człowieczeństwa pozostało w tych ludziach. Patrząc na nas wilkiem - bo to przez nas, powstańców, stało się całe nieszczęście. A oni cierpią najwięcej. Słysząc narzekania, skargi, często przekleństwa rzucane w naszą stronę.

Czyż można im się dziwić? Ludzie ci od pierwszego dnia Powstania nie wyjrżeli poza piwnice. Są głodni, zmęczeni, brudni, mają małe dzieci obok siebie, lub gryzą się z troski o pozostawione w innych dzielnicach miasta rodziny.

Chodzimy po zawalonych gruzami ulicach, chowamy się co chwila przed niemieckimi strzelcami wyborowymi, wpadamy do bram w czasie nalotów. W górę zadymione stale słońce, niebo czarne, pełne kłębiastych chmur dymu.

Jak wygląda czysty, sierpniowy błękit? Jak

wygląda zielona łąka, jak las, pole? I co to jest cisza?

Atak niemiecki na Stare Miasto potęguje się stale. Którejś nocy zaczęły na Miodową spadać nieznane jeszcze pociski. Koszmarna noc. W szpitalach konali przynoszeni ranni i poparzeni. To miotacze min zaczęły swoją niszczycielską robotę nad resztkami Starego Miasta.

Z przeraźliwym, charakterystycznym wyciem przy nakręcaniu - nazywaliśmy to "przesuwaniem szaf" ... raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć - liczyło się obroty - a teraz: gdzie upadną? Padały blisko, bardzo blisko, zasypywały nas gruzem i pyłem, przygniatały setki ludzi w bramach, w piwnicach, w schronach. Nie było ratunku przed tymi minami. Właściwie wszelka praca nie miała celu, ni sensu.

W nocy z 18 na 19 sierpnia rozpoczął się skoncentrowany, piekielny atak na Starówkę. Waliły moździerze, miotacze min, artyleria, pancerka z Dworca Gdańskiego. A od wczesnego rana szalały nad dachami i ruinami sztukaszy. Ale walczyliśmy - już o gruz, ale walczyliśmy.

Wracamy na dawną kwaterę na Długą 23. Przysłuchanie i niepokój: czy uda się nam wydostać z tej pułapki? Jeszcze jedna szansa mniej. Wiemy dobrze, że jesteśmy ściśnięci na niewielkim skrawku Starego Miasta i wyjścia właściwie nie ma. Ale decyzji też nie ma.

Rozpoczął się koszmarny dzień 1 września. Siedzę na materacu pod ścianą i czekam na rozkazy. Podłoga zasypana gruzem. Jesteśmy wszyscy siwi od kurzu i pyłu, który zgrzyta między zębami, pali w oczach. Zmęczenie nieludzkie, zdenerwowanie, ośpienie. Normalny zresztą obrazek po niedawnej serii sztukasów.

To pierwszy września 1944 roku. Od wczesnego ranka Niemcy szaleją nad Starówką. Co dwadzieścia minut nalot bombowy, artyleria wali bez przerwy, "szafy" zgrzytają, "Tygrys" z Miodowej bije w stronę placu Krasińskich.

Z Pasażu Simonsa przychodzą tragiczne wiadomości: setki ludzi znalazło się pod gruzami solidnej, żelazobetonowej konstrukcji. Tak przywaleni, że mowy nie ma o wydostaniu ich spod ruin. Proszą o pomoc, dają znać, że żyją, jęczą, konają powoli z braku powietrza ... straszna śmierć.

Tego dnia zginął "Kielbasa" - Mietek Podgórski - najdzielniejszy żołnierz majora "Sosny". Przynieśli go koledzy, ciężko rannego. Dostał z granatnika, miał moc okaleczeń na całym ciele i jeden, niewinnie wyglądający odłamek w lewym boku.

Major kazał zanieść "Kielbasę" do szpitala na Miodowej 24, skreślił sam kilka słów do lekarza z poleceniem zrobienia wszystkiego, aby chłopiec został uratowany. Powierzył mi opiekę na rannym. Dwóch kolegów wzięło nosze i poszliśmy do szpitala. Przedzieraliśmy się przez gruzy i rumowiska, pod barykadami, nie zważając na obstrzał i na naloty - takie to było nieważne wobec faktu, że tu, obok, cierpi nasz kolega, że trzeba mu jak najspieszniej pomóc.

Brniemy na Miodową 24, ale tu już cały szpital ewakuowany. Jest tylko dr "Klaudiusz" - daje rannemu uspokajające środki i skierowuje nas na Długą 7, do szpitala, gdzie jest jeszcze chirurg. Mietek bredzi, rzuca się na noszach, błaga o wodę. Nic nie możemy pomóc. Na Długiej odnajdujemy "salę operacyjną" - w piwnicy. Jest pielęgniarka, jest chirurg i są liczni ranni czekający na swoją kolejkę "na stół". Proszę pielęgniarkę, aby obejrzała jak najprędzej Mietka. Ale nadszedł już chirurg, zbadał go i powiedział po prostu:

- Nie ma co operować...najwyżej dwie godziny jeszcze.

Wydał pielęgniarce polecenie zastrzyknięcia morfiny i odszedł do innych rannych.

Nadchodzi wieczór. Jeszcze jeden wieczór płonący łuną pożarów, napełniony trzaskiem walących się murów, padających domów, wybuchów i strzałów. Jeden z najcięższych dni Powstania kończy się powoli.

Czerwone niebo stanowi niesamowite tło, na którym rysują się fantastyczne ruiny Starego Miasta.

Jesteśmy w pogotowiu do wymarszu. Tej nocy mamy przejść kanałami do Śródmieścia. Uda się? To już ostatnia nasza szansa - i ostatnia chwila.

Właz do kanału jest pod obserwacją Niemców. Ludzie w plutonie pogodzeni ze śmiercią.

"Miś" mówi: - Krysiu, zatrzymuję w pistolecie dwa ostatnie naboje, czy zgadzasz się?

Wiem, o co chodzi. Jest mi wszystko jedno, kto wie, co nas spotka, jeżeli nie dojdziemy do Śródmieścia. A śmierć nie jest straszna po tym wszystkim... Czyż może być coś przerażającego po tym piekle kilkutygodniowym? Żal trochę, że może już nie zobaczę błękitnego, pogodnego nieba i zielonych łąk. Ale chyba będzie lepiej? Kto wie co jest przede mną - nawet jeśli wyjdę cało z Powstania?

Ostatni nasz dzień na Starówce kończy się. Po szczytowym ataku Niemców musimy opuścić Stare Miasto, gdzie broniliśmy się przez 30 dni. Nic tu już nie zostaje: ruiny, gruzy dymiące, płonące, trupy zasypane żelastwem i kamieniami. I ci, co nie mogą być ewakuowani kanałami.

Północ. Plac Krasińskich oświetlony ogniem. Tutaj znajduje się wejście, właz do kanałów.

Ciche cienie pełzną w tę stronę. Zbliżamy się powoli, jedno za drugim, bez szmeru, bez słowa. Każdy ma tylko chlebak w rękę i broń - nic więcej zabierać nie wolno.

Zostawiamy płonące zgłiszcza naszej reduty. Ciche cienie nikną kolejno w otworze włazu. Nadchodzi moja kolej. Na kolanach czołgam się popod barykadą. Rakiety niemieckie oświetlają plac. Widzę okrągły otwór i słyszę szept "Misia": - Uwaga, staraj się znaleźć drabinę!

Zaczepiam się rękoma o krawędź, a nogami szukam pierwszego szczebla. Spuszczam się w ciemność. Dobrych parę metrów głębokości. Drabinka kończy się - trzeba skoczyć. Trafiam na twardy grunt - i wpadam zaraz w bystry prąd zimnej, brudnej, śmierdzącej wody. Duszący zapach siarkowodoru. Oddycham z trudnością, ciemno, nic nie widać. Posuwam się i dołączam do kolegów. Czekamy na resztę i wszyscy razem rozpoczynamy marsz podziemny. Posuwamy się wolno, jedno za drugim, trzymając się za ubrania lub za pasy. Nie wolno zapalać światła, nie wolno rozmawiać.

Miejscami kanał jest bardzo niski: 60 cm. Trzeba się zgiąć wpół, kark boli, plecy drętwieją, głowa uderza od czasu do czasu o oślizgły, mokry mur. Każdy krok rozbrzmiewa chłupotem i rozlega



Bohaterskich czynów dokonywały kilkunastoletnie dziewczęta-łączniczki

się echem po podziemiach.

- Cicho! Bez hałasu!

W górze czuwają Niemcy z granatami gotowymi do rzucenia. Cicho, jak najciszej. Nie wolno mówić, więc myślę. Przypomina mi się jakiś odległy moment z mego życia: byłam wtedy uczennicą w czwartej czy w piątej klasie. Czytałam "Nędzników" Wiktora Hugo. I ta scena, kiedy Jean Valjean znajduje się w kanałach paryskich - nie mogłam wtedy uwierzyć, że to prawda, że to możliwe aby człowiek znalazł się w ściekach! Nie, to wstętnie, to tylko fantazja pisarza! A teraz ja, która nie chciałam wierzyć - posuwam się w tej ohydnej, cuchnącej wodzie w kanałach warszawskich, aby żyć.

Idziemy, idziemy...woda podchodzi do kolan, do uda, do pasa. Trudno oddychać. Nogi trafiają na nieoczekiwane przeszkody: hełmy, broń, ubrania, czasem można się potknąć o trupa zatopionego w tej kloace.

Nareszcie ukazuje się w dali światelko. To wyjście. U kresu sił przybywamy do wjazdu. Szary ranek wrześniowy wydaje się olśniewająco jasny. Jest szósta rano. Ulica Warecka, róg Nowego Świata. Świeże powietrze jesienne. Możliwość

wyprostowania zdrewniałych pleców. Wyglądamy jak zjawy, brudni, zmoczeni. Woda chlupocze w butach zupełnie rozklejonych. Ale jesteśmy uratowani. Na jak długo?

Wydaje nam się spokojnie i bezpiecznie. Prowadzą nas łącznicy na nową kwaterę na Marszałkowskiej 125. Marzę o umyciu się. Ale i tu, w Śródmieściu, niełatwo o wodę. Więc zmęczeni kładziemy się na jakichś workach - część z nas zasypia, część miota się nerwowo.

Nadeszły znowu ciężkie dni. Wiedzieliśmy, że nikt nam już nie pomoże, że jesteśmy opuszczeni, zapomnieni, czy może zlekceważeni? I musimy ginąć powoli, samotnie.

Ślabiutką pociechę w ówczesne życie wprowadziła zapowiedź rzutów. Nieraz siadywałam nocami na czwartym piętrze domu przy ulicy Złotej 3 i dyżurowałam wypatrując: może na ciemnym tle nieba ukażą się wreszcie gwiazdeczki alianckich samolotów, może usłyszę z dala upragniony warkot?

Niestety... Wokoło paliły się domy, płonął Warszawa, moja ukochana Warszawa, tak dobrze znana, tyle razy przemierzana zmęczonymi nogami,

we wszystkie strony.

Z trzaskiem walą się mury, sypie się gruz. Godziny mijają. Noce mijają. Zmarznięta i senna schodzę o świcie, nie doczekawszy się niczego, idę z raportem do Komendy Głównej: "Nic do zameldowania!"

Wreszcie 18 września, w jasny dzień, ukazały się eskadry samolotów amerykańskich, spadł deszcz kolorowych parasoli. Bez przerwy waliła pelotka niemiecka, rzucili wiele zasobników - tylko mała część dostała się w nasze ręce. Ale entuzjazm powstał szalony: ludzie wylegli na ulice, śmiali się, płakali, tak jak gdyby zaświtała rzeczywistość nadzieja pomocy, wyzwolenia, ukończenia tej długiej męki.

Nikt nie zważał na odłamki granatów i artylerii. Z zapartym oddechem przypatrywaliśmy się spływającym z wolna spadochronom. Niektórzy twierdzili, że to desant, że nawet widać wyraźnie ludzi. Jak człowiek widzi, to co chce zobaczyć...!

Radość rozwiała się szybko, nadzieja przygaśła. Nocami wyczekiwaliśmy przy zapalonych ogniskach na rzuty. Co dzień chodziłam z meldunkami do Szefa Sztabu, ale co dzień te meldunki brzmiały niezmiennie: "Nie odebrano nic!"

Gdzieś od czasu do czasu spadały skrzynie z amunicją sowiecką, która rozsypywała się na bruku i stanowiła szmelc nie do użytku. Gdzieś od czasu do czasu spadały worki z czarnymi, połamanymi sucharami lub paczki zup w proszku. Nie poprawiło to jednak naszej sytuacji, nie zapobiegło szerzącemu się głodowi. Rozpoczęły się długie i uciążliwe wędrówki do browaru Haberbuscha po jęczmień. Jedliśmy gotowaną z niego okropną "zupe pluj" na śniadanie, na obiad, na kolację, piekliśmy gorzki, kłajstrowaty chleb, a w krótkim okresie zapijaliśmy to wszystko pierwszorzędnymi winami, likierami, szampanem pochodzącym z palących się browarów Braci Pakulskich na Brackiej.

Życie było coraz uciążliwsze. Godzinami wystawało się w kolejce po wodę, zdobywało się ją z trudem, więc też oszczędzaliśmy jej bardzo. Nikt nie miał prawa myć się zbyt dokładnie; toteż wydawało się, że już nigdy nie zdołam pozbyć się brudu i kurzu, który po prostu wrósł w skórę.

Zaczęły się chłody, deszcze. Nie mieliśmy

ciepłych ubrań ani obuwia. Nocami marzliśmy porządnie: szyb w oknach nie było już od dawna.

Ostatnie dni Powstania schodziły wolno i beznadziejnie. Czuliśmy, że to już koniec. Przed nami stała niewiadoma przyszłość. Oficerowie stali się małomówni. Nikt nie wiedział co nas czeka.

Nadeszła wreszcie wiadomość o zawieszeniu broni: ucichła artyleria, przestały latać sztukasy. Rzecz dziwna: można chodzić spokojnie po ulicach, nie czaić się za barykadami, nie szukać przejść piwnicami i przekopami.

Ludność cywilna opuszcza Warszawę. Cisza jest przygnębiająca. wiemy, że teraz nastąpi walka desperacka, ostatnie godziny życia stolicy. Cywilni wyjdą - a my zostaniemy, walcząc do końca. Tak mówiono.

Po spokojnym dniu, w nocy szalała jeszcze artyleria, waliły moździerze, resztki domów płonęły, resztki ścian sypały się w gruz.

Nadszedł dzień kapitulacji. Jeszcze poprzedniego dnia twierdziłam uparcie, że lepiej walczyć do ostatniej chwili, do śmierci samej - ale w poczuciu wolności, niż iść dobrowolnie w niewolę. Tyle czasu wymykaliśmy się Niemcom - aby teraz dać się zabrać? Po co? Ale taki był rozkaz. Październikowy, dżdżysty ranek ogłosił nam wiadomość o poddaniu Warszawy.

Tłumy ludzi krążyły po ulicach. Można przecież bezpiecznie chodzić. Mijamy gruzy zrujnowanych domów. Wszędzie mdły zapach trupów, wszędzie płytkie mogiły lub masowe groby kryjące pod stosem kamieni, żelastwa, betonu setki zagrzebanych. To moje miasto!

Na kwaterze dyskutujemy żywo na temat opuszczenia Warszawy. Major "Tomek", jak zawsze życzliwy dla mnie, namawia: - Nie radzę pani iść do niewoli. Ja znam to dobrze. Niech pani wyjdzie z cywilami.

Ale ja wiem jedno: jestem w wojsku i niech mnie spotka to samo co resztę kolegów. Co prawda, "Janor" i "Zabka", dwie młodzieńki łączniczki, z którymi od Starówki przebywałam razem ciężkie dni Powstania, zdejmują "panterki" i jako cywile wychodzą z miasta. Wiele ludzi zastanawia się co robić: opuścić Warszawę jako cywil - czy iść do niewoli?

Ulice przedstawiają tragiczny widok:

wymęczone, zmordowane postacie z tłumokami suną szeroką falą w stronę Politechniki. Dzieci, starcy, mężczyźni, kobiety, wszyscy wymizerowani, zbiedzeni, idą na nową tułaczkę.

Któryż to już raz przychodzi tracić cały dorobek ciężkiej pracy, dom, rodzinę, warsztat - owoce długiego wysiłku, budującego z trudem podstawy nowego życia...

Nad Warszawą smutna cisza, dymy dogasających pożarów.

Piątego października raniutko wyruszamy z naszej kwatery. Chlebak, koc zrolowany przez ramię - to cały mój majątek, który i tak ciężko zbytnio w marszu!

Długi wąż idzie przez wymarłe, spalone miasto: Grzybowska, Chłodna, Wolska. Ani

jednego całego budynku. Sterczą osmalone ściany, rumowiska, kikuty domów. Śwąd spalenizny.

Maszerujemy czwórkami, obok uzbrojeni po zęby konwojenci. Przelatują auta niemieckie, ktoś nas fotografuje, ktoś szkicuje naszą kolumnę, wszędzie Niemcy, Niemcy, Niemcy - znowu znienawidzone mundury, butne i bezczelne twarze.

Na Placu Kerczelego zdajemy broń. Ciężko zdobytą, z taką radością przynoszoną na placówki, troskliwie przechowywaną - naszą polską broń - dosłownie rzucamy Niemcom pod nogi.

Idziemy, idziemy, deszcz mży, ramiona bołą, nogi bołą.

Za nami zostaje Warszawa i cała nasza przeszłość i nadzieja pogrzebane w jej gruzach.

Przed nami przyszłość, niewola, druty...

Zdzisław Jeziorański

Powstanie w oczach kuriera

(Fragmenty z książki *Kurier z Warszawy* wydanej w 1978 roku w Londynie)

2 sierpnia

W czyich rękach jest miasto? Wciąż nie sposób się zorientować. Jedne budynki zajęte są przez naszych, inne przez Niemców, ulice są pod ostrzałem z obu stron i stanowią "no man's land". Nie ma właściwie żadnej linii frontu.

W naszej dzielnicy sytuacja zmienia się radykalnie po południu. Poczta Główna zostaje w końcu zdobyta, kilka czołgów i samochodów pancernych, które usiłowały przyjść załodze z odsieczą uległo zniszczeniu, reszta się wycofała. Jasna, Świętokrzyska, Mazowiecka nie są już pod ostrzałem, wypełnia je nagle radosny tłum ludzi. Chcę wybiec z innymi, lecz wiem, że o godz. 17:15 nadaje Londyn po polsku. Czekam więc z napięciem przy głośniku. Przeżywam moment radości, kiedy po zapowiedzi: "Tu mówi Polskie Radio z Londynu" - pada zdanie: "Wczoraj o piątej po południu Armia Krajowa wystąpiła do otwartej walki w Warszawie."

Żadnych szczegółów, tylko to jedno zdanie, ale speaker czyta je łamiącym się ze wzruszenia głosem. Czekam jeszcze na audycje BBC po polsku. Ktoś inny powtarza wiadomość z tym samym widocznym wzruszeniem.

Wybiegam teraz na ulicę, chcę dostać się na Nowy Świat, zobaczyć matkę. Po drodze na Świętokrzyskiej wpadam do mieszkania mego wuja, Jerzego Hełczyńskiego. Wuj z ciotką są na balkonie. Oglądamy scenę, której nie zapomnę, póki żyje.

Mieszkańcy pobliskich domów, bez żadnego rozkazu z góry, zupełnie spontanicznie budują wzdłuż ulicy barykadę, która ma zamknąć drogę czołgom. Jedni kopią rów, inni wyrzucają przez okna i znoszą ze wszystkich stron, co im pod rękę popadnie. Za mało jest łopat i kilofów. Ludzie rozwalają jezdnię czym się da, niektórzy wyrzucają kawałki bruku gołymi rękoma, ale robią to z tak nieprawdopodobnym zapałem i pośpiechem, że w ciągu kilkunastu minut powstaje głęboki rów. Przed

tygodniem widziałem to samo: chłopci z tym samym gorączkowym zapałem gołymi rękami wydzielali darń i ziemię spod kół angielskiego samolotu.

Tu, w tym tłumie nad nami, zacierają się wszelkie różnice: robotnik ze sklepikarzem obok profesora uniwersytetu, żołnierz z biało-czerwoną opaską z cywilem, starzy z młodymi, chłopcy i dziewczęta. Dźwigają ciężkie kamienne płyty wyrwane z chodników, znoszą skrzynie i meble. Wydaje się, że w tej ekstazie gotowi by własne ciała rzucić na bezkształtny stos rosnącej z każdą minutą barykady.

W bramie naprzeciwko pokazuje się dozorca z biało-czerwoną chorągwią na drzewcu. Płótno jest niemiłosiernie pomięte.

- Przez pięć lat w piwnicy trzymałem! - drze się na całą ulicę.

Odpowiadają mu oklaski. Tryumfalnie zawiesza chorągiew nad bramą. A już przedtem w niektórych oknach pojawiły się biało-czerwone chorągwie naprędce zszyte z jakichś prześcieradeł i kawałków płótna.

Wtem z dala ukazuje się zdobyty samochód pancerny z wymalowaną kotwicą "PW", obwieszony naszymi żołnierzami. Następuje wybuch szalonego entuzjazmu. Ludzie odrzucają kilofy i łopaty i jak na komendę rzuconą przez kogoś niewidocznego zaczynają śpiewać **Warszawiankę**. Śpiewa cała ulica od placu Napoleona aż po Marszałkowską. Ci na jezdni i na chodnikach i ci, którzy wylegli na balkony, i ci stojący w oknach. Niskim, potężnym basem śpiewa stary Hełczyński, wychowanek Apuchtinowskiej szkoły:

*Oto dziś dzień krwi i chwały,
Oby dniem wskreszenia był...*

Ogarnia mnie uniesienie jakiego nie doznałem nigdy przedtem i nigdy później. Za tę jedną chwilę oddałbym całe życie. Czuję obecność tych spod Belwederu i Arsenалу. Niewidocznym są teraz z nami, wmieszani w ten radosny tłum. Wydaje mi się w tym momencie, że własnymi oczyma widzę Polskę, nie tę oglądaną na co dzień, lecz Polskę wszystkich minionych pokoleń, tę samą, która ustami warszawskiego ludu wołała: "Wiwat król, wiwat naród, wiwat wszystkie stany!". Byliśmy znowu wolni na tym małym skrawku warszawskich

ulic i domów, przed kilkunastu godzinami wydartych wrogowi własnymi siłami.

Są wydarzenia i chwile, które przerastają w życiu człowieka wszystko inne. Dla mnie takim momentem było i pozostanie na zawsze to, na co własnymi oczami patrzyłem wtedy na Świętokrzyskiej - w drugim dniu Powstania Warszawskiego.

Każda warszawska kamienica stanowiła światek sam w sobie.

Przed wojną można było mieszkać przez dziesięć lat w tym samym domu, nie wiedząc kim jest i jak się nazywa sąsiad o piętro wyżej. W czasie Powstania wszyscy mieszkańcy kamienicy stanowili jedną zwartą gromadę. Ta wspólnota stanowiła chyba jedną z najbardziej charakterystycznych cech powstańczego życia. Była to wspólnota piwnicznego schronu, kotła z zupą i kawałka chleba, wspólnota niebezpieczeństwa a bardzo często wspólnota śmierci i zbiorowej mogiły. Jej zewnętrznym wyrazem był ołtarz ustawiony w sieni, na podwórku lub w piwnicy, przed którym gromadzili się do wspólnej modlitwy wszyscy domownicy - zarówno ci najpoboźniejsi, jak i tacy, którzy od lat nie przekroczyli progu kościoła. Wpatrzeni w postać Chrystusa albo Matki Boskiej powtarzali głośno: "od nagłej i niespodziewanej śmierci wybaw nas Panie".

Modlono się szczególnie żarliwie o ocalenie właśnie ich domu. Nikt się nie zastanawiał, dlaczego Pan Bóg miał okazać się szczególnie łaskawy, powiedzmy, dla kamienicy Piusa 21, gdy wokoło inne domy waliły się czy paliły.

W miarę przedłużenia się walk przybywało coraz więcej "lokatorów" na podwórzowym skwerku. Na grobach widziało się napisy w rodzaju: "Gospoia z pierwszego pietra". Nikt nie troszczył się o ustalenie nazwiska - przecież i tak wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi. Podobnie jak wiadano, że w mogile, na której umieszczono tabliczkę z napisem "Pan Józio", pochowany został ogólnie lubiany dozorca domu, którego nigdy inaczej nie nazywano.

Kamienica, która nie uległa jeszcze całkowitemu zburzeniu lub spaleniu, musiała być w

każdej chwili gotowa do obrony zarówno przed ogniem, jak i przed natarciem nieprzyjaciela. Na strychu i w bramie czuwały na zmianę dzień i noc posterunki złożone z mieszkańców domu. Brama zabarykadowana była najczęściej od wewnątrz ziemią, ceglami i sprzętem wszelkiego rodzaju. Kontakt ze światem zewnętrznym utrzymywany był przez piwnice i przejścia poprzebijane w ścianach. W mroku majaczyły skulone postacie ludzi siedzących wzdłuż korytarzy. Środkiem piwnicy przesuwiał się nieustannie korowód żołnierzy, gońców, harcerzy roznoszących pocztę, sanitariuszek z rannymi na noszach, wreszcie...kolporterek z prasą. Na ich widok wyciągały się setki rąk. Głód wiadomości był niemal tak samo silny, jak głód fizyczny, a prasa przynosiła komunikaty z miasta i ze świata, na którym rozgrywały się wówczas wielkie wydarzenia. W tym samym czasie, gdy front wschodni zastygł nieruchomo naprzód na skraju wawerskiego lasu majającego na horyzoncie, a później na praskim brzegu Wisły, zwycięska ofensywa Sprzymierzonych na zachodzie doprowadziła do uwolnienia prawie całej Francji, Luxemburga i połowy Belgii. Na wschodzie zaś następowały kolejno: kapitulacja Finlandii, kapitulacja Rumunii, kapitulacja Bułgarii. Pieć stolic europejskich padło w tym samym czasie, gdy Warszawa daremnie oczekiwała odsieczy z drugiej strony Wisły...

Jeszcze kilka miesięcy temu każda z tych klęsk niemieckich stałaby się źródłem fali optymizmu i wybuchów nieprzytomnej radości. Teraz jednak te wydarzenia wydawały się dziwnie odległe i blade na tle rzeczywistości oglądanej własnymi oczyma. Wiadomość o zniszczeniu kilku czołgów na Królewskiej robiła większe wrażenie aniżeli starcie w proch całych dywizji niemieckich na polach Normandii. Bo w tym samym czasie, gdy na zachodzie zdobywano Marsylię albo Rouen, w Warszawie toczyła się zażarta walka o pasaż Simonsa, Katedrę św. Jana, szpital św. Jana Bożego, Ratusz i Bank Polski.

Zawieszenie broni ogłoszono już 1 października. Miało ono umożliwić ludności cywilnej wyjście z miasta, ale tylko kilka tysięcy ludzi z tego skorzystało. Reszta wolała trwać dalej w piwnicach

ocalałych domów. Mogliśmy byli skorzystać z tej ewakuacji, ale wciąż jeszcze czekaliśmy na pocztę. Tymczasem 3 października rano rozeszła się wiadomość o kapitulacji. Byłem na podwórku domu na Piusa, gdy zjawił się cywil z opaską i zwołał wszystkich mieszkańców. Odczytał krótki komunikat, z którego wynikało, że według warunków kapitulacji wszyscy mieszkańcy mają opuścić miasto. Każdy może zabrać ze sobą tyle bagażu, ile zdoła unieść. Umowa gwarantuje, że nie będzie żadnych represji.

Przez cały czas z napięciem obserwowałem zebranych. Na wszystkich twarzach widać było skrajne wyczerpanie fizyczne i nerwowe, ślady przeżyć ostatnich dwóch miesięcy spędzonych przeważnie w brudnej, ciemnej i wilgotnej piwnicy, w potwornym zaduchu, bez światła i wody, o głodzie. Ludzie przeżyli te dwa miesiące wsłuchani w świst nadlatujących pocisków, bomb lotniczych, min latających, w ciągłym oczekiwaniu na moment, kiedy piwnica się zawali, grzebiąc ich żywcem we wspólnym grobie. Cała męka okazywała się teraz daremna. Miała skończyć się tułaczką bezdomnych, wędrowką w nieznane.

Ileż razy w historii załogi obleżonego miasta zmuszane były do poddania się nie przez nieprzyjaciela, lecz przez wygłodniałych i zdemoralizowanych mieszkańców? Nie słyszałem, żeby w Warszawie ludność umęczona ponad granice wszelkiej wytrzymałości, domagała się kapitulacji. Lecz co będzie teraz? Czy dojdzie do wybuchu rozpacz i wściekłości, czy nie posypią się przekleństwa?

Wszyscy słuchali w grobowym milczeniu, a gdy cywil skończył czytać, zaległa na chwilę cisza, którą przerwał jakiś starszy jegomość z siwą brodą. Zaintonował "Jeszcze Polska", a za nim inni podchwycili słowa i melodię pieśni.

Historia lat powojennych ma swoją genealogię wywodzącą się z ostatniej wojny. Na rzeczywistość dnia dzisiejszego rzutują wydarzenia sprzed trzydziestu lat. Powstanie Warszawskie, walka na wszystkich frontach świata, walka podziemna w kraju nadal żyją w zbiorowej świadomości czy może podświadomości.

Co z tych czasów ocalało? Przede wszystkim poczucie spójni i jedności. Nigdy przedtem w całej

naszej historii naród polski nie osiągnął takiego zespolenia, jak w latach ubiegłej wojny. Armia Krajowa była czymś więcej niż wielką organizacją podziemną; była solidarną zmwą całego narodu. Upadły w niej wszelkie podziały społeczne, polityczne, pokoleniowe czy jakiegokolwiek inne. Rodziny, które nie były w jakiś sposób związane z ruchem podziemnym należały do wyjątków.

To nieuchwytnie poczucie jedności przetrwało po dzień dzisiejszy. Nawet w latach stalinowskich, kiedy społeczeństwo zostało zatowizowane, kiedy wszelkie związki nawet nieformalne starte były na proch – ta jedna więź utrzymała się w zbiorowej pamięci.

Żaden rząd nie był w stanie zapobiec wojskowej okupacji kraju przez wojska sowieckie i wszystkim wynikłym z tego konsekwencjom. Przed narodem polskim otwierał się nowy rozdział: walki z podbojem od wewnątrz, z ujarzmianiem umysłów, walki o zachowanie własnej osobowości narodowej.

Zwycięstwa w tej walce rozpoczętej w chwili zamiany jednej okupacji na drugą, nie mógł odnieść naród, który wyszedłby z ostatniej wojny z przetrąconym kregosłupem, upokorzony, wewnętrznie rozbity, pozbawiony wiary w siebie. Podbój duchowy rozbił się o opór społeczeństwa, ponieważ wyszło ono z wojny zjednoczone, z podniesionym czołem i poczuciem obowiązku spełnionego do końca.

Trudno twierdzić by ci, którzy wydali rozkaz do Powstania, patrząc daleko w przyszłość przewidzieli wszystkie dalekosiężne skutki swej decyzji. Jednakże ze sposobu, w jaki gen. Tadeusz Pełczyński, a później Delegat Rządu, Stanisław Jankowski, zareagowali na mój raport wynikało, że położenie międzynarodowe, choćby najbardziej beznadziejne, nie było dla nich elementem rozstrzygającym. Decydowała troska o uratowanie ducha narodu.

Na osiem wieków przed Powstaniem – u zarania dziejów Polski padły pamiętne słowa Bolesława Krzywoustego: “wole królestwo stracić niż oddać je w niewolę.” Można przegrać bitwę, a nawet wojnę, lecz ocalić naród. I tak się stało.

Pamiętam V-Day w Londynie - dzień zwycięstwa nad Niemcami. Z goryczą i smutkiem w duszy staliśmy oboje na Piccadilly Circus, zagubieni wśród rozśpiewanych i tańczących tłumów, pijanych szczęściem i radością. W wielkiej tryumfalnej defiladzie zwycięstwa, która przeciągnęła w tym dniu zalanymi słońcem ulicami Londynu, wśród wojsk kilkunastu narodów nie maszerowali nasi żołnierze i nie było polskich sztandarów. W myślach oglądaliśmy inną defiladę. Przesuwały nam się przed oczyma znane twarze i postacie tych, którzy nadejście tego dnia okupili własnym życiem.

...Wasza śmierć i męka nie były daremne. Nadejdzie także i nasz polski V-Day. Krakowskim Przedmieściem, Alejami, Marszałkowską - przewalą się ze śpiewem **Warszawianki** w wielkim pochodzie zwycięstwa tłumy pijane radością i szczęściem. Dzięki **WAM POLSKA POZOSTAŁA SOBĄ** - żyje zawsze ta sama - nasza Polska Walcząca, Wolna i Niezawisła w swej nieśmiertelnej duszy.

Niedziela Palmowa, 3 kwietnia 1977 r.



Plakat powstanczy wzywający do walki.

NAJMŁODSI JEŃCY W NIEWOLI WEHRMACHTU

Była to rzecz niespotykana w dotychczasowych dziejach wojen. W obozie jenieckim w Łambinowicach znalazło się ponad 550 młodocianych - chłopców w wieku od 11 do 18 lat. Byli najmłodszymi żołnierzami Armii Krajowej, uczestnikami Powstania Warszawskiego. Jako harcerze pozostali wierni hasłu: "Służyć Polsce ze wszystkich sił!" Nie darmo więc Stanisław Cat-Mackiewicz napisał, że Polska jest krajem bohaterских dzieci. Pobyt małoletnich powstańców warszawskich w Łambinowicach - to mało znana karta ponurych dziejów tego jednego z największych w latach II wojny światowej obozów jenieckich w III Rzeszy.

Powstanie Warszawskie upadło 2 X 1944 r. Akt kapitulacji zapewniał powstańcom prawa kombatanckie (w myśl konwencji genewskiej z 27 VII 1929 r.) Po kapitulacji ostatniej broniącej się dzielnicy (Śródmieście) okupant wywiózł powstańców Śródmieścia do Ożarowa, a stąd 6 X 1944 r. do Łambinowic (Stalag VIII F). Wśród nich znajdowało się wielu nieletnich, którzy pełnili służbę żołnierską na I linii i jej zapleczu. W ten sposób w Łambinowicach znalazło się ponad 550 żołnierzy Armii Krajowej - chłopców w wieku od 11 do 18 lat.

Podróż do Łambinowic powstańcy odbywali w zaplombowanych wagonach towarowych - w każdym po około 100 osób lub nawet więcej. Podczas transportu, otrzymywali oni dalekie od niezbędnego minimum racje żywności i wody. Rozgrzane słońcem dachy wagonów w znacznym stopniu potęgowały pragnienie oraz utrudniały oddychanie.

Po przybyciu do Łambinowic, w czasie wyładunku, jeńców kłuto bagnetami, bito, używano wobec nich ordynarnych wyzwisk (np. "polnische Banditen aus Warschau"), demonstracyjnie zrywano białe-czerwone opaski i orzelki z czapek. Przemarsz

do obozu, mimo obecności dzieci, odbywał się w szybkim tempie, wśród złowrogich okrzyków i ekscesów młodzieży z "Hitler-Jugend". Młodociani jeńcy, wobec których niemieccy konwojenci zachowywali się brutalnie, masowo mdleli z pragnienia. Coraz częściej słychać było okrzyki "wody!" Ci, którzy mogli maszerować o własnych siłach, śpiewali "Szturmówkę". Po dotarciu do obozu, jeńców poddano rewizji. Powstańcy warszawscy, zgodnie z rozkazem władz obozowych, oddali legitymacje AK, w zamian za które otrzymali metalowe znaczki rozpoznawcze.

Warunki bytowe w obozie łambinowickim były bardzo ciężkie. Młodocianych powstańców warszawskich umieszczono w obozie dla jeńców radzieckich (Stalag VIII F). Małoletni, żyjąc w prymitywnych warunkach higienicznych, szczególnie dotkliwie odczuwali zimno i plagę wszy. Nie otrzymali bielizny pościelowej i osobistej, brak było umywalni i ciepłej wody, a skąpy przydział mydła nie mógł zaspokoić najbardziej elementarnych potrzeb sanitarno-higienicznych.

Tragiczna była również sytuacja żywnościowa. Niskokaloryczne i jednorodne dzienne wyżywienie, składające się zazwyczaj z 3 ziemniaków i zupy z suszonej brukwi, 400 g chleba oraz 1 kg margaryny, powodowało u młodocianych gwałtowny rozwój chorób (zwłaszcza biegunki) i gwałtowny spadek wagi. W pierwszym miesiącu niewoli zanotowano u nich ubytek wagi ciała około 7 - 10 kg. Chcąc wymusić na władzach obozowych poprawę sytuacji żywnościowej, najmłodsi żołnierze Powstania Warszawskiego urządzili na początku listopada 1944 r. głódówkę; w czasie jej trwania zwracali nietkniętą zupę z suszonej brukwi.

Do szczególnie uciążliwych i wyczerpujących siły należały wielogodzinne apele, przeprowadzane w pierwszych tygodniach pobytu w niewoli bez względu na pogodę, w czasie których bito i kopano

warszawskie dzieci. Udręką były również częste rewizje baraków oraz przeszukiwania osobiste.

Ostry reżim obozowy, w połączeniu z surowymi zarządzeniami dyscyplinarnymi komendatury, pociągał za sobą ofiary śmiertelne. Ówczesny jeńiec obozu łambinowickiego, Jerzy Ryszard Niżnikowski (ur. VII 1929 r.) tak relacjonuje fakt zastrzelenia młodocianego powstańca warszawskiego o nie znanym nazwisku: *"Za usiłowanie porozumienia się z jeńcami francuskimi po przejściu ogrodzenia został zastrzelony "Góral" z baraku małoletnich. "Góral" przeszedł za drut po kapustę, która przerzucona przez płot upadła na strefę ognia"*. Roman Wojciechowski - "Pilot" (ur. w 1928 r.) kiedyś podszedł zbyt blisko do drutów i niemiecki strażnik postrzelił go bez ostrzeżenia. Jeńiec stracił nogę. Inni młodociani jeńcy: Mazur, Pilotowski - "Zych" i "Aleksander" w połowie października 1944 r. próbowali przedrzeć się przez mury okalające obóz. Mazur zginął, zastrzelony przez niemieckiego strażnika między drutami obozu. "Aleksander" został draśnięty pociskiem po brodzie - wrócił do szeregów razem z "Zychem" po kilkudniowym pobycie w betonowym bunkrze bez okna, gdzie chłopcy nie otrzymywali jedzenia przez cztery dni.

Po jakimś czasie niepełnoletnich umieszczono pod opieką oficerów AK. Nastąpiło to prawdopodobnie na skutek interwencji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i kategorycznego żądania polskiej komendy obozu.

Fiaskiem zakończyły się próby nakłonienia przez niemiecką komendaturę młodocianych jeńców z Powstania Warszawskiego do pracy w gospodarstwach okolicznych chłopów; wszyscy odmówili podjęcia pracy.

18 X 1944 r. zorganizowano w obozie łambinowickim niecodzienny apel, podczas którego wywoływano niepełnoletnich powstańców warszawskich w wieku od 10 do 18 lat. Na placu apelowym, obok władz obozowych, ustawiło się kilku oficerów Wehrmachtu i Waffen-SS oraz grupka cywilów. Polski komendant bloku, kapitan Wacław Zagórski - "Lech Grzybowski", donośnym głosem wydał komendę:

- *Żołnierze do lat dziesięciu - wystap!*

Z szeregów wystąpił maleńki żołnierz w

obszernych buciskach. Był to Ryszard Chęciński - "Myszka". Później okazało się, iż miał on wówczas 12 lat (ur. 28 IV 1932 r.). Zaraz po przybyciu do Łambinowic otrzymał od matki kartkę pocztową z informacją, że rozpoczęła starania o zwolnienie go z obozu jenieckiego i przeniesienie do obozu pracy przymusowej w Schmiedebergu, gdzie się ówczesnie znajdowała. Polski komendant obozu dowiedział się, iż władze niemieckie zgodzą się na zwolnienie jeńca tylko w tym przypadku, jeśli nie ukończył on jeszcze dziesiątego roku życia. "Myszka" uległ więc namowom kolegów i podczas apelu młodocianych udawał dziesięciolatka. W listopadzie 1944 r. matka "Myszki" przyjechała do Łambinowic i uzyskała zgodę na zwolnienie syna z niewoli pod warunkiem zatrudnienia go przez fabrykę zbrojeniową "Schmidding-Werke" w Schmiedebergu. "Myszka" został zwolniony do cywila. Mimo swego młodocianego wieku musiał pracować najpierw we wspomnianej fabryce, a następnie u niemieckiego chłopca. 12 IV 1945 r. miasteczko Blankenheim koło Weimaru, gdzie ostatnio przebywał, wyzwolili Amerykanie. Po wyrównaniu stref okupacyjnych znalazł się na terenie okupowanym przez wojska radzieckie. We wrześniu "Myszka" powrócił do Warszawy.

Po kolejnej komendzie polskiego kapitana: *Żołnierze do lat jedenastu - wystap!*, szeregi opuścili: st. strzelec "Tygrys" (nazwisko nieznane) - warszawski gazeciarz, przewodnik powstańczych oddziałów szturmowych; Stanisław Kowalczyk - "Krowa", przewodnik oddziałów szturmowych, do końca walk był łącznikiem w 6 kompanii; por. "Kosa" (Mikołaj Kobylński) ze zgrupowania AK "Chrobry II"; Jerzy Macierzyński - "Lew" (z tegoż zgrupowania); "Pataszon" (nazwisko nieznane) i Zygmunt Kostecki - "Żydek" - wszyscy trzej także ze zgrupowania "Chrobry II".

Padły następne komendy, w wyniku których szeregi opuszczali żołnierze do lat 18. Na placu apelowym obozu łambinowickiego stanęło ponad 550 najmłodszych żołnierzy świata - chłopców warszawskich. A przecież w Łambinowicach znalazła się tylko ich znikoma część - większość najmłodszych opuściła stolicę wraz z rodzinami i ludnością cywilną.

Niemcy filmowali apel, a zdjęcia wykorzystali później do propagowania Volkssturmu - hitle-

rowskiego "pospolitego ruszenia". Gdy jednak w czasie filmowania przekonali się, że w Polsce wszyscy stawali do walki zbrojnej ze zniechęconym okupantem, ogarnęła Niemców wściekłość. Przekonali się bowiem naocznie, że takich chłopców - żołnierzy nie miała żadna armia świata.

Po apelu, niemieckie władze obozowe podzieliły najmłodszych jeńców Wehrmachtu na dwie grupy: do 15 lat i starszych. W pierwszej grupie znalazło się 49 osób. 18 XI 1944 r. 500 młodocianych powstańców warszawskich załadowano do 6 wagonów towarowych. Najmłodszych skierowano do Stalagu IV B Muhlberg-Elbe, a stamtąd na roboty do huty szkła Brockwitz koło Miśni. Pozostali trafili do przedalni w Miśni (25), fabryki Siemens w Steingut (50), cegielni w Sornewitz (30), Chemnitz (25), kopalni węgla w Wałbrzychu (150). Część młodocianych jeńców wydzielonych podczas apelu w obozie łambinowickim, ze względu na stan zdrowia, wysłano do szpitala obozowego w Zeithen (filia obozu Muhlberg-Elbe).

Młodociani jeńcy, wywiezieni z Łambinowic na roboty przymusowe do różnych zakładów pracy, położonych na terenie Niemiec, doczekali tam wyzwolenia. Niektórzy z nich po wyzwoleniu z niewoli, w kwietniu lub maju 1945 r. zasilili szeregi Wojska Polskiego i uczestniczyli w walkach z hitlerowskim Wehrmachtem.

Z inspiracji dyrekcji Muzeum Martylogii i Walki Jeńców Wojennych w Łambinowicach plastyk krakowski Edward Solecki namalował cykl obrazów ukazujących epizody z pobytu młodocianych powstańców warszawskich w obozie łambinowickim. W 35 rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego odbyło się w Muzeum uroczyste otwarcie wystawy pt. "Młodociani powstańcy warszawscy w niewoli Wehrmachtu w Łambinowicach". E. Solecki ofiarował swoje obrazy Muzeum. Weszły one w skład zbiorów i stanowią odrębną ekspozycję.

ZA I PRZECIW
11 listopada 1981

Ks. prałat Jan Jaworski

UDZIAŁ LOTNIKÓW POŁUDNIOWO-AFRYKAŃSKICH W POWSTANIU WARSZAWSKIM

(Korespondencja z Johannesburga)

1 sierpnia 1944 roku, w godzinach popołudniowych, wybuchło Powstanie w różnych częściach miasta - Warszawy.

Mieszkam przed Powstaniem w seminarium prowadzonym przez księży Marianów na Wileńskiej 69. I każdego dnia z Wileńskiej przewoziłem dwukołowym wózkiem "drzewo" pod różne adresy w Warszawie. Jednego dnia wypadła kolej na transport: Jasiński i Jaworski. Wieźliśmy drzewo na ulicę Skaryszewską. Jasiński był przy dyszlu, a ja z tyłu wóz ten pchałem.

Pod górę było bardzo ciężko. Pomagali nam różni przypadkowi przechodnie. Pomagali nam

nawet żołnierze niemieccy patrolujący Warszawę. Okazało się, że wózek był dlatego taki ciężki, bo był załadowany bronią na spodzie, a na górze było pełno drzewa. Myśmy o tym nie wiedzieli. I ci, którzy nam pomagali również o tym nie wiedzieli. Gdyby Niemcy wiedzieli o tym, rozstrzelaliby nas na miejscu.

Ksiądz Władysław Łysik MIC, który zmarł dnia 24 lipca 1964 roku w szpitalu na Lindley'a w Warszawie, powiedział o tym przed śmiercią swoją ks. Pawłowi Jasińskiemu - obecnemu prowincjałowi księży Marianów w Londynie; a ja dowiedziałem się o tym od niego.

W tym momencie pragnę oddać hołd pośmiertny ks. Łysikowi, który w tragicznych czasach wojny zorganizował kuchnie dla biednych w różnych miejscach Warszawy, dożywał biedne dzieci, gazeciarzy, opiekował się rannymi żołnierzami AK. Dostarczał mleka dla niemowląt; przechowywał dzieci żydowskie. Przechowywał broń AK i ukrywających się rannych żołnierzy.

Jak patrzę na jego działalność z perspektywy 50 lat, to jest mi trudno uwierzyć, że Polacy tak mogli się poświęcać dla dobra swej umiłowanej Ojczyzny, z całkowitym poświęceniem samych siebie. Sądzę, że jakieś pośmiertne odznaczenie dla ks. Łysika byłoby godnym uznaniem dla jego patriotycznej działalności. Pomagali mu w tym księża: **Poptawski, Kania, Sulej, Wencjus, Żurnia** i wielu innych.

Naszym dziekanem wśród studentów był lubiany przez wszystkich **Władzio Zasłona**: on to wyznaczał kto i z kim i pod jaki adres ma dostarczyć ładunek, który znajdował się na wózku. On sam też z drugim kolegą jeździł po Warszawie tym wózkiem. Na pewno nie wiedział co on i wyznaczeni koledzy wiozą i jaką mają misję do spełnienia.

Wiem, że żyje on w diecezji wiedeńskiej w Austrii. Jest kanonikiem i proboszczem w jednej z parafii. Widziałbym z wielką radością na jego piersi medal AK - budowniczego Polski - w 50-lecie tej walki Narodu Polskiego o swe istnienie.

To była walka z okupantem. Jakże nierówna i niebezpieczna! Ale Polacy w obliczu niebezpieczeństwa zdolni są do bohaterstwa!

W trudnej sytuacji w czasie powstańczych walk Polacy zwrócili się do **Winstona Churchilla**, podówczas premiera Anglii, z prośbą o pomoc. Churchill misję tę zlecił Air Force, polskim dywizjom i jednemu dywizjonowi angielskiemu (RAF), które stacjonowały podówczas w Brindisi i w Foggi w Włoszech.

Celem tej misji było zrzucanie walczącej Warszawie: broni, lekarstw, amunicji i nawet żywności. Dystans z Foggi do Warszawy i z powrotem wynosił 2,815 km. Aby ten dystans przelecieć potrzeba było 10 do 11 godzin lotu bez lądowania. Nadawały się do tego bojowego zadania wówczas ciężkie 4-motorowe samoloty "Liberatory"

i "Halifaxy". Na tych samolotach latały załogi południowo-afrykańskie z 31 i 34 dywizjonu lotniczego; polskie oddziały lotnicze (1586) i angielski 178 dywizjon RAF. 10 "Liberatorów" z tego oddziału lotniczego brało udział w lotach nad Warszawą.

92 samoloty brały udział w tych lotach, z tego 41 południowoafrykańskich. 1.400 osób było zaangażowanych jako obsługa latająca; 3 tysiące obsługi ziemnej. Przy obsłudze tych samolotów byli południowoafrykańscy różnych kolorów skóry, ras i intelektualnych kwalifikacji. Doprawdy była tam cała tęcza ludzka (rainbow people).

Każdy samolot udający się nad Warszawę zabierał 12 metalowych skrzyń o wadze 150 kg każda, gdzie była żywność, amunicja czy lekarstwa. Samoloty lecące do celu musiały zniżać się do 170 metrów przy szybkości minimalnej 125 węzłów, aby celnie zrzucić zawartość skrzyni na specjalnych spadochronach. To oczywiście napotykało na niemiecki flag (obronę przeciwlotniczą).

W sumie było 196 lotów nad Warszawą (w czasie od 4 sierpnia do 22 września 1944). Z 92 samolotów, 39 nie wróciło do bazy. Południowoafrykańskich samolotów zginęło 11 i 57 osób załogi.

Czekaliśmy z biciem serc na pojawienie się południowoafrykańskich "Liberatorów", które, nawet jeśli zrzuty nie były w pełni efektywne, dawały nam iskłę nadziei w tych ciężkich dniach zbliżającej się wolności.

Aby poprawić efektywność zrzutów lotnicy południowoafrykańscy nad Warszawą musieli latać prawie na wysokości dachów i tu najbardziej byli narażeni na niemieckie ostrzeliwanie. Stale jeszcze w 1944 roku, na terenach kontrolowanych przez cofające się oddziały armii hitlerowskich obrona przeciwlotnicza była bardzo mocna i doskonale zorganizowana. Baterie dział przeciwlotniczych i nocne myśliwce dziesiątkowały ten most powietrzny. Straty dwóch południowoafrykańskich dywizjonów latających z Foggi i Brindisi we Włoszech były olbrzymie, ponad 40%.

Byłem kilka lat temu w Brindisi, aby zobaczyć lotniska alianckie, z których południowoafrykańscy startowali do lotów nad Warszawą. W czasie drugiej wojny światowej żadna inna operacja mostu lotniczego nie poniosła tak wielkich

strat, a w okolicach Krakowa i południowej Polski zginęło najwięcej załóg południowoafrykańskich.

W tym czasie byłem studentem Seminarium Duchownego w Warszawie i każdej nocy, począwszy od 3 sierpnia, czekaliśmy w gorączce na te olbrzymie 4-motorowe maszyny, które nazywały się "Wyzwolicielami". Liberator po angielsku to właśnie wyzwoliciel. One w jakimś sensie były symbolem wyzwolenia i upragnionej wolności spod okupacji hitlerowskiej. Naszym więc obowiązkiem jest głosić to i przypominać światu w Warszawie, Londynie, Johannesburgu i iść do wszystkich z tą misją.

Nad Warszawą tylko 4 samoloty zostały zestrzelone, w tym "Liberator" żyjącego jeszcze tu, w Johannesburgu, kapitana, a obecnie emerytowanego pułkownika pilota **Jacka Van Eyssena**, który po dokonaniu zrzutów na niskiej wysokości został trafiony pociskami artylerii przeciwlotniczej i samolot jego rozbił się w Michalinie, 30 kilometrów od Starego Miasta. Trzech członków z jego załogi zginęło i tam właśnie w lasku koło Michalina kapitan **Bronisław Kowalski**, żyjący jeszcze dziś, własnymi rękami wznosił pomnik ku czci poległych w polskiej sprawie lotników południowoafrykańskich. Ziemia polska więc zroszona jest krwią męczenników południowoafrykańskich.

Warto także przypomnieć, że w Krakowie, na cmentarzu Rakowickim, jest 57 grobów pilotów w alianckiej sekcji wojskowego cmentarza. Bowiem nad Krakowem, któredy przebiegały linie lotu powrotnego do Włoch, obrona przeciwlotnicza niemiecka była najsilniejsza. Piszę dlatego tak żywo o tych lotach, ponieważ przeżyłem osobiście zjawienie się samolotów alianckich.

W Południowej Afryce nawiązałem żywy kontakt z wielu pilotami, którzy brali udział w tych lotach, aby do mojego obrazu dodali swoje osobiste uwagi czy przeżycia. Chętnie rejestrowałem je do mojego pełnego obrazu tej części polskiej historii. Por. **B. H. Austin** z 31 dywizjonu SAAF, który latał nad Warszawą jako radiooperator, taki mi zostawił opis jednego swojego lotu:

"14 sierpnia 1944 po odprawie, o godzinie 16 ciężki bombowiec "Liberator" opuszcza Foggi we Włoszech z załogą ośmiu osób, obciążony 1,200 funtami zaopatrzenia i 2,000 galonami benzyny.

Dowódcą jest kapitan **Van Eyssen**. Austin pełni funkcję radiooperatora i strzelca pokładowego.

- Jesteśmy o 60 mil od Warszawy.

Nawigator: Jaka jest szybkość pana, kapitanie? Widoczność słabnie. Wiatr niesie od czoła kłęby dymu wprost na nas. Mamy trochę szczęścia.

Kapitan: Tracimy wysokość dość szybko. Teraz jest 210 mil na godzinę. Dym będzie pomocny, ale niech pan ma oczy otwarte. To światło z prawej rozpala się. Niech pan na nie uważa.

Nawigator: Widzimy je, panie kapitanie.

Wkrótce po tej wymianie zdań wlecieliśmy w płonąca Warszawę. Spiekota i żar są wprost przerażające. Dookoła wybuchy - ogniste krater. Straszliwa zagłada i odór płonącego miasta. Jeszcze 10 minut. Tracimy szybkość... Wisła ukazuje się to z lewej, to znów z prawej strony. Wydaje się krwawa i nieruchoma. Otwarte wyrzutnie dają znać o sobie zięjącym gorącem i zapachem spalenizny. Widoczność została ograniczona; czuliśmy się jak zesłańcy... Ogarnęło nas stęchłe powietrze i odrażające uczucie śmierci. Żar w połączeniu z ulewą i konwulsjami ginącego życia...

Zetknęliśmy się oto z doprowadzoną do doskonałości przewrotnością całego planu rosyjskiego (zniszczenia Warszawy niemieckimi rękami). **Hayes**, strzelec ogonowy, bardziej od innych narażony na strzały, pierwszy zauważył skurczenie żebrowania: - Zostaliśmy trafieni! To było wszystko, co zdołał jeszcze krzyknąć. Po chwili już nie żył.

- Radiooperatorze, zobaczyć co się stało.

- Słucham, panie kapitanie.

Było to prawdziwe "kocie przejście". Dostałem się w bezpośredni ogień, ale udało mi się dotrzeć do głównej luki. Zobaczyłem, że **Hudson** został również zabity. Po powrocie zauważyłem, że dach mojej kabiny już płonie. Resztki oszalowania leżały na ekwipunku radiowym. Jeszcze jedno trafienie - i wszystko dookoła zaczęło się palić. Krzyknąłem:

- Ogon i prawe silniki w ogniu! Potężna dziura w prawej ścianie.

Byliśmy na wysokości 450 stóp, a nasza szybkość wynosiła 135 mil na godzinę. Opuszczamy klapy do lądowania. Wciąż jesteśmy intensywnie ostrzeliwani celnym 44-milimetrowym ogniem. Na

dole - oślepiające piekło: miasto spowite dymami i płomieniami. Rzeka nie może powstrzymać pożarów. Nie mogą tego również ani ulewny deszcz, ani silny wiatr, który jedynie podnieca gniew ognia i przeobraża miasto w płonące piekło z pasmami granatowo-czarnego żaru...

Czy Chrystus widzi to wszystko? - pytam siebie.

I wciąż owe pchnięcia, jedno po drugim, oślepiające światła reflektorów. Byliśmy otoczeni płomieniami z dołu. Każdy nerw dygotał z bólu. Lecieliśmy już na trzech zaledwie silnikach. Samolot był bezradnym wrakiem. Kapitan miał wątpliwości, czy w ogóle załoga zdoła się uratować. Rury z paliwem dudniły ogniem. Dym płonącej Warszawy łączył się z dymem naszego samolotu i czynił pobyt w nim niemożliwym.

Mój ostatni sygnał "AAA-A-Abel w płomieniach". Opuszczamy samolot. W kabinie narzędzia już nie działały i pozostawały bez odpowiedzi. Ktoś gwizdnął... Nowe trafienie... A potem ostatni rzut oka do przedziałów bombowych. Oślepiające piekło ognia i paraliżujący ból, i tkliwość, i strach..."

W kilka lat później w 1958 roku Austin przyjechał do Polski i wziął udział w nabożeństwie za poległych swoich kolegów w katedrze św. Jana. Przez niezliczone lata kościół ten stał w całej swej okazałości wraz ze starożytną nawą i ołtarzem i był miejscem modłów dla tysięcy. A potem ze stoickim spokojem znosił bluźniercze i zbrodnicze kule, rabunek i widok tragedii ludzkich. Teraz znów powstał z popiołów, cud uczyniony ręką Boga. I znów, jak dawniej, jest świętym powiernikiem promiennych oczu i jedwabistych włosów i płonących wiarą dusz.

Opowiadano mi, mówił Austin, o naturalnej wielkości figurze ukrzyżowanego Chrystusa, wydobytej spod min i gruzów: włosy na Jego głowie znów zaczęły rosnąć. Tak twierdzono z całą pewnością, a ja pochylałem czoło przed wiarą, płonąca nadal w ludziach, którzy żyli w stałej trwodze. Jest coś bliskiego pomiędzy tragedią, którą przeżywali, a znakiem krzyża świętego, kładzonego przez nich drżącymi rękami z błogim uśmiechem adoracji na twarzy. Zaprawdę to uniesienie religijne było i pozostaje nadal niewyciężoną siłą tego narodu.

Skierowano nas do ławy, położonej zaledwie kilka kroków od ołtarza, przy którym kapłan miał odprawiać nabożeństwo za lotników poległych przy niesieniu pomocy zrozpaczonej Polsce. W czasie długiego nabożeństwa Janek, żołnierz AK opowiadał mi szeptem o działalności tej podziemnej komórki, która zajmowała się odbieraniem zrzutów. I nagle wydało mi się, że cały świat jest zroszony szczęśliwością. I pochyliliśmy nasze głowy z myślą o tych, co ofiarowali swoje życie za tę wielką sprawę, modląc się, by i oni doznali wiecznego szczęścia.

Austin zmarł kilka lat temu w Durbanie.

Kilka razy zostało tutaj wspomniane nazwisko kapitana **Jacka Van Eyssena**. Miło mi podać, że kpt. Van Eyssen bardzo dzielnie przeżył wszystkie swoje doświadczenia życia od wylądowania na spadochronie, więzienia rosyjskie i powrót do Południowej Afryki. Znam go osobiście. Wiem o tym, że w 50-tą rocznicę lotów nad Warszawą otrzymał oficjalne zaproszenie od Rządu RP do wzięcia udziału w tej rocznicy. Wiem, że wybiera się na to spotkanie do Polski.

Nawiązując do tego, co przedstawił nam Austin, niniejszym daję opis tego szczególnego lotu opisanego przez Van Eyssena. Oto jego słowa:

"Z odległości 50 mil widzieliśmy dymy nad Warszawą. Niemcy zdobywali ulicę po ulicy i palili wszystko co się dało. Obniżyliśmy się bardzo nad Wisłą, która dzieli miasto na dwie części. Polacy po stronie wschodniej Wisły cieszyli się "wolnością", a druga część miasta - to walcząca Warszawa. Lecieliśmy nad dachami domów i z niecierpliwością wypatrywaliśmy znaków, które wskazywały, gdzie mamy zrzucić nasze skrzynie.

Jak podchodziliśmy do celu, broń przeciwlotnicza (flag) dosięgła nas. Rozkazałem, aby wszyscy z mojej załogi skakali na spadochronach na wschodnią część Warszawy, gdzie już były oddziały rosyjskie. Zorientowałem się jak nisko lecimy, że spadochrony mogą się nie rozwinąć.

Kiedy sam podszedłem do wyjścia, ku mojemu przerażeniu zobaczyłem, że drugi pilot, porucznik **Hamilton** czekał na mnie. Kazałem mu natychmiast wyskoczyć z palącego się już samolotu; ja również wyskoczyłem za nim. Hamiltona spalone zwłoki znaleziono w niedużej odległości od zgłiszcz

samolotu. Dwaj strzelcy pokładowi sierżant **Mayers** i **Hudson** zostali zabici również.“

Jakkolwiek było to beznadziejne i skończyło się fiaskiem, to jednak te przeżycia południowoafrykańczyków zcementowały w nich sympatię i przyjaźń do naszej umęczonej Ojczyzny. Zawiązały się więzy przyjaźni i zrozumienia, które do dziś trwają.

Podałem szczegóły przeżyć dwu lotników, z którymi zżyłem się osobiście i od których z pierwszej ręki otrzymałem informacje i szczegóły odnośnie omawianego tematu. Nie zapominajmy, że były dziesiątki pilotów, którzy odbywali te loty pomyślnie i szczęśliwie. W tym miejscu muszę podać nazwisko do dziś żyjącego w Cape Town kapitana **J. R. Colmana**, który trzykrotnie brał udział w lotach nad Warszawą i szczęśliwie wszystkie je przetrwał.

Wymienię jeszcze kilka nazwisk takich jak: por. **R.R. Klette**, por. **B.D. Jones**, obecnie emerytowany duchowny kościoła protestanckiego, por. **L. Norval**, por. **R.C.W. Burgers**, por. **Lional Gordon**, por. **Jackson**, kpt. **S.D. Marsh**, kpt. **David Goldsmidt**, mjr. **R.P. Crampton**, mjr. **S.S. Urry**, kpt. **L.C. Allen**, por. **Litchfield**, por. **Peaston**, major **Bill Senn**, który przyprowadził znad Warszawy do bazy samolot bardzo uszkodzony, sam będąc ciężko ranny, i wielu innych.

Zdaje sobie sprawę z tego, że należałoby podać więcej tych nazwisk, ale rozmiary tego artykułu na to mi nie pozwalają! Dlatego jeśli kogoś pominąłem, nie uczyniłem tego celowo, żeby pomniejszyć jego znaczenie, ale tylko z braku miejsca!

Dnia 8 maja 1945 roku alianci święcili zwycięskie zakończenie wojny - święcili swój **Victoria Day**. Polacy nie uczestniczyli w tym święcie. Żołnierze Armii Krajowej zapełniali kazamaty Urzędu Bezpieczeństwa. Ci, na Zachodzie, pozbawieni możliwości powrotu, połączenia się z bliskimi, przeżywali gorycz zawodu. Podobnie jak po Powstaniu Listopadowym życie narodu zostało rozdarte: na Kraj i Emigrację.

Bezimienna ofiara lotników południowoafrykańskich w lotach nad Warszawą i nad całą Polską była dla dobra mojego i waszego w tym

celu, abyśmy mogli żyć w pokoju, jako bracia jednej wielkiej Ojczyzny, której na imię jest Świat. I wszystko co się robi przeciwko temu jest przeciw mnie i przeciw tobie.

Polacy w Południowej Afryce wspominają ciągle tę ofiarę i bohaterstwo lotników, aby nie zatarło się to, lecz było natchnieniem dla ludzkości, lekcją pokazową bezinteresownej miłości dla młodszych. Nie wszystkie dzieła giną, umierają czy przemijają. Są dzieła czy uczynki, które zawsze żyją czy to w pamięci ludzkiej, czy w ludzkim życiu. Do takich należą dzieła bezinteresownej miłości lotników południowoafrykańskich.

Z odległej Afryki zanieśli braciom Polakom pomoc, zaszczepiając przez to w nich otuchę i nadzieję. W Warszawie z radością i grozą przeżywałem te loty. Towarzyszyło im zawsze złowrogie wycie syren. Dla mnie jednak były one zawsze zapowiedzią wyzwolenia i upragnionej wolności. Zanieśli Polakom swoją miłość, radość i ducha sprawiedliwości. Takie bowiem było ich zadanie. Dawali co mieli najlepszego w ofierze miłości, nie licząc się nawet z własnym życiem.

Nic tak człowieka nie zraża do drugich, jak brak wdzięczności. Poległym lotnikom mamy dać naszą miłość. Mamy ich imiona przenieść innym w dalsze pokolenia, jako dowód miłości i dozgonnej wdzięczności, która ma nie tylko wymiary świeckich wspomnień, ale jest jednocześnie duchową solidarnością z nimi. Taki jest nakaz po 50 latach.

Jest czas brania i czas dawania. Lotnicy dali co mogli najlepszego: konkretną pomoc, promienną nadzieję i niezachwianą wiarę w lepsze jutro, myśmy to wzięli od nich. W zamian mamy dać naszą miłość, wdzięczność i modlitwę, jako nasz pozytywny wkład w lepsze jutro naszego świata.

Loty nad Warszawą służyły wielkiej sprawie zbliżenia i współpracy pomiędzy narodami: afrykańskim i polskim; miały wprowadzić wzajemne zrozumienie, pojednanie i pokój w świecie współczesnym. Dlatego my po 50 latach z taką świeżością o tym wspominamy.

W Johannesburgu w Południowej Afryce co roku we wrześniu obchodzimy pamiątkę tych lotów. Pan **Zygmunt Fudakowski** jest Prezesem Komitetu obchodów lotów nad Warszawą. Z wielką pieczołowitością tę epopeję narodu południowoafrykańskiego pragnie przeszczerzyć na dalsze

pokolenia: polskie i południowoafrykańskie. Cześć mu i chwała za tę troskę, aby ta historia nie była zapomniana!

Jest coś mistycznego i głęboko krzepiącego na duchu w tej prawdzie ludzkiej pomocy Afrykańczyków dla odległej i nieznanej Polski, w imię wzniesłego hasła wolności.

Artykuł piszę w historycznym dniu zaprzysiężenia nowego prezydenta Południowej Afryki - Nelsona Mandeli - wybranego w demokratycznych wyborach! Sądze, że historia ta o tak ogólnoludzkim profilu będzie kontynuowana w dalsze pokolenia. Ludzie bowiem zmieniają się,

ale historia zostaje, aby uczyć nas i nowe pokolenia życia w wolności i demokratycznym stylu.

Historia bowiem jest nauczycielką życia - *magistra vitae* i ma dalszym pokoleniom oświecać droge, aby narody i rasy ludzkie żyły w przyjaźni i pojednaniu, aby służyły wspólnie w miłości i zgodzie temu dobru, któremu na imię jest - LUDZKOŚĆ.

Johannesburg, Południowa Afryka
10 maja, rok 1994

DZIENNIK ZWIĄZKOWY
29-31 lipca 1994

Jerzy Zapadko Mirski

SIEDEMNAŚCIE GODZIN W KANAŁACH

(Wspomnienie ostatniego dowódcy "Parasola")

Okolo południa 26 września dowiedziałem się na odprawie u Radosława, że sąsiednie oddziały górnego Mokotowa albo skapitulowały, albo wycofują się kanałami do Śródmieścia. Nasze zgrupowanie miało wycofać się ostatnie okolo 7 wieczorem. Resztki batalionu "Parasol", którymi dowodziłem, otrzymały rozkaz wycofania się po zapadnięciu zmroku, jako tylna osłona.

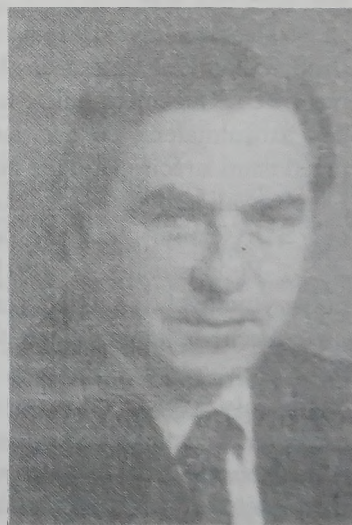
Po siódmej było już zupełnie ciemno. Opuściliśmy nasze wysunięte pozycje i przylegając do murów, rozrzucając po wnękach domów, przesuwaliśmy się powoli w kierunku wjazdu u zbiegu ulic Puławskiego i Szustra. Czuliśmy się nieswojo świadomi, że byliśmy ostatnią grupą powstańców w tej części Mokotowa.

Z tyłu nas, po prawej stronie, odzywała się co parę minut krótka seria z erkaemu. To nasza ostatnia placówka zmyślała Niemców, aby myśleli, że nasze wysunięte pozycje były jeszcze obsadzone. O ósmej wysłałem łączniczkę, aby ściągnęła placówkę i w pół godziny później byli z powrotem.

Punktualnie o 9-ej doszliśmy do wjazdu. Była tam już spora grupka ludzi, którzy - jak się okazało - pracowali w różnych służbach Mokotowa i chcieli też iść do Śródmieścia. Tego nie było w programie,

ale cóż było robić? Ustawiliśmy wszystkich w pojedynczej linii i pomagaliśmy im schodzić do kanału. Szło to wolno, bo byli to ludzie sporo starsi od nas. Wreszcie przyszła kolej i na nas. Przed zejściem do wjazdu spojrzałem jeszcze na puste ulice Mokotowa - było ciemno i cicho.

Kanał znaliśmy już z poprzedniego przejścia z Czerniakowa. Nie był tak niski, jak na Starówce, gdzie trzeba się było czołgać. Tutaj można było iść na czworakach, a do głównego burzowca nie było daleko. Posuwaliśmy się w zupełnej ciemności, dotykając swego poprzednika, aby nie stracić kontaktu i trzymać się grupą.



Jerzy Mirski

Szliśmy bardzo wolno i po pół godzinie stanęliśmy. Na moje zapytanie po linii, co się dzieje na przodzie, dostałem odpowiedź, że niemieckie zapory z drutów kolczastych powodują opóźnienie.

Czekaliśmy, siedząc w poprzek kanału, głowa i nogi w górze, a siedzenie w wodzie. Wyjąłem spod panterki bochenek chleba, który jakaś starsza pani dała mi przy władze do kanału. Obtarłem ręce z mazi kanału, rwałem chleb w kawałki i podawałem po linii. Ktoś starał się zapalić zapałki, ale gasły bo było mało tlenu. Wraz z innymi jadłem swój kawałek bez wstępu, bo byłem głodny.

Czekanie zaczynało się przedłużać; od przodu nic się nie ruszało. W myśli widziałem kolczastą zaporę aż pod sam strop kanału i głęboką wodę aż po szyję, którą przechodziliśmy w drodze z Czerniakowa, i wiekowych mężczyzn i kobiety pnących się po drutach, które się wyginały, ale nie puszczały. Poderwałem się i zapytałem po linii, co się dzieje na przodzie? Odpowiedź nie przychodziła i po jeszcze paru minutach zarządziłem, by się posuwać "na siłę."

Ruszyliśmy, każdy pchał swego poprzednika i po kilkunastu minutach byliśmy w głównym burzowcu. Odczułem gniew na siebie i przerażenie, gdy zrozumiałem, co nas zatrzymało. Kilka osób przed nami straciło siły; nie mogli się posuwać dalej i tarasowali drogę. Wepchani do burzowca, leżeli oparci o ściany, niektórzy prosili o pomoc.

Podnosiliśmy leżących i ciągnęliśmy ich, półprzytomnych, środkiem kanału, a sami szliśmy po bokach, opierając się o ściany. Woda stawała się coraz głębsza, ludzie ciężyli. Od przodu dochodziły urywane krzyki o pomoc. Stąpnałem nagle na coś miękkiego i ze zgrozą uświadomiłem sobie, że to ludzkie ciało. Próbowałem jeszcze podnieść i ciągnąć, ale za chwilę było drugie i trzecie... Ci ludzie jeszcze byli żywi i ruszali się. Nam też zaczęło brakować tchu i siły opuszczały. Jedna łączniczka osłabła, potem chłopiec. Nie można było dłużej zwlekać, bo byśmy też tu zostali. "Idziemy naprzód" - krzyknąłem po linii.

Następne kilkadziesiąt metrów było koszmarem. Stapaliśmy po ciałach, niektóre się ruszały, a nawet jęczały. Doszliśmy do pierwszej barykady, gdzie woda była głęboka, powyżej głowy. Trzeba było podpływać do drutów, ale

pomagając sobie wzajemnie, udało się wszystkim przejść na drugą stronę.

Posuwaliśmy się teraz dużo szybciej, bo woda była płytsza i nie było przeszkód. Przy następnej zaporze trochę mdlawego światła dostawało się z góry, z otwartego włazu. To Niemcy!... Namacaliśmy na dole barykady druty poprzednio przerwane przez naszych saperów i podnosząc je do góry, w zupełnej ciszy przechodziliśmy kolejno pod wodą na drugą stronę.

Udało się. Posuwaliśmy się dalej, już podtrzymując się wzajemnie, bo coraz trudniej było oddychać. Gdzieś w pobliżu powinna być odnoga do Śródmieścia, ale jak ją w ciemności znaleźć? Przez nasze opóźnienie obiecany łącznik nie pojawił się. Nasza linia zaczynała się wydłużać i rwać.

Moje komendy o zachowanie kontaktu nie odnosiły już skutku. Napotykaliliśmy raz po raz zagubionych żołnierzy z poprzednich grup. Wychodzili z bocznych kanałów, półprzytomnie brodzili w wodzie w obu kierunkach, przyłączali się do nas lub wchodzili znów do bocznych kanałów rozpaczliwie szukając wyjścia. Niektórzy krzyczeli jak szaleńcy, że nie ma tlenu, że gazy, że to już koniec. Ktoś chciał strzelać i rzucać granatem do góry, aby rozbić zamknięty właz, ale szczęśliwie udało się go obezwładnić.

Co robić? Wiedziałem, że kanał dochodzi do zakratowanej zapory przy Wiśle, ale tam byli Niemcy i wybraliby nas po kolei. Oparłem się na chwilę o ścianę kanału, bo nogi już się uginały i zacząłem widzieć czerwone płatki przed oczami. Czy przyjdzie nam tu zginąć po tym cośmy przeszli?

Dziwne są wyroki Boże... Nagle oprzytomniałem, poczułem pęd powietrza i wodząc dłonią po ścianie, umiejscowiłem otwór, z którego dochodził powiew. Przy wybladłym świetle prawie wypalanej latarki zobaczyłem na ścianie napisaną kredą literę "S". Czyżby to możliwe, by to znaczyło "Śródmieście"? Zawołałem, żeby przyszli do mnie, że jest wyjście. Kilka postaci zatrzymało się, inni chcieli iść nieprzytomnie dalej, aby do przodu. Trzeba ich było zatrzymywać siłą.

Wreszcie zebrała się przy mnie grupka Parasolarzy i tarasując przejście, zatrzymali innych. Wysłałem mego pomocnika, by zbadał znaczony kanał. Ktoś zawołał, że kilku naszych poszło daleko

do przodu i pewnie weszli na Niemców przy Wiśle. Nie było możliwości im pomóc. Wyczerpani, staliśmy oparci o ściany, czekając co nam los przyniesie. Panującą ciszę zakłóciło nagle głośne pluskanie wody. Za chwilę, niespodziewanie, ta przednia grupa połączyła się z nami. Doszli do wjazdu przy Zagórnej, jeden wyszedł i już nie wrócił, bo tam czekali Niemcy.

Mój pomocnik wrócił wraz z łącznikiem ze Śródmieścia. Radość i wzruszenie dodało nam trochę sił... Na czworakach, gęsiego, przeszliśmy przez wąski kanał, a potem po ustawionej drabinie wdrapaliśmy się do wyższego kanału, który prowadził do samego wjazdu. Tam, z pomocą zrzuconej z góry liny, wydostaliśmy się na powierzchnię. Do dnia dzisiejszego uważam to za cud.

Maria Dąbrowska

Powrót do Warszawy

(Fragment opowiadania pod tytułem **Pielgrzymka do Warszawy**)

W Muzeum po załatwieniu formalności związanych z udzieleniem mi pisarskiej zapomogi w złotych "łubelskich"¹ (byłam, jak się rzekło, bez grosza) pożegnałam przyjaciół jadących na Pragę i około pierwszej wyruszyłam pieszo ku Polnej.

W pobliżu Muzeum na środku Alei olbrzymia zapaść, ślad wysadzonego w powietrze tunelu kolejowego. Poza tym jezdnie nigdzie prawie nie uszkodzone, tylko przeważnie zasypane jeszcze cegłami gruzów. Mimo to na ulicach ogromny ruch, głównie pieszy, ale na oczyszczonych już z gruzu arteriach² przelotowych także i samochodowy. Wzruszający jest widok zdrożonych piechurów obciążonych plecakami, tobołami, walizczkami. Wierni warszawiacy zbiegają się ze wszystkich stron do ruin ukochanej stolicy, niczym nie zrażeni, gotowi żyć wśród ruin, gotowi natychmiast odbudować to miasto bardziej żywe w samej bohaterskiej śmierci niż wszystkie nienaruszone miasta świata.

Zdążam straszliwym wozem zniszczonego Nowego Świata ku Placowi Trzech Krzyży. Topniejący śnieg, błoto, poszczerbione mury umarłych domów, przez jamy okien widać łagodne szare niebo i gruzы wewnątrz. Na murach wielkie białe

Jasne światło oślepiło mnie, ale po chwili mogłem rozpoznać już Aleje Ujazdowskie. Była już druga po południu. Upłynęło 17 godzin od naszego wejścia do kanału na Mokotowie. Miałem być o 5 po południu u Radosława na odprawie.

Weszliśmy do pierwszego budynku, poprosiłem stojącego wartownika, aby mnie obudził przed piątą, i w jakimś bocznym pokoju, pod stołem, znalazłem schronienie. W sąsiedztwie rozlokował się półżywy oddział "Parasola."

Waszyngton, lipiec 1994

DZIENNIK ZWIĄZKOWY

29 - 30 lipca 1994

napisy: "Min nie ma", "Rozminowano dnia tego a tego" albo przestraszające: "Miny!". Środkiem ulicy idzie oddział saperów z pretami minierskimi na ramionach. Poszukiwacze min, ryzykujący życiem likwidatorzy³ szczególnej złośliwości wroga, co śmiertelne szczątki Warszawy jeszcze śmiercią nafaszerował.

Patetyczne⁴ zwaliska kościoła Świętego Aleksandra sterczą w niebo kolumnami rozbitej nawy⁵. Tylko jedna strona Placu między Bracką a Nowym Światem nie zburzona. Poza tym gruzы, gruzы. Tak właśnie wygląda dosłowne wypełnienie słów pieśni: "Twierdzą nam będzie każdy próg" i przed wiekami padłych słów Bolesława Krzywoustego: "Wolę królestwo stracić niż oddać je w niewolę".

Na Mokotowskiej przystaję przed domem nr 48, za którym w ogródku pochowana jest moja siostra. To zabytkowy dom J. I. Kraszewskiego⁶, staroświecki, niski i długi, z początków XIX wieku zachowany. Siedziba wielkiego bazarza⁷ historycznych i obyczajowych dziejów narodu i tym razem szczęśliwie ocalała. Podchodzę do bramy wiodącej na podwórze i do ogródka. Wielki napis

kredą głosi: "Miny, przejścia nie ma". Niemcy zaminowali nawet wejścia na cmentarze, wiedząc, że ku nim najpierw skierują się kroki powracających wygnańców. Stoje długo ze łzami w oczach, myśli mam pogruchotane jak miasto, a serce mam zmiażdżone.

Ide dalej. O dziwo! Przechodziłam tedy drugiego października, w dzień naszego wyjścia z Warszawy. Wszystkie domy Mokotowskiej żyły wówczas i choć podziobane pociskami gwarne były i ludne. Dziś cała prawie Mokotowska spalona. Najeźdźca dokonał tego dzieła zniszczenia już po wygnaniu ludności z samej tylko czystej zemsty nad miastem nieprzejednanym. Wreszcie mijam jakiś dom częściowo tylko nadpalony. Przed nim zatknięta w kupe gruzu i śniegu, na kiju osadzona kartka papieru z napisem: "Tu wydaje się gorąca zupa, kawę, zakąski". Wewnątrz głośno, kręcą się ludzie, stukają młotki, rzezą piły. Uśmiecham się. Nie, nie ma śmierci na warszawiaków. Z głębi uczuć dobywa się coś w rodzaju osobliwego entuzjazmu, jaki ogarnia nas, gdy osiągniemy dna klęski, pozostaje nam tylko mężnie dźwigać się w górę.

Mijam Plac Zbawiciela. Na środku cmentarz. Kościół stoi, ale ciężko poharatany. Mokotowska od Placu do Polnej też w znacznej części spalona. Zaglądam w Jaworzyńską. Dom nr 2, gdzie był szpital powstańczy, osmalony, okna przeważnie bez futryn, a nad każdym czarna smuga sadzy, widać wewnątrz zgorzało. Tu w tym domu w nocy dwudziestego pierwszego września składano mi złamaną rękę. Widzę tę noc i naszą chyłkiem wędrowkę do szpitala z rojem świetlnych pocisków nad głowami.

Skrećam w Polną koło zastraszającej ruiny domu nr 32, który tyle razy palił się w czasie powstania i do którego gaszenia wołano ciągle mieszkańców naszej kamienicy. Na lewo mglista perspektywa ogródków działkowych z nie zebranymi zeszłorocznymi płonami, z altankami, z których zwieszają się festony⁸ uschłej fasoli.

Coraz wolniej, tak jakby wszystko ujrane czeptało się nóg i wlokło za mną, zbliżam się do bramy Polna 40. Na framudze kredą: "Rozminowano 27 stycznia 1945 roku." W bramie wita mnie stary przyjaciel, dozorca domu. Zapaścił siwą brodę. Rzucamy się sobie w objęcia i całujemy się płacząc. Razem przeżyliśmy powstanie, w którym on stracił syna, ja - siostrę. Tak się zaczął mój pierwszy tydzień w zburzonej Warszawie.

ZADANIE DOMOWE

1. Jak wyglądały ulice i domy Warszawy po wyzwoleniu miasta?
2. Poszukaj w tekście fragmentów świadczących o przywiązaniu warszawiaków do stolicy.
3. Wyjaśnij w kilku zdaniach słowa autorki: "Nie ma śmierci na warszawiaków".

ĆWICZENIA GRAMATYCZNE I ORTOGRAFICZNE

Części mowy; wielkie litery

1. Z opowiadania Marii Dąbrowskiej wypisz po 5 rzeczowników, czasowników, przymiotników, przysłówków i umieść je w tabelce.

rzeczowniki	czasowniki
Muzeum	pożegnać

przymiotniki	przysłówki
pisarska	pieszo

2. W opowiadaniu **POWRÓT DO WARSZAWY** spotykamy się z następującymi nazwami: *Polna, Praga, Nowy Świat, Bracka, Mokotowska, Jaworzyńska, Warszawa*.

Napisz, do czego się te nazw odnoszą, np.:

Polna - ulica *Polna*

Dlaczego wszystkie wymienione tu wyrazy piszemy dużą literą?

3. Podaj przykłady wyrazów pisanych dużą literą.

¹ Złote "lubelskie" - pieniądze wydane w 1944 r. przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN) tymczasowy organ władzy wykonawczej (do 31. 12. 1944 r.), który mieścił się w Lublinie.

² Arteria (z greckiego) - tu: główna ulica, na której jest ożywiony ruch.

³ Likwidator (z łaciny) - osoba, której powierzono usunięcie, zniszczenie czegoś.

⁴ Patetyczne (z greckiego) - tu: wzniosłe, dostojne.

⁵ Nawa (z łaciny) - wewnętrzna część kościoła.

⁶ Józef Ignacy Kraszewski (1812 - 1887) - znany pisarz, autor popularnych powieści jak: *Stara Baśń, Ułana*.

⁷ Bajarz - bajkopisarz.

⁸ Feston (z francuskiego) - ozdoba dekoracyjna w formie pólwieńca.



Fortieth Anniversary Of The Warsaw Uprising

By the President of the United States of America

A Proclamation

Forty years ago, one of the most heroic battles of World War II, the Warsaw Uprising, occurred. Polish resistance to aggression throughout World War II had been courageous and uncompromising. As the Nazi forces retreated before advancing Soviet armies, the Polish Home Army that led the resistance seized its chance to throw off the Nazi yoke. For sixty-three days, the people of Warsaw fought against insurmountable odds, endured unimaginable suffering, and made countless sacrifices to regain their independence. Nevertheless, the lightly-armed resistance fighters were overwhelmed by the full weight of Hitler's war machine. The Nazis mercilessly crushed the uprising while Soviet forces passively looked on from across the Vistula River. Warsaw lay in rubble. Two hundred-fifty thousand Poles were killed, wounded, or missing. Yet the victims of the Warsaw Uprising did not die in vain.

The example of those who fought for freedom during the Warsaw Uprising is a stirring chapter in history, as vivid today as it was then. The ongoing struggle of the faithful, the shipyard workers of Gdansk, the miners of Silesia, and farmers throughout the countryside is but a continuation of the proud history of the Polish quest for freedom.

It is right that we pay tribute to those who sacrificed all for independence and freedom. All of us who share their passion for freedom owe the heroic people of Warsaw and all of the valiant people of Poland a profound debt.

The Congress, by Senate Joint Resolution 272, has resolved that the United States should join in recognizing the Anniversary of the Warsaw Uprising.

NOW, THEREFORE, I, RONALD REAGAN, President of the United States of America, do hereby proclaim August 1, 1984, as the Fortieth Anniversary of the Warsaw Uprising.

IN WITNESS WHEREOF, I have hereunto set my hand this seventeenth day of August, in the year of our Lord nineteen hundred and eighty-four, and of the Independence of the United States of America the two hundred and ninth.

Ronald Reagan

Krzysztof Kamil Baczyński

1921 - 1944

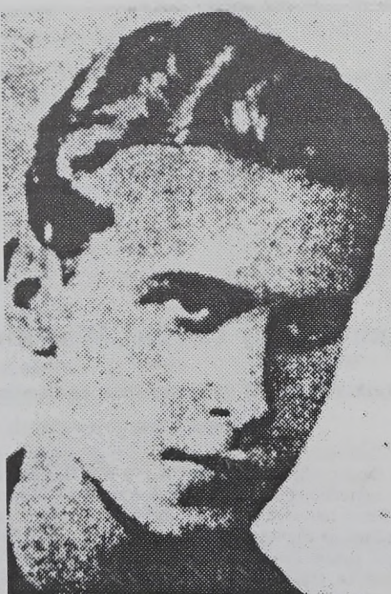
Urodził się w Warszawie, tam żył, tworzył i dla stolicy oddał swe młode życie. Kształcił się w Gimnazjum im. Stefana Batorego, w tajnej szkole podchorążych i na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. W ciągu zaledwie kilku lat napisał ponad 500 wierszy i dwadzieścia opowiadań. Wiersze Baczyńskiego cechuje dojrzałość twórcza, rozległa skala zainteresowań, oryginalność i artyzm. Gdyby podzielić utwory według ciągów tematycznych, otrzymalibyśmy poezję zaangażowaną, wzywającą do walki, poezję liryczną z elementami fantastyki oraz lirykę miłosną.

W twórczości Baczyńskiego daje się zauważyć wyraźny związek z wielkimi romantykami, zwłaszcza ze Słowackim i Norwidem, gdy weźmie się pod uwagę jego stosunek do obowiązku patriotyczno-żołnierskiego i zadań artysty. Stałym składnikiem jego poezji jest przyroda i odbiór rzeczywistości w kategoriach etycznych.

Pamięci Krzysztofa Kamila Baczyńskiego

Jak zatrzymać czas na kartach książki i we wspomnieniach po latach? Pytanie to bardzo trudne. Nie ma na nie jednoznacznej odpowiedzi. Jest tym trudniejsze, gdy chodzi o ludzi, którzy zapisali się w historii narodu swą twórczą pracą i bohaterską postawą.

W pięćdziesiątą rocznicę wybuchu powstania warszawskiego chcę oddać hołd żołnierzowi i poecie - Krzysztofowi Kamilowi Baczyńskiemu i przybliżyć jego postać młodemu pokoleniu Polaków żyjących na obczyźnie.



Krzysztof Kamil Baczyński

Krzysztof należał do pokolenia "Kolumbów" - ludzi urodzonych około roku 1920, którym lata młodości, pierwsze lata dorosłości i samodzielności przypadły na okres wojny i okupacji. Odkrywali siebie, hartowali charaktery, walczyli ze znienawidzonym wrogiem, ale przecież chcieli także żyć "normalnie" - kochać się, zakładać rodziny, podejmować pracę zawodową, zdobywać wykształcenie, tworzyć i zostawiać pamięć po sobie. Wojna odebrała im wszystko, stłamsiła radość dorastania. Zniweczyła optymizm, przekreśliła wiarę w człowieka i jego dobroć. Wojna rozgrzebała systemy moralne, chłonęła ludzkie ofiary, kalecząc

polskie rodziny. Tamten okrutny czas powodował, że dorosłym stawało się z godziny na godzinę, z dnia na dzień, a charakter wypalał się w ogniu walki. Krzysztof w wierszu "Pokolenie", będącym skrótowym poetyckim wyrazem wkraczania w dorosłość, napisał:

*Nas nauczono. Nie ma litości.
Po nocach śni się brat, który zginął,
któremu oczy żywcem wytknuto,
któremu kości kijem złamano;
i drąży ciężko bolesne dłuto,
nadyma oczy jak bąble - krew.*

*Nas nauczono. Nie ma sumienia.
W jamach żyjemy strachem zaryci,
w grozie drążymy mroczne miłości,
własne posagi - źli troglodyci.*

*Nas nauczono. Nie ma miłości.
Jakże nam jeszcze uciekać w mrok
przed żaglem nozdrzy wężących nas,
przed siecią wzdętą kijów i rąk,
kiedy nie wrócą matki ni dzieci
w pustego serca rozpruty strąk.*

*Nas nauczono. Trzeba zapomnieć,
żeby nie umrzeć rojąc to wszystko.
Wstajemy nocą. Ciemno jest, ślisko.
Szukamy serca - bierzemy w rękę,
nasłuchujemy: wygaśnie męka,
ale zostanie kamień - tak - głaz.*

Był chłopcem wątłym, raczej chorowitym, skłonny do astmy, ale wyjątkowo utalentowanym i wybitnie uzdolnionym artystycznie. We wspaniałym domu stworzonym przez rodziców wzrastał w atmosferze intelektualnej. Ojciec jego, wybitny krytyk literacki, potrafił oddziaływać na syna bezkompromisową postawą wobec błędów historii. Matka - Stefania Baczyńska - nauczyła go kochać i rozumieć literaturę polską, wyrażać słowem to, co pomyśli głowa. Przez długi czas pełniła rolę pierwszego powiernika i delikatnego krytyka młodzieńczych utworów.

Ona wiedziała i mocno wierzyła, że w osobie syna połączył się wybitny talent i humanistyczna postawa wobec życia. To ona, już po wojnie, przekazała wydawcom i czytelnikom to wszystko, co po Krzysztofie pozostało drogiego - jego poezje.

Krzysztof był uczniem warszawskiego słynnego Gimnazjum im. Stefana Batorego, gdzie powstała XXIII Warszawska Drużyna Harcerska, od której wzięły początek Szare Szeregi. Młodzież kształcąca się w tym gimnazjum otrzymywała patriotyczne i moralne szlify. Tej właśnie młodzieży udostępniono tajną podchorążówkę, którą kończyli liczni młodzi Polacy i podejmowali fachową walkę z okupantem.

Po ukończeniu szkoły średniej Krzysztof zamierzał studiować grafikę w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, ale wojna przekreśliła marzenia, bowiem ASP nie funkcjonowała w podziemiu. Może właśnie dlatego Krzysztof

rozpoczął studia na tajnej polonistyce. Dawał upust własnym rozważaniom w kształcie poetyckiej wypowiedzi. Wielu zadawało sobie wówczas pytanie czy poezja ma sens podczas wojennej nocy. Ale zaraz pojawiała się odpowiedź - to przecież poezja zagrzewa do walki, uczy miłości do ojczyzny, konsoliduje młodzież, przybliża historyczne postacie, których zasługą był ukształtowany przez wieki stosunek do ojczyzny wyrażający się patriotyzmem walki. Poezja budowała przyszłość i stawała się wyrazem powszechnych uczuć i odczuć, wzmacniała społeczeństwo w oporze wobec wroga. Kazała wierzyć, że opłaca się trud walki i poświęcenie, a ci, którzy gasną w bitwie, torują drogę ku wolności.

Wydane w konspiracji utwory znajdowały odbiorców, wiernych czytelników i wielbicieli, którzy wierzyli, że są to drożdże przyszłej Polski. Polska będzie żyła, bo jest polski wiersz, polski walczący poeta i polski literacki bohater.

Wczesną jesienią 1942 roku w konspiracji ukazał się niewielki tomik **Wierszy wybranych** Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Pod pseudonimem Jana Bugaja zaprezentował autor 20 utworów, które zdradzały dojrzały warsztat artystyczny od ballad po liryki miłosne. Wiele osób otrzymało tomik z osobistymi dedykacjami Krzysztofa. Było faktem niezaprzeczalnym, że autor stawał się osobą popularną w środowisku twórczym, choć czas twórczości nie sprzyjał.

Krzysztof w czasie wojny mieszkał w Sielcach, w przedwojennych blokach spółdzielczych. Jego mieszkanie było niewielkie, ale bardzo gustownie urządzone. Krzysztof miał wyrafinowany smak artystyczny, co podkreślały białe - czerwone drzeworyty własnoręcznie wykonane. Żoną Krzysztofa została Barbara Drapczyńska, studentka tajnej polonistyki warszawskiej. Podziwiała wiersze męża, ale i krytykowała. Przejęła te rolę po matce Krzysztofa. Z jej zdaniem Krzysztof bardzo się liczył. Basia zyskiwała sobie sympatię znajomych. Była dziewczyną przystojną i inteligentną. Ujmowała swym wdziękiem i elokwencją. Jej to poświęcił Baczyński wiele swych utworów - jak ten:

O Barbaro...

*O Barbaro, o Barbaro,
wśród swych panien wodzisj rej,
chodźże z nami, ze swą wiarą,
w boje do dalekich kniej.*

*Na śniadanie będziem jeść,
o Barbaro,
wody dzban i kulek sześć,
o Barbaro,
na obiad wiatru tyk,
o Barbaro.
Lecz kupa kamieni
w szynkę się zamieni,
kiedy z nami będziesz ty.*

*O Barbaro, o Barbaro,
wkoło ciebie chłopców rój,
lecz ty pójdziesz z naszą wiarą,
w naszych sercach pójdziesz w bój.*

*Trzeba będzie mundur wdziać,
o Barbaro,
nocą w łóżku z gliny spać,
o Barbaro,
zamiast wanny - wody rów,
o Barbaro.
Lecz cóż dla nas znaczy
prysznic z kul, z kartaczy,
kiedy z nami będziesz znów.*

*O Barbaro, o Barbaro,
w ogień śmiało z nami idź,
bo wesół z naszą wiarą
nawet nosem w piachu ryc.*

Nikt z młodych, nikt z kolegów Krzysztofa nie wierzył, że najtrudniejsze chwile wojny mają dopiero nadejść. Dla Warszawy wybiła godzina "W", godzina gotowości dla wszystkich patriotów polskich, a przede wszystkim dla młodych i wrażliwych.

Podchorąży Krzysztof ruszył do powstania. W chwili wybuchu zbrojnej akcji znalazł się przy Placu Teatralnym. Miał zamiar przedostać się na Wole w rejon cmentarzy. Tam bowiem koncentrował się "Parasol". Jak wielu gotowych, oczekiwał na broń, której nikt nie dostarczył. Wokół słychać było salwy karabinów maszynowych. Powstańcy chcieli zająć Pałacyk Blanka i ratusz warszawski,

bowiem te budynki pozostawały w rękach Niemców i należało się spodziewać, że są małymi arsenałami broni. Wszędzie panował nieopisany ruch, pośpiech, a nad miastem dominował głos niemieckiego spikera. Mówił po polsku i ostrzegał w imieniu władz warszawskich, że nikomu nie wolno opuszczać mieszkań, zaś domy, z których będzie się strzelać do Niemców, zostaną zrównane z ziemią. W chwili później niebo rozdarła krwawa rysa wystrzelonej rakiety. To Niemcy wzywali inne oddziały na pomoc.

Naiwność młodych walczących podpowiadała im, że za kilka, no może kilkanaście godzin będą triumfować. Wszyscy pragnęli walki z wrogiem, chcieli wolności, chcieli zwycięstwa, ale nie przewidywali tragicznego przebiegu.

Po zaciętych walkach Pałacyk Blanka zdobyli powstańcy. Zajęli go i znaleźli upragnioną broń. Krzysztof zdecydował wówczas, że tu pozostanie. Pozycja przy oknie wydawała mu się najlepszą. Niefortunna to była pozycja. Niemcy atakowali od strony ruin Teatru Wielkiego. Podchodzili od Pałacu Blanka do ulicy Focha. W piątek, czwartego dnia powstania koledzy przyszli zmienić Krzysztofa. Znaleźli go z przestrzeloną skronią. Najprawdopodobniej dosięgła go kula niemieckiego strzelca wyborowego ulokowanego gdzieś w ruinach teatru. Wieczorem odbył się pogrzeb. Ci, którzy pamiętają, twierdzą, że grób poety - żołnierza znajdował się dokładnie w tym samym miejscu, gdzie dziś stoi warszawska Nike.

Żona Barbara zginęła cztery tygodnie później. Była sanitariuszką i gdy przebiegała jakąś ulicą w Śródmieściu trafiona została odłamkiem moździerza. Zmarła w szpitalu powstańczym pierwszego września. Dziś są razem. Ich grób na cmentarzu wojskowym, dziś komunalnym, zdobią zawsze świeże kwiaty, podobnie jak i tablicę przy placu Teatralnym, gdzie czasami przechodnie, studenci albo młodzież szkolna zwiedzająca Warszawę składa hołd bohaterowi, poecie, żołnierzowi a przede wszystkim Polakowi, o którym prof. Stanisław Pigoń powiedział, dowiedziawszy się o jego śmierci - "my, Polacy, zawsze strzelamy do wroga z brylantów".

Halina Czajkowska - Kilianek

Halina Czajkowska - Kilianek

Analiza wiersza Baczyńskiego POKOLENIE

Krzysztof Kamil Baczyński

Pokolenie

Wiatr drzewa spienia. Ziemia dojrzała.
Kłosa brzuch ciężki w górę unoszą
i tylko chmury - palcom czy włosom
podobne - suną drapieżnie w mrok.

Ziemia owoców pełna po brzegi
kipi sytością jak wielka misa.
Tylko ze świerków na polu zwisa
głowa obcięta straszac jak krzyk.

Kwiaty to krople miodu - tryskają
ściśnięte ziemią, co tak nabrzmiała,
pod tym jak korzeń skrzycone ciała,
żywcem wtłoczone pod ciemny strop.

Ogromne nieba suną z warkotem.
Ludzie w snach ciężkich jak w klatkach krzyczą.
Usta ściśnięte mamy, twarz wilczą,
czuwając w dzień, słuchając w noc.

Pod ziemią drążą strumyki - słysząc -
Krew tak nabiera w żyłach milczenia,
ciągną korzenie krew, z liści pada
rosa czerwona. I przestrzeń wzdycha.

Nas nauczono. Nie ma litości.
Po nocach śni się brat, który zginął,
któremu oczy żywcem wykluto,
któremu kości kijem złamano;
i drąży ciężko bolesne dłuto,
nadyma oczy jak bąble - krew.

Nas nauczono. Nie ma sumienia.
W jamach żyjemy strachem zarzyci,
w grozie drążymy mroczne miłości,
własne posągi - źli troglodyci.

Nas nauczono. Nie ma miłości.
Jakże nam jeszcze uciekać w mrok

przed żaglem nozdrzy wężących nas,
przed siecią wzdegią kijów i rąk,
kiedy nie wrócą matki ni dzieci
w pustego serca rozpruty strąk.

Nas nauczono. Trzeba zapomnieć,
żeby nie umrzeć rojąc to wszystko.
Wstajemy nocą. Ciemno jest, ślisko.
Szukamy serca - bierzemy w rękę,
nasłuchujemy: wygaśnie męka,
ale zostanie kamień - tak - głąz.

I tak staniemy na wozach, czołgach,
na samolotach, na rumowisku,
gdzie po nas wąż się ciszy przeczołga,
gdzie zimny pot omyje nas,
nie wiedząc: stoi czy płynie czas.
Jak obce miasta z głębin kopane,
popielejące ludzkie pokłady
na wznak leżące, stojące wzwyż,
nie wiedząc, czy my karty iliady
rzeźbione ogniem w błyszczącym złocie,
czy nam postawią, z litości chociaż,
nad grobem krzyż.

22.VII. 43r.

22 lipca 1943 roku Krzysztof Kamil Baczyński pisze wiersz **Pokolenie**, będący poetycką charakterystyką losu młodych ludzi, których w literaturze określa się mianem "Kolumbów". Utwór składa się z trzech części. Część pierwsza to obraz katastrofy wrześniowej i reakcji Polaków. Część druga to przyspieszona edukacja pokolenia Kolumbów i trzecia - wizja przyszłości.

Przepatrzmy poetyckie obrazy dokładnie, wczytajmy się w ich treść i przeżyjmy utwór na miarę własnych możliwości percepcyjnych.

1. Wrzesień, jeden z najpiękniejszych miesięcy w Polsce. Kipi bogactwem schodzącego lata, syci dojrzalszą owoców, przekonuje ludzi o bezpieczeństwie, bo daje plony ziemi. Tamten tragiczny wrzesień odebrał spokój i bezpieczeństwo. Spowodował, że ludzie zatracili pewność bytowania, ujrzeni okrucieństwo wojny i tych, którzy ją spowodowali, którzy zbezczeszcili człowieka i jego środowisko. W ludzkie życie na czas bliżej

nieokreślony wpisane zostało czuwanie i nasłuchiwanie, niepewność życia w każdym momencie. Tamten czas nie sprzyjał dojrzewaniu młodego pokolenia, bo był to czas katastrofy państwa, narodu, przyrody, czas śmierci. Śmierć zapanowała wszechwładnie, nawet ziemia chłoneła czerwoną rosę krwi przelewanej.

Ekstremalne warunki kształtowały człowieka wojny. Kiedyś, w czasach pokoju wiedział, że może liczyć na drugiego człowieka. Był przekonany, że ludzie kierują się w życiu swoim sumieniem, które zna miłość, przyjaźń ale także i litość. Wojna zdruzgotała pokojowy kodeks moralny. Należało szybko nauczyć się, że "nie ma litości", a szanse przeżycia ma tylko ten, kto nauczy się zapominać. Poszukiwania ludzkich odruchów, bratniego serca, bliskiego człowieka - kończą się fiaskiem. W miejscu na dobroć i miłość znalazł się kamień - głaz. Zobojetnienie na krzywdę, bestialstwo i przemoc daje szansę przetrwania czasu śmierci, chociaż wspomnienie bliskich, których zabito, wywołuje odruch gniewu i nienawiści, a krew goryczy napływa do żył.

Nie ma sumienia w okupacyjną noc, rozpadły się w gruzy systemy moralne. Są mordercy i ich ofiary, a każdy ludzki odruch staje się mroczny i wątpliwy. Wszechwładnie panuje obojętność, która rodzi samotność i wyrzuca się z serc bliskich i kochanych, zrywa się wszelkie więzi. Raz - po to, aby nie ranić, drugi - żeby przez śmierć bliskich, samemu nie być zranionym. Tylko gdzieś głęboko na dnie drzemie okrucieństwo nadziei, że karta historii zdoła się odwrócić. Młodzi powstaną, chrzest bojowy pasuje ich na współczesnych rycerzy nowego eposu. Odrodzi się z popiołów nowa cywilizacja, której twórcy nie wiedzą, czy ich czyny zostaną prawidłowo oszacowane, czy zasłużą na krzyż na swym grobie. Historia wymagała i wymaga poświęcenia i ofiar. Pokoleniowa zmiana warty odbywa się w przyspieszonym tempie, a korowód tragicznych zdarzeń opartych na przemocy trwa niezmiennie od początku ludzkości.

I chociaż wiersz kończy się umiarkowanym optymizmem, to trzeba przyznać, że konkluzja wypływa z niego żałosna, że bezwzględność ludzka, chęć zniszczenia i podporządkowania sobie jednych przez drugich stanowi ogniwa w łańcuchu cywilizacyjnym, a zezwierzenie ludzkie poszło

tak daleko, iż szuka coraz doskonalszych rodzajów broni i metod zabijania.

2. Jak rozumieć tytuł wiersza **Pokolenie**? Czy pokolenie, o którym traktuje wiersz to straceńcy wydani na śmierć?

Z wiersza, a szczególnie z jego ostatniej części jasno wynika, że tak nie jest. Wprawdzie tym ludziom zdruzgotano dzieciństwo, zaszczuto młodość, odebrano wiarę w człowieka i jego dobroczynną moc, ale jest to także pokolenie przyszłych zwycięzców, wojowników na miarę Iliady - prawych i doskonałych w swym rzemiośle, walczących o prawdę, spokój i godne warunki ziemskiego bytowania bez względu na sławę i uznanie. Należy rozumieć, że jest to pokolenie dojrzałych ludzi, którzy dostrzegli dla siebie dziejową rolę do odegrania.

3. Jak zbudowany został wiersz **Pokolenie**?

Wspomniano już wyżej, że wiersz to trzy obrazy nakreślone wprawną ręką poety. Każdy z obrazów otrzymał inną oprawę słowną. I tak - obraz pierwszy - katastroficzny opis tragicznego września i początków wojny przekazany został czytelnikowi zwrotkami czterowersowymi, dość łagodnymi w swym wyrazie, mającymi charakter opowiadający. W tok opowiadania poetyckiego wprowadza poeta powoli słowa sygnalizujące bestialstwo, przemoc, nienawiść zapowiadające wojenną materię.

Obraz drugi otrzymał zwrotki dłuższe, rozpoczynające się od słów "nas nauczono..." Dzięki gramatycznym formom wyrazów właściwych dla liczby mnogiej ujawniony został podmiot liryczny zbiorowy - pokolenie, w imieniu którego wypowiada się autor. Już w części pierwszej został zasugerowany słowami: "*Usta ściśnięte mamy, twarz wilczą...*" Ale dopiero tu, w części drugiej ujawnił się w całej okazałości i stąd przeniesiony został do części końcowej.

Obraz końcowy to jedna duża zwrotka skondensowana i sugerująca coś w rodzaju dystansu do wydarzeń i do uczestnictwa w nich. Sądzić należy, że dystans wynika z niemożności uchwycenia wielkości dzieła, jakie będzie tworzone, w tworzeniu którego się uczestniczy. Tu pojawia się poetycka sugestia porównania wydarzeń z odległymi, trojańskimi, ale Iliada pisana małą literą zdaje się

być propozycją, aby nie przedkładać wielkości minionych nad teraźniejsze.

Zadania do lektury:

1. Zastanów się, jakie znasz utwory poetyckie, które podejmują charakterystykę młodego pokolenia i wyznaczają mu drogę działania? (Oda do młodości - A. Mickiewicz,

Do młodych - A. Asnyk)

2. W czym upatrujesz romantyzm młodego pokolenia, pokolenia Kolumbów?

(w buncie romantycznym, który pozwoli wypracować nowe wartości godne człowieka i jego ambicji)

3. Czy dostrzegasz rozgoryczenie młodych i jakimi słowami wyraził je poeta?

4. Napisz wypracowanie na temat: "Każde pokolenie ma swoją Iliadę"

*futrem iskrząc zwiną wszystko
w barwy burz, w serduszka listków,
w deszczów siwy splot.*

*I powietrza drżące strugi
jak z anielskiej strzechy dym
zmienię ci w aleje długie,
w brzóz przejrzystych śpiewny plyn,
aż zagrają jak wiolonczel
żał - różowe światła pnące,
pszczelich skrzydeł hymn.*

*Jeno wyjmij mi z tych oczu
szkło bolesne - obraz dni,
które czaszki białe toczy
przez płonące łąki krwi.
Jeno odmień czas daleki,
Zakryj groby płaszczem rzeki,
zetrzyj z włosów pył bitewny,
tych lat gniewnych
czarny pył.*

Halina Czajkowska - Kilianek

15.VI. 43r.

Stylizacja poetycka wiersza Baczyńskiego NIEBO ZŁOTE CI OTWORZĘ ...w obronie spokojnego szczęśliwego losu ludzkiego.

Krzysztof Baczyński

Niebo złote ci otworzę,
w którym ciszy biała nić
jak ogromny dźwięków orzech,
który pęknie, aby żyć
zielonymi listeczkami,
śpiewem jezior, zmierzchu graniem,
aż ukaże jądro mleczne
ptasi świt.

Ziemię twardą ci przemienię
w mleczów miękkich płynny lot,
wyprowadzę z rzeczy cienie,
które prężą się jak kot,

Zimą 1941 roku Krzysztof Kamil Baczyński poznał swoją przyszłą żonę - Barbarę Drapczyńską, która stała się odtąd jego jedyną muzą. Jej dedykował wiele utworów i jej portret stylizował w wypowiedziach poetyckich. Gdy się popatrzy na erotyki Baczyńskiego rozproszone w różnych zbiorach poetyckich zauważy się, że portret Basi jest czymś w rodzaju klamry spinającej erotyki w jedną całość. Dzięki temu, że datował wiersze, można prześledzić losy miłości tych dwojga ludzi. W początkowych erotykach spotykamy pierwsze uniesienia objawiające się oczarowaniem, zachwytem i pięknem kobiecego ciała. Później przechodzimy przez pogodny ogród miłości ozdobiony w delikatne, kwietne muśnięcia, słodką muzykę, kocie gesty, aż do momentu, gdy okupacyjny terror i bezwzględność postępowania najeźdźcy zagrażają czystemu uczuciu. Bywa ono narażone na odgłosy bitewnych krzyków i stawić musi czoła obowiązкови wobec ojczyzny.

Cytowany wiersz uchodzi za jeden z najpiękniejszych erotyków Krzysztofa Baczyńskiego. Uczucie tych dwojga ludzi trwa już dłużej niż dwa lata. Światem wstrząsa wojna, a kochającymi wątpliwości i nadzieja. Wiersz utrzymany jest w konwencji stylizacji romantycznej i przypomina

kształtem swym rozbudowaną apostrofe, której adresatką jest ukochana kobieta, uwielbiana, podziwiana, zasługująca na najwyższe hołdy.

Wiersz jest poetycką deklaracją przyszłości, która zaskakuje czarem, urokiem i powabem. Musi być jednak spełniony podstawowy warunek, z oka patrzącego na świat musi zniknąć "szkło bolesne" - obraz dni.

Przyszły świat zakochanych tworzą: niebo, ziemia i powietrze przesycane najwybredniejszymi barwami. Począwszy od nieskazitelnej bieli przez złoto, barwę burz i deszczów siwy splot, aż do przejrzystych brzoź i różowych światła. Obok barw pojawiają się dźwięki bardzo mocno kształtujące wyobraźnię odbiorcy. Słysząc łoskot pękającego orzecha, z wnętrza którego ukazuje się mleczne jądro, dochodzi lekki odgłos dmuchawców puszystych i miękkich a pszczelich skrzydeł hymn współbrzmi niczym wiolonczela.

Czarowną wizję świata, w którym może rozwinąć się miłość wielka, spełniona, rozkoszna, obiecująca - uzupełniają słowa - symbole znane z twórczości innych poetów. Poeta sugeruje, że nie będzie dwuznaczności, nie będzie cienia w rzeczach, choć te właśnie cienie przeją się kocimi, miękkimi ruchami. One odpłyną, oddalą się, zginą, a drżące roziskrzane powietrze, jak z anielskiej strzechy dym, przybierze kształt długich obiecujących alei szczęścia.

Gdyby pozostać przy kolorystyce wiersza, to łatwo zauważyć się, że trzy pierwsze zwrotki drgające barwami mają swój cień. Cieniem mrocznym na stworzony obraz szczęśliwości nakłada się zwrotka ostatnia, w której dominuje czerń lat gniewnych. Bolesny obraz dni wypełniają płonące łaki krwi, groby i pył bitewny, czas to kaleki, czas "niemiłosny", wstrząsający, okrutny i zły. Przekreśla wszystko. Z kontrastu szczęścia i zła rozłożonego nieproporcjonalnie (3 : 1) płynie jeden dodatkowy wniosek - ileż zabiegów trzeba poczynić, aby stworzyć warunki do szczęścia, a jak niewiele zrobić, żeby je zrujnować.

Gdy doczytamy wiersz do końca, spojrzymy po raz drugi, odniesiemy wrażenie, że jest to "modlitwa" do ukochanej, bo w apostroficznym kształcie, w zwrocie do kobiety - bóstwa, wszechobecnej, mądrej, współczującej i troskliwej, dawczyni życia zawiera się błagalna prośba o zmianę obrazu świata. I choć nie ma w wierszu

niczego o słabości, to jednak tę męską słabość zawarł poeta w ostatniej zwrotce. On jest rozpaczliwie rozdarty między tym, co złe i nieludzkie a tym co może być wspaniałym, wzniosłym i uszczęśliwiającym.

Może przyczyn rozdarcia należy szukać w biografii autora. W 1943 roku był już wciągnięty w tajną działalność Szarych Szeregów i poszukiwań, jak się zdaje, najdoskonalszej formy dla przemysłów i własnych obserwacji. Ale nade wszystko był już uznanym poetą, który próbował pogodzić obowiązek twórczości z obowiązkiem patriotyzmu. Stąd otrzymaliśmy połączenie w całość nadziei i wątpliwości z ludzkim odwiecznym pragnieniem osiągnięcia pełni szczęścia w miłości.

Niebo, ziemia i powietrze to rezerwuari energii (jak pisze Jerzy Świąch w **Wierszach Krzysztofa Kamila Baczyńskiego**, która osiągnąwszy swój poziom krytyczny, wybucha, dając początek nowym zjawiskom.

Dzięki elementom przyrody odwieczne misterium początku i końca życia trwa nieustannie.

Sądzę, że w takiej konwencji wojnę można przyjąć jako rozładowanie energii złej, niszczącej, z której powstanie nowe życie, ale której (niszczącej energii) nikt z obserwujących nie akceptuje. Nie akceptuje jej też młody poeta - żołnierz, bo u Baczyńskiego wspomniany wybuch przyjmuje forme rozkwitania rośliny, pękania owocu, rozchylania się płatków kwiatu, ale żadną miarą nie pękania świata ludzkiego.

Syntetyzując należy stwierdzić, że obraz świata opisanego w wierszu jest zamknięty. Poszczególnymi elementami obrazu są barwa, światło i dźwięk. Elementy akustyczne z elementami postrzeganyymi wzrokowo łączą się w całość za sprawą metafory. W jednym obrazie łączą się rozmaite wrażenia.

Zastanówmy się teraz, do kogo trafi ten obraz? - do wrażliwego czytelnika, który potrafi odebrać i przeżyć barwy burzy i całą kolorystykę ulegającą metamorfozie pod wpływem refleksu świetlnego.

Baczyński maluje pejzaż słowem, ale tak dalece osobisty i przekształcony, że odbieramy go jako nierealny i zjawiskowy. Czyli, im bardziej rzeczywistość, którą poeta kreuje odbiega od realnie postrzeganej, im bardziej zachwyca ona pięknem, tym większy budzi żal, iż nie może w tej postaci

istnieć naprawdę.

Marzeniom iluzorycznie tworzonej wizji przyszłości przeciwstawia poeta wojenną rzeczywistość. Atmosferę grozy potęgują wprowadzone epitety. Podążamy za sposobem myślenia Baczyńskiego i kierujemy się w stronę mrocznych zakamarków ludzkiej duszy rodzącej zło, okrucieństwo i bezwzględność.

Wybitny znawca twórczości Krzysztofa Kamila Baczyńskiego - prof. Kazimierz Wyka sugerował, że poezja ta jest *terenem walki o wybór*. Uwidacznia się w niej konflikt dwu postaw. Jedna to wyraz aprobaty dla twórczości wolnej, nie podlegającej skrepowaniu, niezależnej i niezawisłej, druga wymaga od artysty zaangażowania się po stronie wartości służących dobru zbiorowemu. W czasie wojny ten konflikt stawał się czytelny i kazał się Polakowi opowiedzieć po stronie *słowa* lub *czynu*. Nie wywoływał frustracji, ale powodował rozdarcie, budził wątpliwości, czemu właściwie powinien służyć poeta, czy w ważnych dla narodu chwilach powinien obdzielać słowem, wzmacniać patriotyzm, czy z bronią w ręku iść na barykady rezygnując ze sztucznych światów poezji.

Z kolei popatrzymy na budowę wiersza - właściwie jest on przykładem oddziaływania na poetykę Baczyńskiego tendencji stylizacyjnych. Poeta dąży do budowy przejrzyściej, wymownej i do układów rytmicznie powtarzających się, które pod względem wewnętrznej budowy wykazują uderzające podobieństwo.

Trzy pierwsze zwrotki, to obszerne porównania. Na ich tle wyróżnia się strofa ostatnia, która składa się tylko z dwóch zdań o archaicznym wydźwięku ze względu na pojawiające się słowo "jeno".

Wiersz jest sylabotoniczny i ma charakter pieśni, bo jest trochejem z akcentami metrycznymi na sylabach nieparzystych (_ - _ - _ - _ -). Do rytmiki tak ustalonej dochodzi rym - wiersz z rymami żeńskimi (półtorazgłoskowymi) przeplatającymi się z rymami męskimi (półzgłoskowymi). W połączeniu z wyrazami, które u Baczyńskiego przyjmują zwykle postać asonansów, forma wierszowa pozostaje w związku funkcjonalnym ze stylizacją dziecięco - naiwną i wydobywa pogodny charakter marzenia o niemożliwym do odzyskania świecie poezji.

O PAMIĘTNIKU Z POWSTANIA WARSZAWSKIEGO Mirona Białoszewskiego

Literatura polska składa się z niezliczonych przykładów różnorodnych gatunków literackich. Jedne w dziejach narodu pojawiają się częściej inne rzadziej, bo wszystkie one zależą od mody, konwencji literackiej, poetyk obowiązujących w danym przedziale czasowym i potrzeb indywidualnych twórców. Na przestrzeni wieków do gatunku zwanego "pamiętnikiem" sięgnęło niewielu twórców. Jednym z nich jest Miron Białoszewski (1922 - 1983), który urodził się i zmarł w Warszawie. W czasie okupacji uczył się i studiował na tajnych kompletach. Po wojnie pracował jako dziennikarz, kontynuując studia polonistyczne. Pierwsze utwory publikował w czasopiśmie. W roku 1955 zorganizował tzw. Teatr Osobny, dla którego sam pisał teksty i w którym sam występował. Pierwszy tom jego wierszy ukazał się w roku 1956 pt. *Obroty rzeczy*. Następne tomy poezji to: *Rachunek zachciankowy*, *Mylne wzruszenia*, *Było i było*; zbiory prozy: *Donosy rzeczywistości*, *Szumy*, *zlepy*, *ciągi*, *Zawał*. Specjalne miejsce w jego twórczości zajmuje *Pamiętnik z powstania warszawskiego* wydany w roku 1970.

Urywki z *Pamiętnika*

...To wszystko zresztą zupełnie jest tak jakby jednym złudzeniem. Strasznie oklepane powiedzenie. Ale tylko to mi pasuje. Do tego, co wtedy się odczuwało. Bo nie trzeba było być aż poetą, żeby troiło się w głowie. A jeżeli mało piszę o wrażeniach. I zwyczajnym językiem wszystko. Tak jakby nigdy nic. Albo nie wchodzę w siebie prawie, czyli jestem jakby od wierzchu. To tylko dlatego, że inaczej się nie da.. Że zresztą tak to siebie się czuło. I w ogóle to jedyny sposób, zresztą nie sztucznie wykombinowany, ale jedyny właśnie naturalny. Przekazania tego wszystkiego. Przez dwadzieścia lat nie mogłem o tym pisać. Chociaż tak chciałem. I gadałem. O powstaniu. Tyle